300 453

*WŁADYSŁAW ST. REYMONT*

# ROK 1794

## OSTATNI SEJM RZECZYPOSPOLITEJ

*POWIEŚĆ HISTORYCZNA*

INSTYTUT LITERACKI
RZYM 1946

C.

# OSTATNI SEJM
## RZECZYPOSPOLITEJ

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

# ROK 1794

## OSTATNI SEJM RZECZYPOSPOLITEJ

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

INSTYTUT LITERACKI
RZYM · 1946

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001018603857

BIBLIOTEKA NARODOWA

I.300.453

EGZ. ARCHIWALNY

O. G. I. - Officine Grafiche Italiane - Via Cesena, 14 - Roma - Tel. 767166

1947 D 434 I

— Panie marszałku, a gdzież ta zapowiedziana siurpryza?

— Za chwilę, a słowo stanie się ciałem.

— Czekamy jeszcze na hr. Camelli i resztę towarzystwa. .

— Ależ tymczasem poschniemy z ciekawości.

— A takie cuda rozpowiadają o nagotowanych nadzwyczajnościach!

— Bardzo trudno będzie nas dzisiaj zadziwić — zauważył Sievers z uśmiechem, podając tabakierkę Pułaskiemu.

— Istotnie, przeżyliśmy dzień godny uwielbienia.

— Ta oktawa imienin J. W. ambasadora stanie się w Polsce pamiętna.

— Na zawsze, powiedz waszmość.

— Kroniki przekażą ją pamięci przyszłych pokoleń.

— Szkoda, że nie uwieczni jej Węgierski! — rzucił drwiąco Woyna, ale zagłuszył go chór chwalczych głosów. Słowa pijane zachwytem, frazesy błyszczące, niby tęcze, miodne szepty i łaszące się, żebracze spojrzenia spływały ze wszystkich stron na siwą, ufryzowaną w kunsztowne pukle głowę ambasadora, który potakiwał wszystkiemu, uśmiechając się wciąż zwiędłym, jakby przyklejonym do wązkich warg uśmiechem pobłażliwej dobrotliwości. Chwilami z lubością dotykał wypieszczonymi palcami szerokiej, niebieskiej wstęgi orderu św. Andrzeja, który był otrzymał w ostatnich dniach za przeprowadzenie traktatu rozbiorowego, poprawiał machinalnie gwiazdę brylantową, zażywał ta-

bakę i, wodząc sennemi oczyma po twarzach, zwracał się niekiedy z jakąś suchą uwagą do Kossakowskiego.

Biskup zmuszał się do uśmiechniętej odpowiedzi, ale spozierał coraz mroczniej i niecierpliwie szarpał mantolet podbity purpurą, aż wreszcie zwrócił się cierpko do marszałka:

— Więc czekamy tylko na hrabinę Camelli?

— I na imci posła pruskiego.

— Ksiądz biskup nie uwielbia naszej zachwycającej Eurydyki — szepnął Sievers, dotknięty jego lekceważącym tonem.

Kossakowski jął dworacko i z takim zapałem sławić głos i wdzięki hrabiny, że przejednany ambasador wziął go przyjacielsko pod ramię i odprowadził na stronę nie zważając na hałaśliwą kawalkatę powozów, która nareszcie wypadła z gąszczów i leciała drogą, w krwawych tumanach pochodni, wśród rzechotu dzwonków, tętentu galopujących koni, krzyków i siarczystego palenia z batów.

Niby rozhukana burza, wpadały na podjazd powozy, karyolki, wiski, karety i długie, dziwaczne wisawisy i skłębiona zawierucha rozbawionych pań i panów runęła na schody i rozsypała się po tarasie.

Naraz wszyscy poczęli opowiadać, przekrzykując się nawzajem i wybuchając śmiechami. Hrabina Camelli wraz ze słynną z urody księżniczką Czetwertyńską, baronówną Keiking i szambelanową Rudzką opadły panią Ożarowską, rozpowiadając o jakiemś niesłychanie komicznem zajściu.

— ...i potem gitarę rozbił o głowę lokaja! — wołała

z emfazą wielce śmieszną hrabina. — A myśmy na złość temu dzikusowi śpiewały, nie przerywając ani na chwilę. Myślałam, że zacznie nas bić ze wściekłości. I gdyby nie szambelanowa, to kto wie, coby się stało. Już zgrzytał zębami — wykrzykiwała, podkreślając każde słowo uśmiechem i namiętną gestykulacyą.

— Hrabino, twój głos to skarb ludzkości. Trzeba go ochraniać — strofował ją ojcowsko Sievers, zarzucając na jej obnażone piersi szkarłatny szal. — Któż to był ten dziki człowiek?

— Książę Cycyanow, nasz szlachetny rycerz i obrońca — przedstawiała baronówna, dygając ironicznie przed nizkim, srodze dziobatym panem o nieokreślonym wieku i skośnych oczach.

— A który przytem nie umie powozić — śmiała się księżniczka.

— Zgoła niesłuszne suspicye! — szepnęła szambelanowa.

— Cóż miałem robić, kiedy konie bały się brzęku gitary i co chwila ponosiły. Mogliśmy się pozabijać. A panie na moje prośby odpowiadały tylko śmiechem — tłómaczył się wielce zgniewany.

— I miałeś nas ochotę bić? Proszę teraz o prawdę! — przypierała hrabina, zaglądając mu w mętne, jakby ugotowane oczy.

— Byłbym cię, pani, raczej pożarł! — zawarczał, ogarniając lubieżnem spojrzeniem jej biust, zaledwie przyprószony szkarłatem.

— Czy i mnie, co? — pytała natarczywie baronówna.

— Książę nie jest Herodem i nie pastwi się nad niewiniątkami — bronił wesoło Sievers, i naraz odwrócił się gwałtownie, szepnął coś hrabinie i odszedł z nią ku bocznemu zejściu, jakby umyślnie unikając Buchholtza, który właśnie przedzierał się ku niemu, obrzucany nienawistnemi spojrzeniami. Imć poseł pruski przystanął, rozglądając się dosyć bezradnie, ale wnet znalazł się przy nim Podhorski, marszałek, paru jeszcze konfidentów i z najgłębszą ostentacyą sprowadzali go ze schodów, bo już muzyka grała poloneza i towarzystwo wysypywało się do parku.

Las krwawych, rozmiotanych pochodni oświetlał im drogę.

Woyna szedł samotnie, obserwując z pod oka jakiegoś młodzieńca, który już od pewnego czasu plątał się koło niego. Naraz obaj przystanęli, zajrzeli sobie z blizka w twarze i Woyna zawołał z ironiczną czułością:

— Zali to naprawdę oczy moje znowu mogą uwielbiać imci porucznika, Sewera Zarębę?

— Woyna! Kazio Woyna! — odkrzyknął zdumiony, rzucając się w otwarte ramiona. — Śmiercibym się raczej spodziewał!

— Uszanuj, nieźwiedziu, chociaż moją koafiurę.

— Takie spotkanie! ledwie wierzę własnym oczom.

— Sprawdziłeś na moich żebrach! — śmiał się, rozcierając sobie boki.

— Iżbym cię mógł spotkać w Grodnie, ani mi postało w myśli!

— Człowieku, a gdzież indziej mogłem być?

— Rozumiałem cię bawiącym w Warszawie lub na wsi.

Woyna zagwizdał melancholijnie.

— Jeszcze na wiosnę przegrałem do Miączyńskiego ostatnią żywą duszę z Zatorów. Wszystko dyabli wzięli, cum assistentia militari, jak pisał mój mecenas. A w Warszawie także nie miałem co wysiadać. Tam już cuchnie trupem i zostały tylko stare kwolchy na dewocyi przy prymasie, rozjęczeni wierzyciele Teppera i hultajstwo miejskie. Mówię ci, pustynia! Dukat jest tam taką rzadkością, jak cnota panieńska w Grodnie. Chyba, że się go szuka u Igelströma, ale i ten po wyborach nie taki już szczodry. Imaginuj sobie, jako w końcu u Jaszowicza nie chciano mi borgować ani jednej butelki więcej! O tempora, o mores! jak jęczy nasz dobry Staś, kiedy mu Sievers odmawia awansu. Przeto rzuciłem niewdzięczne miasto i teraz oto zabawiam się w tym raju grodzieńskim.

— Mówiono mi, żeś został konsyliarzem generalności.

— Nie lubię ochłapów ni trzymania się pańskiej klamki. — A przytem — głos mu zabrzmiał smutkiem — czyż mógłbym się pastwić nad matką rodzoną? Żyję więc po dawnemu i, jak zawsze, uwielbiam kobiety, wino i złoto. Właśnie obiecuję sobie dobrze zjeść na chwałę opiekuna i, jak się da, wygrać w faraona nieco dukatów.

— Więc to feta na cześć Sieversa?

— Pytasz, jakbyś wracał z antypodów.

— Przyjechałem dopiero dzisiaj rano, spałem cały

dzień, a o zmierzchu zabrał mnie dawny towarzysz, przywiózł tutaj, sam się gdzieś zapodział, spotkałem ciebie, i nic więcej nie wiem.

— Kiedy tak, to zakonotuj sobie w pamięci: oto dzisiaj oktawą imienin Sieversa. Na jego to cześć i na oddanie wdzięczności za szczęśliwe przeprowadzenie aliansowego, jak się głośno prawi, traktatu będziemy się cieszyli do świtania. Zapamiętaj dobrze ten czwartek 1. sierpnia 1793 roku.

— A któż się tak żarliwie ekspensuje na te festy?

— Pułaski, wice-marszałek Targowicy i poseł wołyński, ale nie obawiaj się, nie narwie się szlachcic, odbierze wszystkie ekspensa i ze sutą nawiązką ze szkatuł ambasadorskich. Dygnitarze generalności są zawsze bardzo hojni, ale z cudzego...

— Rad się jednak napatrzę personom konfederackim.

— Cóż, kiedy samego Trifolium już nie zobaczysz. Podobno z domu, który ma się zawalić, najpierw uciekają ptaki. Może i dlatego Szczęsny Potocki w Hamburgu cieszy się drogo zapłaconą Wittową, Branicki w Petersburgu wyciera antyszambry Zubowowskie, a Rzewuski zakopał się na wsi; naucza karczmarzy sztuki łacniejszego rozpajania chłopów i pisze uczone ustawy dla swoich ekonomów, jak mają łupić ze skóry poddanych. Czasem zjawia się w Grodnie, zwłaszcza gdy mu pogrożą egzekucyą wojskową, nawytrząsa się Prusakom i królowi, nawyrzeka się na upadek wolności, a udobruchawszy Sieversa, znika. Ale drobiazgu targowickiego nie brakuje, zobaczysz, roją się niby pszczoły nad miodem ambasadorskim. Fakcya to dzisiaj najliczniejsza.

— Nie brak jeszcze poczciwych w Rzeczypospolitej — zawołał tak gorąco, że Woyna spojrzał uważniej i szepnął mu do ucha:

— Bacz, byś się z czem zbytnio szczerem nie wyrwał przy ludziach. Tu ściany mają uszy. Zwłaszcza osoby opiekuna i aliantki są nietykalne. Każde słowo doniosą. Może ja tylko jeden mam privilegium gadania, co mi się spodoba, bo mnie znają kosterą i pijakiem. A wielu już nieostrożnych przepadło potem gdzieś bez śladu...

— Mówisz nie do wiary! A gdzież wolność? Gdzie prawa kardynalne?

— Tymczasem w zastawie u Sieversa. Chodźmy prędzej, żeby nam co lepszych miejsc nie zabrali.

Dopędzili towarzystwo zebrane nad Horodniczanką i rozentuzyazmowane nieoczekiwanym zgoła widokiem.

Bowiem nad poszarpanym dziko i obrosłym krzakami jarem, na którego dnie bełkotała rzeczułka, wznosił się turecki kopulasty namiot w żółto-zielone pasy, podbity karmazynową kitajką i tak wspaniale zastawiony, że wielki stół uginał się pod ciężarem sreber, porcelan, kryształów i świateł, uwięzionych w alabastrowych urnach. Zaś wpodle niego, na pofalowanym brzegu i w różanych boskietach, sztucznie nasadzonych, stały pękate pagody chińskie o wywiniętych dachach ze słomy zielonej, wsparte na wyzłacanych smokach, okręconych wieńcami kwiatów. Każdy był przygotowany tylko na dziesięć osób i mienił się niby rozłożony sepet od sreber, kandelabrów ze złoconego bronzu i farfurów marcypanową, augsburską robotą, zdobiących stoły.

— Zaiste, aspekt zgoła niezwyczajny! — chwalił sam Sievers, a za nim drudzy na prześcigi sławili szczęśliwy pomysł marszałka.

Pułaski, wielce rozradowany zadowoleniem powszechności, odrzucał raz po raz białe wyloty i szerokim gestem zapraszał do stołów, sam usadzając damy i co przedniejszych gości.

Na pierwszego pod namiotem usadził Sieversa, a dokoła zajmowali miejsca ambasadorowie ościennych potencyi, znaczne panie, biskupi, ministrowie Rzeczypospolitej i co ważniejsi posłowie sejmowi. Reszta gości zajęła pagody, stowarzyszając się wedle upodobań, związków i przyjacielstwa.

Woyna wprowadził Zarębę między znajomków i zasiadł przy nim, by swobodnie pogawędzić, ale nie uchronił go od natarczywych spojrzeń kobiecych i zaczepnych uśmieszków.

— Przepowiadam ci wielkie powodzenie u kobiet — szepnął ze szczerą admiracyą, ważąc jego męską, zuchwałą urodę.

— Dbam o to, niby o śnieg zeszłoroczny.

Zarumienił się jednak.

— Więc piękna Iza jeszcze nie zapomniana?

Sewer ściągnął boleśnie brwi, jakby ugodzony pod żebro.

— Piękna szambelanowa — ciągnął Woyna — siedzi pod namiotem, między posłem angielskim a Moszyńskim. Nie zauważyłeś?

— Nie ciekawym — odparł przez zaciśnięte zęby.

— To mój druh serdeczny, mościa pani podko-

morzyno dobrodziejko! — przedstawiał go Woyna wspaniałej damie, zajmującej obok miejsce.

Karłowaty murzynek, podobny do czarnej małpy, stanął za jej krzesłem, dźwigając szal i różne uzupełnienia tualetowe.

Podkomorzyna wachlowała się przez chwilę, obserwując zarazem Sewera z uwagą i niemałem znawstwem. Pani była nieco w leciech posunięta, ale jeszcze bardzo piękna, bujnie rozkwitła i tak gruntownie obnażona, że Zaręba nie wiedział, co zrobić z oczyma.

— Wdowa, parę tysięcy dusz w kordonie cesarskim, całe życie w amuretkach i hojna dla swoich amis — objaśniał go szeptem Woyna, bawiąc się jego skłopotaniem.

— Potrzymaj mi waszmość!

Głos miała nizki, prześliczny i francuszczyznę o akcencie berdyczowskim.

Z trwogą wziął narzędzie wiatry czyniące, z koronek całe, dzierganych złotem. Po chwili rzuciła mu białe rękawiczki, malowane w miniaturowe a wielce frywolne sceny mitologiczne, i, wziąwszy od murzynka balsaminkę, drążoną w agacie, srebrne zwierciadełko i osypaną drogimi kamieniami puszkę z pudrem, obieliła sobie twarz, skropiła się wonnościami i rzekła cicho:

— Nie spotkałam waszmości na żadnych asamblach.

— Bom zaledwie dzisiaj przyjechał — odparł, zdumiony jej tualetowym ceremoniałem i obcesowością.

Uśmiechnęła się, błyskając olśniewającymi sznurami zębów, i pytała, wpierając w niego oczy, silnie podczernione.

— Waszmość z pod jakiej chorągwi?

Dziwił się jej przenikliwości, odwłócząc jednak odpowiedź.

— Poznaję żołnierza pod każdem przebraniem i nigdy się nie pomylę. I jakąż szarżę waszmość piastuje? — napierała.

Zbywał ją krotochwilnem kluczeniem, gdy Woyna znowu zaszeptał:

— Uprzedzam cię, jako te lube i obszerne terytorya, dające tak słodkie intraty, są już cum boris, lasis et graniciebus w chwilowej arendzie.

Parsknął na zakończenie wesołym śmiechem.

Podkomorzyna ściągnęła brwi sobolowe, podejrzliwie nastawiając uszy, obciążone olbrzymimi dyamentami, ale na szczęście powstał znaczny rumor, gdyż ukazał się imć Borowski, a za nim biało przybrana kohorta kuchcików, dźwigająca potężne srebrne półmiski, wazy brzuchate, rondle i blaty, okryte wonnemi parami; zaś drudzy, w zielonych, strzeleckich kurtach, ciągnęli z winami we flaszach, konwiach, dzbanach starożytnych i omszałych gąsiorach, poznaczonych na lakach czarnymi krzyżykami; trzeci, w ponsowych frakach, białych pończochach i z utapirowanemi perukami, nieśli pozłociste puzdra, pełne likworów, zaprawnych wódek i smakowitych antypastów na przegryzkę; a w ostatku jawili się olbrzymi pajucy i stanęli za krzesłami w karnym ordynku z ręcznikami na podorędziu. Imć Borowski, jako wódz wielce sprawny w swem dziele, dał niemy znak i rozpoczęła się uczta.

Muzyka ściszonemi falami napływała gdzieś z oddali wraz z zapachami siana i więdnących kwiatów.

Wieczór był bardzo ciemny i upalny, szło jakby na burzę, niebo zwisało ciężką, ołowianą taflą i na zachodniej stronie przewijały się krótkie, blade błyskawice, gdzieś od Łososny dochodziły piania kogutów, a co pewien czas głuche, dalekie grzmoty targały powietrzem, niekiedy zrywał się suchy, gorący wiatr i miotał drzewami, aż szemrały gałęzie i przygasały światła iluminacyi.

A na tle tej ciemnej, niespokojnej nocy kopulasty namiot wznosił się rozgorzały, niby świątynia, w której zdały się odprawiać jakieś tajemnicze misterye. Rozpalone urny i kryształy siały dokoła tęczowy opył, w którego brzaskach ludzie i rzeczy nabierały zarysów widmowych. Wszystko jawiło się być nieopowiedziane cudnem majaczeniem. Spojrzenia miotały się błyskawicowemi lśnieniami, a twarze i obnażone ramiona kobiet były jakby z perłowej konchy, pobryzganej turkusami, zaś barwy strojów przycichły, stapiając się w ściemniałe rozlewy rubinów, szmaragdów i złota, potrzęsionych tu i owdzie srebrzystemi pianami koronek. Nawet biel obrusów miała barwy mydlanych baniek, a porcelanowe figury, poustawiane w pośrodku stołu roztańczonym korowodem muz, zdały się w tem świetle czarodziejskiem poruszać tajemniczo.

Sievers, siedzący na fotelu, wyzłacanym jak tron, zdał się być groźnem bóstwem, ku któremu pełzały wszystkie korne spojrzenia, kłoniły się wszystkie głowy i płynęły wszystkie westchnienia. Nawet samo milczenie zdało się być nabrzmiałem trwożliwa czcią i niepokojem

Bowiem pod namiotem panowała niezmiernie surowa powściągliwość. Rozmawiano niewiele i szeptem, ważąc przytem każde słowo, każde spojrzenie i każdy ruch.

Nawet brzęki farfurów i sreber były ściszane, a liberya przesuwała się lękliwie na palcach, niby cienie ledwie dojrzane.

Nudzono się też uroczyście i z wielką dostojnością.

Natomiast w altanach zgoła inny duch panował.

Z początku i owszem ściszano głosy, bacząc na persony, ucztujące pod namiotem, ale gdy minęło kilka dań i przedzwoniły pierwsze kielichy, przepadła wszelka wstrzemięźliwość i humory jęły się zrywać z wędzideł. Szlachta jadła i piła, dając folgę przyrodzonej wesołości.

Dowcipy strzelały, niby race, i, krążąc z ust do ust wraz z puharami, jak wino, nieciły powszechną wesołość. Posypały się pieprzne dykteryjki o księżach. Znalazł się nawet drukowany na niebieskawym karteluszku, wielce nieprzystojny wierszyk na Buchholtza, obleciał wszystkie stoły i, wznieciwszy szalone wybuchy śmiechów, przepadł gdzieś bez śladu. Zabawiano się też coraz weselej. Liberya niestrudzenie czuwała nad kielichami, wino lało się strumieniem, rumieniły się twarze, uskrzydlały się fantazye, błogość przejmowała serca i rosła ochota. Oczy kobiet jarzyły się, niby gwiazdy, a ich wilgne uśmiechy i obnażone ramiona mąciły już w głowie niejednemu. Za rozmiotanymi wachlarzami wiązały się ściszone dyalogi, rwały się namiętne westchnienia i falowały piersi.

Ale gdy zabawa stawała się zbyt szumna i zbyt siarczyście strzelały grzmoty śmiechów, pojawiał się tu i ówdzie zgarbiony zarys imć Borowskiego i nastrój jakoś dziwnie posępniał; ściszano natychmiast rozmowy, twarze chmurniały, opadały bezsilnie wachlarze i ukradkowe, trwożne oczy leciały ku namiotowi.

— Zabawiają się, jakby odprawowali stypę — ktoś cicho zauważył.

— Gdzie za wielu celebransów, tam nudne nabożeństwo.

— Niech się nudzą, ale czemu to my mamy śpiewać gorzkie żale?

— Mówił Borowski, jako ambasador wielce dzisiaj niedomaga...

— I koń-by ustał, żeby go tak przez cały dzień fetowali.

— Tylko pani Ożarowska nie strudzona...

— Wypościła się po Stackelbergu, to musi zabiegać o następcę! — wyrwał się jakiś zuchwały głos.

Odpowiedział mu ogólny śmiech i rozmowy w tej materyi potoczyły się tak zjadliwe i naszpikowane towarzyskiem, złośliwem delatorstwem, aż Zaręba smutnie zauważył:

— W Polsce lepiej być z ludźmi w wojnie, niźli w przyjaźni.

— Utrafiłeś rzetelnie! — potwierdził Woyna. — Nie mógł się u nas zrodzić Kastor, bo Poluks sprzedałby przyjaciela za ladajaki koncept. Ale tak lubo dworować z bliźnich! — zaśmiał się cynicznie. — Spojrzyj-no, jak nam tamten godnie panuje! — dodał, wskazując

oczyma siwą głowę Sieversa, widną ponad wszystkie przez rozchylone na przestrzał skrzydła namiotu.

— I z takimi dla nas prowentami, jak buty Karola XII Szwedom.

— A że tak samo nas traktują, więc je uwielbiamy. Pomyśl tylko: nigdy i nikomu Rzeczpospolita nie czyniła takich honorów. Nawet sejm zalimitowano do soboty, aby nie przeszkadzać awantażom. Więc też satysfakcyonujemy go ze wszystkiej mocy. Cały ten tydzień imieninowy nosimy go na rękach, obrzucamy kwiatami, wielbimy niby prawdziwego zbawcę. A już dzień dzisiejszy spędzamy najpracowiciej! Wiesz, rano odprawił mszę na jego intencyę biskup Skarszewski. Zabawne, co?

— Że to go piorun nie trzasnął przy ołtarzu! — mruknął Zaręba.

— A szkoda! Widowisko byłoby wcale efektowne. Zaś w południe nuncyusz dał obiad na sześćdziesiąt osób; nie brakowało tam szampańskiego, ni toastów. Piliśmy liczne zdrowia i jego córek, jego wnuczków, a może nawet i jego lokajów. Czegoż Polak nie uczyni, skoro go poniesie ochota! Później pojechaliśmy na podwieczorek z niespodziankami; wyprawiała go pani Ożarowska. Siurpryzy były przednie i spektakl niezrównany. Odegrano »le Proverbe«. Popisywały się w niem najpiękniejsze panny i nieposzlakowana francuszczyzna. W antrakcie zaśpiewała boska Camelli, a jej brat grał na gitarze. Potem słodka, cnotliwa Jula Potocka, jak zawsze w otoczeniu swoich dzieci, odtańczyła wściekłego kozaka. Boże, jakie tam były prysiudy i wierzgania! Wpadliśmy w szał uwielbień, płakaliśmy ze szczęścia

i szampańskie tryskało fontannami. A na zakończenie odbyła się jakby gloryfikacya dostojnego solenizanta. Sztuczka była pod psem, wiersze kulawe, francuszczyzna haniebna i za grosz sensu, ale że sławiła pod niebiosa naszego męża opatrznościowego, znaleźliśmy ją zachwycającą i nie szczędzili rzęsistych aplauzów autorowi. A wymozolił to arcydzieło w niemałym czoła pocie były poseł kurlandzki, baron Heiking, a śliczna baronówna...

Przerwał, gdyż zahuczała nagle muzyka, rozległy się grzmiące wiwaty i wszyscy podnosili się od stołów.

— Co się stało?

— Pułaski wzniósł toast na cześć Króla Jegomości.

— Niech mu pójdzie na zdrowie! — szepnął, trącając się z najbliższymi.

— Otóż śliczna baronówna — ciągnął dalej — na zakończenie odegrała zachwycającą »Marquerie« Imaginuj więc sobie, jakeśmy używali!

— Ale dlaczego takie awantaże?

— Spytaj się tamtych — wskazał namiot. — Ja tylko wiem, że zabawiałem się po królewsku i wyjątkowo sprzyjała mi Fortuna.

Zaręba miał na ustach jakieś kąśliwe słowa, lecz odwrócił się gwałtownie, dosłyszawszy żałosny głos podkomorzyny:

— Waszmość nie daje mi responsu...

— Bo nie dosłyszy — wyręczył go skwapliwie Woyna. — Nieco już przygłuchł na słodkie słówka — parsknął śmiechem na zakończenie.

— Z waćpana kpiarz niepoczciwy! — syknęła, piorunując go wzrokiem.

— Idziemy tańcować! — Woyna zjawił się niespodzianie. — Gdzieżeś się podziewał? Podkomorzyna obligowała, abym cię do niej przywiódł. Szybko awansujesz w jej łaskach.

— Nic mi po takiej szarży! — mruknął niechętnie.

Poszli wraz z drugimi ku pałacowi, który już z dala gorzał wszystkiemi oknami. Obok nich, wspierając się na młodym księżyku, wlókł się w ponurem milczeniu biskup Kossakowski.

— Przyszła mi genialna myśl — zwrócił się nagle Woyna do biskupa, który podniósł na niego chmurne i złe oczy. — Jako powinniśmy dać Polsce nowego defensora.

Biskup wstrzymał się na chwilę.

— Mamy bowiem dla Korony Stanisława; Litwa cieszy się swoim Kazimierzem, więc byłoby słuszną rzeczą dać Rusi — Jakóba!

Kossakowski parsknął śmiechem, ale milcząco słuchał krotochwili.

— Biskup Skarszewski — ciągnął dalej całkiem poważnie — dowiedzie czarno na białem i bardzo uczenie, jakie to cuda dzieją się w Polsce za sprawą nowego patrona! W jaki to nadziemski sposób rozmnaża się dobro poniektórych współobywateli, jak to koronne osły przemieniają się w mędrców i dygnitarzów! I jakich to rubel zdobywa sobie żarliwych prozelitów. Nie spisać tych zasług i na wołowej skórze. Nuncyusz nas poprze w Rzymie, Jejmość Imperatorowa nie sprzeciwi się wyniesieniu swojego sługi, a Rzeczpospolita godnie nagrodzi szczerego przyjaciela. Wszak wciąż zapewnia, jako

wszystko, co czyni — czyni tylko dla naszego dobra. Mamyż nie uwielbiać takowej cnoty? Mamyż niewdzięcznością napoić serce tak czułe?

Zaręba buchnął śmiechem, ale biskup pogroził.

— By waści pierwej nie przycięto języka!...

— Złożę go wtedy, jako wotum, na ołtarzu niewdzięcznej ojczyzny.

— Waszmość ze wszystkiego czynisz krotochwilę.

— Zali nie krotochwili wszystko godne?

Biskup milczał, dopiero gdy wchodzili na taras, rzekł przyjaźnie:

— Proszę do mnie na obiad. Rad cię zobaczę, choćby zaraz jutro.

Woyna skłonił się dziękczynnie i, odprowadziwszy go do drzwi pałacu, wziął Zarębę pod ramię i zaszeptał żywo:

— Trzeba ci wiedzieć, że on nie cierpi Sieversa i szyje mu buty na wszystkie sposoby. Nienawidzą się obaj, chociaż stroją do siebie wdzięczne miny, jak w tańcu. Połknął mój haczyk, już ja go pociągnę.

— Nienawidzą się, ale obaj zgodnie pracują dla Semiramidy...

— Jeden trudzi się dla swojej pani, a za to ten drugi rwie, co się da, dla siebie i swojej głodnej familii. Nienasycony człowiek i przeto straszny! Wielu rzeczy się tutaj nauczysz, miej tylko uszy i oczy.

— Nie po tom ja wprawdzie przyjechał — odparł ostrożnie Zaręba.

— Szukasz fortuny? — postawił pytanie bez ogródek.

— Pragnę odzyskać utraconą szarżę. Jak pamiętasz, nie jestem statystą, lecz żołnierzem i obce mi są wszelkie inne materye.

— Będziesz więc, rycerzu z pod Dubienki, zwyciężał w Grodnie różne podkomorzyny, a legniesz śmiercią walecznych na zielonem polu faraona. Ja w tem, aby ci nie zbrakło okazyi. A nuż skusisz Fortunę!

— Trzeba się z nią spróbować.

— Admiruję rezolutne principia. Ale się wyznaj, czyś naprawdę przyjechał tentować tylko o powrót pod chorągiew? — zagadnął znienacka.

— Tak, i liczę, że mi w tem wuj dopomoże.

— Kasztelan zabije karmnego wołu na powrót marnotrawnego i obleje łzami czułe pojednanie. A cóż powiedzą twoi dawni socyusze?

— Wszak powracam w służbę Rzeczypospolitej.

— Właściwie generalności. Widziałem twój podpis na manifeście.

— Ale teraz nolens volens muszę zrzucić pychę z serca i prosić absolucyi.

— Król jej łacno udzieli, może ci nawet obieca coś, gdzieś, kiedyś. Nikt go przecież za obietnice nie pozwie. Z tego jednak miarkuję, jako ci serdecznie obmierzło liczenie ojcowskich kop i ujadanie się z peizanami.

— Zgadłeś, wolę już swoich gemeinów i egzercerunki — zaśmiał się swobodnie, wielce rad, że Woyna nie przypiera go pytaniami.

— Cóż tam u was doma? — rzucił Woyna od niechcenia.

— Aktualnie to nie bardzo wiem — zmieszał się srodze — bom teraz nie wstępował.

Weszli do antyszambry. Z przyległych bokówek, przerobionych na gotowalnię, rozchodziły się kobiece głosy i śmiechy.

— Radź sobie, jak umiesz, ja muszę na chwilę odejść — rzekł Woyna i odszedł.

Zaręba zwrócił się do złoconych drzwi. Otwarli je przed nim dwaj lokaje w czerwonych frakach i białych perukach.

Ogarnęło go ciepło, przejęte mdłym zapachem perfum, świec woskowych, gwarem i brzękliwymi głosami nastrajanych instrumentów.

Stanął w podziwie wspaniałej sali, była bowiem wielka, jak kościół, obita czerwonym adamaszkiem i zakończona chórem, wspartym na czterech białych kolumnach, z pod których złocone drzwi wiodły do komnat rozwartych na przestrzał. Złota, szeroka listwa obiegała górą ściany, pocięte w podłużne pola białymi pilastrami z marmurów, a w każdem połyskiwało starożytne, owalne lustro z zapalonemi świecami, kowane w srebrze. Przez wyniosłe okna świeciły czerwono płonące urny. Okrągłe zwierciadła w ramach porcelanowych, dźwigane przez pucołowatych amorów, patrzyły tu i ówdzie mętnemi oczami. Wielkie pająki posiewały senne brzaski świec i tęczowe migoty kryształów. Wskróś błękitów stropu pierzchały mdlejące Hory przed zwycięską Aurorą, pędzącą w orszaku bogiń i amorów, napinających srebrne łuki. Parkiety połśniewały, niby gładzie lodowe, z pod których przezierały cudne arabeski z drzewa różanego

i cisu. Długie ławy, obciągnięte czerwoną trypą, zdały się drygać lubieżnie pod ścianami, na pokrętnych, złoconych nogach kozłów, a pod oknami i przy drzwiach stali nieruchomo czerwoni lokaje, gotowi na każde skinienie.

Zaś na tle tych wspaniałości snuła się rozbawiona, świetna socyéta. Wszędzie było pełno ludzi, śmiechów, połysku dyamentów, obnażonych piersi, strzępiastych loków, greckich tunik, bosych nóg, roziskrzonych pierścionkami, migocących wachlarzów, jarzących spojrzeń i cudnych twarzyczek. Piękność, wykwint i przepych panowały społem i niepodzielnie. Rój różnobarwnych fraków, halstuchów do pół brody, wygolonych twarzy, długich kamizel, obcisłych kiulotów i głów zwichrzonych à la Caraciolla zaglądał w oczy, puszył się i nadskakiwał, krążąc dokoła z brzękiem pustych słów, szeptań i dyskretnych śmiechów. Czasem przesuwał się bokiem sali jakiś kontusz wojewódzki, podgolona czupryna, wąs zawiesisty, pas złotolity, czerwone buty i ręka na głowni karabeli, to zadreptały białe pończoszki w płytkich, materyalnych patynkach, staroświeckie dostatnie robrony z mantyny, staroświeckie twarze i kornety, nawlekane wstęgami, obrzucały struchlałemi oczami półnagie damy i przysiadały zgorszone i wstydne gdzieś w cieniach chóru.

A niekiedy francuski wyżabotowany kawaler z ancien régime'u zatrzepał się w ciżbie, niby motyl barwisty, i, postukując trzciną i czerwonymi korkami, schylał wdzięcznie upudrowaną głowę, z harcapem w złotej siatce, szarmancko przed kimś zamiatając kapeluszem, uśmiechem i komplementami.

Albo promenowały leniwe damy, całe w szeleście jedwabiów wzdętych na biodrach, siwe loki spiętrzone na głowach, dekolty z pod bujnych piersi aż za łopatki, muszki na wybielonych twarzach, dyamentowe wisiory w uszach, treny na pięć łokci, haftowane złotem liliowe pantofelki, maleńkie wachlarzyki, przysłaniające usta mocno naczerwienione i lubieżne połyski podczernionych oczów.

Zaś niekiedy prześlizgiwał się wskróś tłumów jakiś labuś w mantoleciku i koronkach, z misternie pozawijanymi puklami na skroniach, piękny, upudrowany, woniejący, ze złotą tabakierką w wypieszczonych rękach, w fioletowych pończochach i trzewikach z dyamentowemi sprzączkami, powdzięczył się, tu i ówdzie skropił słodkawym uśmiechem, rozdał wytworną jałmużnę słówek pieszczotliwych, spojrzeń i tabaki, przetarł się kocim ruchem o panny i, pożerając je lepkiemi oczyma, gawędził o wcale nie wzniosłych materyach.

A wśród wzmagających się gwarów co chwila rozbrzmiewał jakiś nowy język: pieszczone słowa italskie migotały, niby szpady z aksamitnych pochew wyrywane; niekiedy szpetnie zawarczał niemiecki, jakoby jeno w dyskursach z psami wypróbowany; angielski zdał się być skrzybotem rozgryzanych kamieni; wdzięczył się akcentami rosyjski, a skakał niespodzianie w prysiudach; polski buchał układną wielce, a wrzącą falą, lub nagle tętnił i walił grzmotliwie, niby ataki skrzydlatej husaryi, ale francuski szczebiot lśniący, zimny i obrachowany, najczęściej pryskał szampańską pianą żądliwych dowcipów i ucinków. Zwłaszcza paru Sieversowych oficerów, przy-

branych wedle ostatnich wzorków, trzymało prym w tych żartach, często nieprzystojnych, i w obcesowych zalecankach. Socyeta bowiem, mimo świetnych manier i pozorów, była wielce mieszana. Kręciły się w niej jakieś cudzoziemskie persony, gładkie, oświecone, często utytułowane, ale o których nikt nie wiedział nic pewnego. Chyba ambasady, przestające z niemi w zażyłej komitywie. Były nawet i damy, polecane z wysoka i przyjmowane w najcnotliwszych domach, a również podejrzane. Uwijało się też sporo zagadkowych rodaków i nowych nazwisk, pachnących wczorajszą nobilitacyą, ale że niewolili złotem, hojnie rozsypywanem, że byli mistrzami w kartach, intrygach i hulankach, wiedli rej między młodzieżą, która ich otaczała uwielbieniem i żarliwie naśladowała.

Wszystko to roiło się teraz w ogromnej sali, jakby oczadzone szałem pustej, beztroskliwej wesołości.

Uczta była wspaniała, wina przednie, kobiety piękne, młode, żądne zabawy, a kawalerowie dorodni i tak bujni, że ledwie się mieścili w układnych słówkach, wyuczonych obrotach i sztucznej powściągliwości.

Przebierali też nogami, niby popętane źrebce, skrzyła się im w oczach nieokiełzana ochota i coraz niecierpliwiej czekali rozpoczęcia tańców.

Zaręba obzierał ich z niemałem ukontentowaniem i niechybnemi oczyma werbownika obmacywał te bycze karki, spowinięte muślinami halstuchów, rozrośnięte mocarnie gnaty, opięte w przyciasne fraczki, sprężyste, jelenie nogi, żylaste ręce i otwarte, szczere twarze, prze-

robione na pokaz i modną manierę. I z radością myślał, jak to ktoś władnie krzyknie na całą Rzeczpospolitą:

— Do broni! Na koń!

Jak to w mig oblecą z nich barwiste szatki, krew zagra, serca sprężą się męstwem i znajdą się tam wszyscy, gdzie być powinni, w polu, nieustraszenie zastawiając drogę wrogowi.

Już widział ich w odmętach bitew, srożących się jak lwy, gdy, naraz spostrzegłszy o parę kroków Izę, utonął śpiesznie w ciżbie i prześlizgiwał się niepostrzeżenie do dalszych komnat.

W ostatniej, okrągłej, obitej zielonym jedwabiem i zastawionej wspaniałym sprzętem, byli zebrani dokoła ambasadora wszyscy, którzy stanowili sól ziemi, jej radę i zarazem ramię bronne.

Sievers siedział w nizkiem karle i, popijając wodę, zaprawioną kwiatem pomarańczowym, włóczył zmęczonemi oczyma po twarzach, rzucając kiedy niekiedy jakiemś słówkiem łaskawem.

Stali dokoła, tak wpatrzeni w niego, zasłuchani, a przejęci głęboko, że kiedy podnosił głos, wszystkie oczy wpijały się w jego zwiędłe jagody, niby pszczoły znęcone pozorem, a kiedy milknął, zażywając tabakę, i nie podsuwał jej nikomu, posępniały twarze, grążyli się w niepokoju i trwodze, a kiedy się raczył poruszyć, tłum drgał bezwiednie tak samo i falowały z radosnem szeptem głowy dygnitarzów, niby dojrzały łan do nóg gospodarzowi.

Zaczął wreszcie spacerować po komnacie. Rozstępowali się, jakby przed sakramentem, żebracze spojrzenia

słały mu się pod nogi, a uniżona podłość czyhała w każdej twarzy na jedno choćby jego słówko, choćby na jeden uśmiech łaskawy.

Zaręba ledwie się już pohamował i, opity strasznym gniewem, uciekł z powrotem do sali, wcisnął się pod chór i puścił wodze dzikiej modlitwie nienawiści.

— Postronków i kata! — syczał zbielałemi wargami. — O hańbo! hańbo! — powtarzał, biczując się aż do rdzenia najgłębszego z bólów.

Naraz zagrzmiały nad nim pierwsze dźwięki polo neza i po sali poszły gorączkowe rumory i wołania:

— Polonez! Miejsca, mości państwo! Miejsca! Polonez!

Jakoż kapela, zestrzeliwszy wszystkie głosy w jedno, powiodła zgodnie tan rozkołysany, górny a uroczysty, dziarski a pełen powagi, radosny a dumny i mocą hartowny a wspaniałością dyszący.

W złoconych drzwiach ukazał się Sievers, z szarmanckim ukłonem podał rękę pani Ożarowskiej i poszli w pierwszą parę poloneza... A za nimi ruszył długi, migotliwy korowód i płynął po sali rozmigotanym wężem, wśród posuwistych stąpań, wabnych uśmiechów, kornych pokłonów, strzelistych słówek i dźwięków, wznoszących się coraz szerzej, coraz przenikliwiej i coraz ogromniej.

Aż uczyniła się na sali przedziwna cichość. Pary za parami płynęły w uroczystem milczeniu, niby wstęga migocąca tęczami, a tylko kapela podawała swoje dostojne i rzewliwe głosy...

...Basy jęknęły niekiedy gędźbą zatroskanych star-

ców, zalśniły się tu i owdzie skrzypce, jak oczy dziewic, zroszone łzami pożegnań; wiole zaniosły się urywanym boleśnie płaczem: żalił się klawecyn i coś długo szeptał i za czemś wołał tęskliwie; fletrowersy łkały jakby wśród pocałunków namiętnych i rozstawań żałosnych — gdy naraz trąby zagrzmiały wyniosłą, chmurną pieśń boju i chwały; porwał się górny szum orlich skrzydeł, ciężkie tętenty zadudniły, chrzęsty ciężkich zbroic, dalekie rżenia, głosy, śpiewy...

Pancerni! Pancerni!

Mróz przeszedł kości! Sto serc zabiło i sto rąk padło na głownie szabel. Chodkiewicz na przedzie, tarant pod nim spieniony, las rozszumiałych skrzydeł, wiatr miota chorągwią, kopie migocą grotami, pobrzękują karaceny, huczą jak burza i jak burza cwałują...

Stanęli murem... patrzą nieulękłe, wierne oczy... błyszczą się ryngrafy; koń zaparska, ktoś z cicha westchnie, płyną żarliwe, ostatnie pacierze...

— Jezus, Marya! Bij, zabij! — spadł krzyk ogromny i zakwiliły piszczałki. Runął huragan, strzaskały się kopie, pierś uderzyła o pierś, zadzwoniły pancerze i już biją miecze, jak młoty, biją, jak błyskawice, biją, jak pioruny...

Wrzasnęły mosiężne blachy palącym wichrem boju; rzegoczą brzękadła janczarskie, trąby huczą przeciągle, niby armaty, skrzypce zacinają świstem tysięcy szabel, piszczałki bodą namiętnie sztychami, bębny zrywają się raz po raz suchym, krótkim warkotem, jakby trzaskiem samopałów, i czyni się straszliwy zgiełk; wszystko się miota, zmaga, przepiera i kłębi, pijane krwią, mordem

i szaleństwem, a tylko basowy głos wciąż pojękuje głucho i jednako uparcie, mściwie i nieubłaganie huczy:

— Bij, zabij! Bij, zabij! Bij, zabij!

. . . . . .

A w pierwszą parę tańczył Sievers z panią Ożarowską.

. . . . . .

Z nagła uderzył pod stropy szeroki, tryumfalny śpiew zwycięstwa! Zaszumiały prawieczne lipy, grzmią wiwaty, stary dwór dygoce, biją łunami okna, krew gra upojeniem, ręce szukają rąk, żenią się miłosne spojrzenia, serca pienią się radością, niby puhary, prężą się dusze, ponosi ochota.

Hej, jak cudnie i weselnie na świecie, hej!

— Odbijanego, mości panowie, odbijanego!

Klasnęły dłonie, przechylają się głowy, furkoczą sukienki, czasem rymną obcasy, zatrzepią się wyloty i brzękną karabele...

...Szarmanckie dygi, posuwiste ukłony, nagłe przyklękania, oślepiające zawroty, namiętne rapty, ściszone afekty, niespodziane szlochy, i polonez niesie się, wije i migoce ognistą wstęgą dokoła sali w powodzi świateł, barw i zawrotnych dźwięków kapeli, która już swawoli, przekomarza się, przyśpiewką zaniesie, pobaraszkuje, buchnie śmiechem, czasem hulaszczo utnie, czasem powieje smutkiem, a coraz cudniej kołysze czarami upojeń i zapomnienia.

. . . . . .

A w pierwszą parę tańczył Sievers z panią Ożarowską.

. . . . . .

— Jakże się zabawiasz? — pytał Woyna, przysuwając się do Zaręby.

— Jakby na teatrum! Cała Rzeczpospolita tańczy przede mną.

— Raczej cała polska kanalia z dostojnym opiekunem na czele.

— Nie widzę tylko Ożarowskiego.

— Bohaterski regimentarz pojechał do Petersburga. Może tam zabiega o sutszą nagrodę za redukcyę wojsk! A może tylko z przyjaźni dla delegacyi, która pojechała z oderwanych województw składać hołdy Imperatorowej.

— Zniewolono ich do homagium...

— Niezupełnie, ale nasi panowie tak wielbią carskie antyszambry!

— Z kim tańczy Pułaski? — zawołał Sewęr, przyglądając się tańczącym.

— Z generałową Duninową. Może się spokojnie zabawiać: wszak jej mąż trzyma pod armatami Grodno i nas wszystkich. Jest tutaj więcej tych dam obozowych. Wybrana socyeta.

— Ale podkomorzyna znalazła sobie wspaniałego tancerza.

— To hrabia Ankwicz. Pierwsza gęba na sejmie i może pierwszy rozum, ale niechybnie i pierwszy jurgieltnik. Ma tysiąc pięćset dukatów miesięcznie od Imperatorowej i wielkie prospekta na przyszłość. Cichy

konsyliarz Sieversa! — zaszeptał mu do ucha. — Jego to głową, dowcipem i zabiegami stanął dzień 17 lipca. Imaginuj sobie, co za persona!

— Zaiste niepowszednia! — przytwierdził, pożerając go oczyma.

— Czekajże, przepowiem ci całą litanię, znam ją na pamięć. Za Ankwiczem paraduje jeszcze lepszy, Miączyński. Piekło wypluło tego łotra z najgłębszych czeluści. Kostera, pijak i parricida. Tysiąc dukatów miesięcznie i prawo bezkarnego łupienia, gdzie mu się da. Gardziel nienasycona, dziurawa kieszeń i robaczywe sumienie. Zawsze gotów na największe łajdactwo. A poza tem niezrównany bibosz, czarujący hulaka, cynik i pierwszy kpiarz na świecie. Zaufany Igelströma, przeprowadził po jego myśli ostatnie wybory w Koronie, naturalnie za osobną dopłatą. Tańczy z panią Załuską, damą serca swojego patrona i przyjaciela, która teraz zabiega o podskarbiostwo koronne dla męża. Wielce dobrana para. Dyabeł będzie miał z nich pociechę.

— Prędzej należą się katowi! — syknął Zaręba, lecz dla zatarcia tych słów dodał prędko: — A tego za niemi skądś znam.

— Bieliński, marszałek sejmowy. Tysiąc dukatów miesięcznie na rękę, a drugie tyle wiktem, kwaterą i kochankami. Daję ci słowo! Boscamp musi mu codziennie dawać strawne, bo inaczej nie miałby co jeść, ni gdzie mieszkać. Wszystko bowiem przegrywa. Od Kossakowskich też wydębia niemało. I tu strzyże i tam goli.

— Czy to Moszyński ten rudy? Wspaniale udyamentowany!

— A tak, to nasza droga »percepta«, graf Fryderyk. Widocznie mniema, że z pod drogich kamieni nie dopątrzą jego garbu i lisiej twarzy.

— Nasz wice-komendant od kadetów, ale ledwiem go poznał. Bardzo się postarzał. Ten chyba nie na jurgielcie? Za bogaty!

— Bogaty, biedny, co to ma do tego! Bierze ten, któremu dają. Nie dają przecież za darmo, dla czyichś pięknych oczu. Otóż »percepta« gotówki nie bierze, ale jest takiego rozumienia o sobie, że niechaj mu błysną podkanclerstwem, a zrobi, co zechcą. Tymczasem już pyszni się tabakierką z portretem imperatorowej, którą dostał za traktat. Ambitna to persona, nieużyty, jak kamień, i chciwy, jak Żyd. Bardzo przytem oświecony i szczerze pracujący dla Semiramidy i Rzeczypospolitej! Ma dwie gorące pasye: lubi się popisywać tańcem i namiętnie zbiera drogie kamienie. Uważ, jak nimi przypstrzony, niczem sama Luhlli! Jego sprzączki warte są z pięćdziesiąt tysięcy dukatów. A ta, co się tak pocieszne wytrząsa u jego boku, niby kobiałka przy chłopskim wozie, to generałowa Rautenfeldowa. Generała sam wkrótce poznasz i pokochasz, czyni bowiem honory sejmowi, asystuje posiedzeniom z zapalonymi lontami u armat. Cieszy się też gorąco estymą u powszechności.

— Ale dama ma pozór obozowej markietany. Słucham cię dalej z jednakim podziwem.

— Zwłaszcza nie szczędź podziwu! — uśmiechnął się jadowicie. — Do końca mamy jeszcze daleko. Widzisz tego w zielonym fraku i złocistej weście? To hetman polny litewski, Zabiełło. Może go znasz, ale nie psuj

mi przyjemności pokazywania go. Ma oczki pełne czułości, twarz poczciwca i chód głodnego wilka. Wielce to godna persona! Złupił rodzonego brata i puścił go z torbami. Sprawa była głośna na całą Rzeczpospolitą. Kreatura Kossakowskich i konfident w łupiestwach i wiolencyach wszelakiego rodzaju. Abyś miał, rycerzu, głębszą estymacyę dla hetmana, toć powiem, że on to sprzedał rozpuszczoną brygadę bracławską Kreczetnikowowi. Mówią jeszcze o tem po cichu, ale już głośno wiadomo, jako łowił z kozakami gemeinów i brał za nich po pięć rubli, za oficerów po pięćdziesiąt, a rynsztunek sprzedawał osobno. Trzeba dodać, że musiał się dzielić ze swoim kamratem Złotnickim. Rozumiesz, jako to mąż wielce już zasłużony sprawie publicznej — dodał z bladym uśmiechem.

Sewer naraz obejrzał się żywo. Pod drugą kolumną stał Jakób Jasiński, jego dawny pułkownik, i zdawał się pilnie nasłuchiwać.

— Powiadasz straszne rzeczy! Bałbym się tyle wiedzieć.

Spojrzał trwożnie w stronę Jasińskiego.

Woyna zrozumiał jego obawy, ale, zabawiając się przegarnianiem włosów na skroniach, rzucił niedbale:

— Wszyscy o tem wiedzą i zwierzają się pod tajemnicą. Tylko ja nie zastrzegam jej dochowania. Masz wolę, to rozgłaszaj.

— Nie skorym do powtarzań, zwłaszcza rzeczy prawie nie do wiary.

— Nie wierz, ale jeśli cię to zabawia, słuchaj cierpliwie... Uważaj: frak różowy w kwiatki, harcap

nie rozumiejąc ich cudacznie łatanej francuszczyzny, zajęty tylko Jasińskim i każdem jego poruszeniem.

Zesuwane lornetki o jednem szkle co chwila podnosiły się, mierząc do różnych piękności, a żądliwe języki pracowały bez wytchnienia.

— Niesiołowska! Voile et tunique à la Vestale! Ha! ha! a wygląda, jak klucznica, udrapowana w brudne prześcieradła.

— Albo ta Szydłowska! Jej coiffure à l'antique podobna jest do roztrzęsionego wiechcia grochowin. To musi być w guście płockim.

— Ożarowska wygląda dzisiaj, niby wysiedziana srodze kanapa.

— I mogła swój obwisły brzuch zostawić w domu. Przykro patrzeć.

— Walewska nie ma nic pod tuniką! Bezwstydna, obnosi swój krostowaty comberek, niby monstrancyę. Pies-by zawył na taki aspekt!

— Patrzcie, marszałkowa litewska ma dekolt od pępka do pośladów.

— A drygają za nią, jakby chciały uciekać ze wstydu.

— Byle ich nie zgubiła, jak starościna Wodzińska w Warszawie.

— Luhlli! Jakie perły! Jaki orszak! Paryska pomywaczka!

— Szambelanowa Rudzka ze swoją dziobatą małpą.

Zaręba drgnął i słuchał uważniej, choć ze ściśniętem sercem.

— To jej nowy ami! Mówią, że już wydał na nią

trzydzieści tysięcy dukatów. Sprowadza z Paryża sztafetami suknie i cukry.

— Mówił ktoś pewny, jako ona i drugim nie refuzuje...

— Tc z poczciwości, żeby im w kompanii łacniej było podołać ekspensom. Biedna cnotka, pieniądz teraz trudny, a szambelan skąpy.

Zaręba aż się skręcał z bezsilnej wściekłości, ale spostrzegłszy, jako Jasiński zabawia się przekładaniem pierścienia z palca na palec, i to w pewien szczególny sposób, przystąpił do niego i szepnął:

— Jakiż piękny pierścień!

Jasiński podał go z uprzejmym uśmiechem.

Pierścień był złoty, formy zwanej rzymskiego rycerstwa, z napisem »Fidis Manibus«, datą 3-go Maja i z imieniem wpisanem we środku. Noszono go na pamiątkę konstytucyi.

Zaręba wyjął z kamizelki taki sam i podsunął mu pod oczy.

— Podobien tamtemu! — szepnął ze drżeniem, oczekując responsu.

— Jak Zdrowaś do Wierzę! — wionął ledwie dosłyszalny głos.

Wtedy Zaręba przysunął się jeszcze bliżej i zaszeptał:

— Pan z tobą...

I wymienił swoje nazwisko.

— Stań do mnie bokiem, przeglądaj pilnie publikę i jakbyś mnie nie znał. Znasz mnie, kadecie? Z której jesteś brygady?

— Z drugiej. Któżby z nas nie znał pułkownika powiedział radośnie.

— Szef zapowiedział mi twój przyjazd.

— Już jest w Grodnie? — Rozglądał się po sali, a chociaż dojrzał Izę w pośrodku tańczących, nie poruszył się z miejsca, przejęty ważnością chwili.

— Będzie w tych dniach. Zbiera się Rada. Gdzie Naczelnik?

— Prawdopodobnie już w drodze do Krakowa.

— A szpieguny tropiły za nim po Grodnie i okolicach.

— Był taki zamysł, musiał go wydać Mierosławski. Ostrzegam przed nim; prowadzi jakieś konszachty z Targowicą. Miał cale długie sprawy prowadzić. Potrzeba mi czucia z Madalińskim i Grochowskim.

— Jutro dostaniesz planty. Kwateruję w domu hetmanowej Ogińskiej, ale częściej mnie znajdziesz na obiadach u Ożarowskiego lub Kossakowskiego. Nie dziwuj się niczemu —. mówił, przysuwając się jeszcze bliżej. — Musisz wejść w komitywę z rosyjskimi oficerami. Woyna ci pomoże, on tu za pan brat ze wszystkimi, ale z nim samym ostrożnie: przebiegły i papla, gotów dla dowcipu zaprzedać duszę. Masz pieniądze?

— Bernaux ma dawać, wiele potrzeba.

— Bądź jutro na mszy przeorskiej u Bernardynów.

— Ja tam kwateruję. Czy poczta z Warszawy ustanowiona?

Ale miasto odpowiedzi usłyszał oddalające się kroki, a po jakimś czasie zobaczył Jasińskiego na drugiej tronie sali, w orszaku pięknej Luhlli. Prawił jej właśnie

jakoweś dusery, już cały w dygach, ukłonach i uśmiechach. Piękna twarz wyraziście odbijała jego wzniosłą duszę, oczy skrzyły się przytajonym ogniem, a pełne usta snadź prawiły wymownie, bo buhlli spozierała na niego coraz łaskawiej i czulej.

Mówił szybko, często rozgarniając utrefione, bujne pukle, spływające aż na kołnierz zielonego fraka i gestykulując prawą ręką, jakby rąbał szablą.

Zaręba patrzał w niego gorącemi oczyma dawnego czciciela i czuł się po tem niespodzianem spotkaniu dziwnie skrzepionym na duchu i nie tak samotnym wśród rozbawionych tłumów.

— Więc i on z nami! Artylerya litewska nasza! — rozmyślał, ledwie hamując radość. Jął rozważać wszystkie dobre następstwa, płynące z tego faktu dla sprawy i wiązać je z ogólnymi zamysłami.

— Zatańcujecie wy niezadługo! — zaszeptał mimowoli, goniąc oczyma Sieversowych oficerków, jak wilk, drapieżnie i nieubłaganie. — I wnet się skończy to wasze psie wesele!

Srożyła mu się dusza, wzburzona tą rozszalałą, bezmyślną wesołością, panującą dokoła i widokiem zdradliwych jurgieltników, wyjawionych przez Woynę. Gonił za nimi przyczajonemi spojrzeniami, ważył każdy szczegół ich twarzy i brał w pamięć.

Iza przemknęła obok niego w tanecznym wirze. Nawet się za nią nie obejrzał, ale pierwszy raz w życiu spojrzał na kobiety z nienawiścią.

— Kukły piekielne! Zwodnice! — lał gorzkie słowa

i na czułe spojrzenia, jakiemi go darzyły, odpowiadał srogiemi oczyma wzgardy.

Przystanął jednak w złoconych drzwiach i coraz niespokojniej patrzył na pary, wirujące po sali. na obnażone piersi, bose nogi, powiewne tuniki, nie ukrywające niczego, na bezwstydne nagości, pożerane zjurzonemi oczami i na lubieżne skręty ciał, wijących się w tańcu.

Dreszcz nim zatargał i krew się wzburzyła, bowiem pierwszy raz zobaczył ten Olimp jakowyś, od którego wiało namiętnym szałem i rozkiełznaną lubieżą.

Sromał się w duszy, a nie mógł oderwać oczu i stał, jakby przykuty. Niby sen, pokuszeń pełen i złud czarodziejskich, wirował mu przed zgorzałemi oczyma, snuł się nieskończoną wstęgą i niezmożenie nęcił, upajał i porywał... Jakby korowód cudnie foremnych niebianek, płynący w obłokach pajęczych osłon, wskróś których grały żywe kolory ciał i wszystek zarys ich straszliwej piękności.

Były tam Psychy, o piersiach pąków kwietnych i twarzach jakby z księżycowych promieni; były wyniosłe, dumne i nieprzystępne na pozór Dyany, o ustalonej sławie rozpustnic.

Były westalki, spowite w niepokalaną biel eternelów i białym liliom podobne, a zuchwale zamiatające oczami.

Były Cerery, królewskiego majestatu pełne i siejące dokoła dreszcze namiętnych pożądań i szałów

Były nimfy i dryady, przybrane całkiem à la sau-

vage, w kwiaty tylko, pióra, klejnoty i nagą bezwstydność.

Były i dziewczątka zaledwie wyrosłe, zasromane swoją nagością, wylękłe a szalejące, niby bachantki.

Było i wiele innych, jedna od drugiej piękniejszych, a każda, gwoli modnym obyczajom, wystawiała wszystko, co tylko było na pokaz i przedanie.

— I czemuż w takiej solitudzie? — zabrzmiał naraz cichy, słodki głos.

Odwrócił się. Podkomorzyna stała przed nim z czarującym uśmiechem.

— Zbłąkałem się wśród cudów! wskazał oczyma na tłum tańczących.

— Mogę być waści Aryadną!

Zwilżyła językiem nabrzmiałe, czerwone wargi, tyftykowa écharpe opadła jej z ramion, że zajaśniała mu tuż przed oczyma, jakby całkiem naga.

Cofnął się nieco skonfundowany bujnością jej wdzięków i palącemi lubieżnie oczyma.

— Zatańczysz waszmość ze mną angleza! — Tknęła go pieszczotliwie w piersi wachlarzem.

— Jakżem nieszczęsny! Nie odróżniam kozaka od menueta!

— Szkoda, bo z waści chłop na schwał! — strzeliła naraz prosto z mostu, przyglądając mu się z nieukrywaną lubością.

Obruszył się srodze i wypalił również porywczo:

— Na nic taksa, bom nie na przedanie.

Skłonił się hardo i odszedł.

Stropiła się nieco podkomorzyna, lecz długo za nim patrzała.

A on włóczył się po pokojach, szukając samotności, wszędzie jednak było pełno ludzi. W zacisznych bokówkach, gdzie mdłe światełka, umieszczone w urnach alabastrowych, jakby zapraszały do skupionych dumań, taiły się rozełkane szepty amorów, lub drzemały utrudzone matrony, zaś w paradnych komnatach, po wyjeździe Sieversa i całego koru dyplomatycznego, grano zaciekle w karty. Izby były wprost zatłoczone i mroczne od dymów, palono bowiem lulki, nie bacząc na damy ni obyczajność. Faraon panował wszechwładnie, stoły były w oblężeniu, nad zielonemi polami schylały się drapieżne głowy, migotały zgorączkowane oczy i roztrzęsione ręce. Raz po raz padały ważkie deklaracye, po których następowały chwile męczących oczekiwań, przejęte suchym szmerem wyrzucanych kart, a tak napięte, że słychać było świszczące sapania i dygoty nóg. Potem zrywały się nagłe wybuchy przekleństw, gwałtowne sprzeczki, brzęki przegarnianego złota i ciężkie, zbolałe milczenia.

I tak szło w kółko, przy coraz innym stole i w innym pokoju.

A przytem tak niepomiernie pito, że zaledwie liberya nastarczyła podawać i nalewać.

Zaręba miał już dosyć tych aspektów, gdy zjawił się przy nim Woyna. Miał oczy dziwnie błyszczące i wypieki na twarzy.

— Pewnie się zgrałeś?

— Haniebnie, prawie aż do sprzączek! Pożycz mi, co tylko możesz!

Zaręba podał mu dość pękaty worek.

— Z pięćdziesiąt dukatów! — szepnął Woyna, ważąc go na dłoni. — Zagrajmy do motyi!

— Jak chcesz. Któż cię tak obębnił?

— A ten drogi twój towarzysz, Nowakowski.

— Dobrze, żeś mi przypomniał; muszę się z nim zobaczyć.

— Tylko z nim nie graj; ma zawsze takie szczęście, jakby był w cichem porozumieniu z fortuną. Siedzi w okrągłym pokoju. Mam czuja, że się odegram. Dziękuję ci!

Uderzył się w kieszeń nabrzmiałą i poleciał.

Ale Zarębie odechciało się naraz widoku Nowakowskiego.

Wrócił do sali, na dawne miejsce, pod kolumnę chóru i chodził oczyma za Izą. Spacerowała w asyście dziobatego, bladego pana, który łasił się do niej, niby psiak i o coś natarczywie molestował. Nie odpowiadała, wodząc schmurzonemi oczyma dokoła. Kilka razy poczuł na sobie jej spojrzenie przenikliwe, ale jakby nic nie widzące.

Przeszła mimo niego nadąsana podkomorzyna — nie zauważył; przeszedł Jasiński — nie zobaczył; jacyś młodzieńcy tuż za nim wyznawali sobie jakieś intymne szczegóły o różnych pięknościach — nie słyszał nawet ich głosów. Ją tylko widział w całej sali, tylko ją jedną...

Ale nawet nie zapragnął zbliżyć się do niej. Wo-

lał tak z dala patrzeć i brać na wieczną pamięć cudny kształt jej postaci. Pocóż mu więcej? Napatrzy się tylko i odejdzie! Postanawiał, nie mogąc się ruszyć z miejsca. Spostrzegła go i przystanęła, zatapiając w nim badawcze oczy. Zagadkowy uśmiech przewijał się po jej ustach, a jemu gwałtownie zabiło serce... Odeszła i zginęła w tłumach. Muzyka znowu zabrzmiała i rozpoczynał się nowy taniec. Dauvigny, jak biały wiatrak, wymachiwał rękoma, ustawiając niesforne, rozbawione pary.

Naraz Zaręba się pochylił, niby pod ciosem wymierzonym, mróz przeszył mu serce... Szła ku niemu z jakiemś cichem wołaniem, usta jej bowiem drżały, jakby jego imieniem. Płynęła, niby falą, roztrącając skłębione ciżby z królewską wyniosłością. Czarne loki poskręcanem rojowiskiem wiły się po jej czole, skroniach i szyi. Strome, odkryte piersi parły się zuchwale naprzód. Szła ruchem rozkołysanego kwiatu. Chwilami zatapiał ją roztańczony tłum i porywał. Czekał w bolesnym dygocie, aż znowu wypłynęła, aż znowu zalśniła jej złotawa tunika, osypana różyczkami i smukłe, nagie do kolan nogi. Przyśmiech miała na ustach, przyśmiech pomieszanej radości, a orzechowe, pocętkowane oczy jęły się skrzyć, niby u zaczajonego tygrysa.

Była coraz bliżej; posłyszał tupot jej sandałów, już go przejął straszliwy żar, serce biło mu coraz silniej, zapragnął upaść przed nią na twarz, nie poruszył się jednak i naraz począł się rozpaczliwie zbroić w obojętność i osłaniać puklerzem drwiącego uśmiechu.

— Czekałam, że może się ze mną przywitasz.

Zatrząsł się. To ona mówi, wyciąga rękę, orzechowe oczy patrzą w niego...

— Jakżebym śmiał, pani szambelanowo... jakżebym śmiał? — Urwał, tak własny głos wydał mu się obcym i wstrętnym.

Spojrzała zdumiona i jeszcze oczekująca, lecz nie odezwał się już ani słowa, tylko wpierał w nią nielitościwie zimne oczy.

— Pani szambelanowo, czekamy! — wołał ktoś, podbiegający w tanecznych dygach. Podała mu rękę i odeszła, kryjąc gniew.

Zaręba postąpił za nią parę kroków, ale tłum ich rozdzielił i zepchnął go na dawne miejsce.

Olbrzymia sala zakręciła mu się w oczach, wszystko się splotło w jeden wir — i światła i czerwone obicia i ludzie i lśniące zwierciadła, a na czele tego łańcucha biały Dauvigny wciąż wymachiwał laską, przystrojoną we wstęgi, skakał, niby pajac za pociągnięciem sznurka i wrzeszczał skrzekliwym, starczym głosem.

Zaręba wparł się mocniej w kolumnę i już ani na chwilę nie spuszczając oczu z Izy. I nie żałował niczego, ni dawał się na pastwę tęsknocie. Był zupełnie spokojny, tylko ten tryumf nad sobą miał jakiś gorzkawy posmak rezygnacyi, bolał go nieco.

A Iza tańczyła teraz jakby tylko dla niego.

Snuła się wciąż przed jego oczyma, niby obłok złocisty

Była, jak kwiat, jak zjawa księżycowa i zarazem jak szał.

Twarz jej płonęła, oczy sypały błyskawicami, na-

brzmiałe usta migotały krwawą pręgą, wabiły kuszące uśmiechy, wdzięczne przegięcia pragnęły...

Każdy jej ruch był śpiewem tęsknoty, przypomnień i miłości.

— Nie znęcisz mnie! — odpowiadały jego harde, wyzywające oczy. — Nie dam się już na mękę! Zabiłaś moją miłość! — snuło mu się po mózgu, wraz z przypomnieniami jakichś przygasłych przysiąg i palących całunków. Odpędzał te zmartwychwstające mary, gonił je precz z pamięci, ale nie potrafił oderwać od niej oczu i odejść, jak postanawiał co chwila.

Otrzeźwiał dopiero, gdy ktoś trącił go w łokieć.

— Czego chcesz?

Stał za nim jego famulus i wiernik, Kacper.

— Przyjechał kapitan i jakiś gruby pan — zaszeptał mu do ucha.

— Dobrze, niech Maciej zajeżdża.

— Nie mamy przepustek.

Spojrzał, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Po rogach stoją ronty i kozacy patrolują po ulicach. Każdy musi mieć pozwolenie od komendanta Grodna.

— Jakże się dostaniemy do domu? Trzeba poczekać dnia.

— Trzeba wracać natychmiast, ważna sprawa. Zmówiłem się już z jednym Bośniakiem. Obiecał nas przeprowadzić.

Jeszcze raz spojrzał na Izę. Tańczyła z oczyma zwróconemi na niego, cała w uśmiechach i niemych błaganiach, cała jak krzyk tęsknej miłości.

Cofnął się gwałtownie za tłumy, przypatrujące się tancom i wyszedł.

Pod tarasem czekał jakiś człowiek, który szepnął:

— Proszę za mną! — I ruszył przodem, rozglądając się na wsze strony,

Na wschodzie już się zapalały pierwsze zorze. Park czerniał i zapadał się w gęste mgły, ciągnące od Niemna. Gdzieś od pastwisk dochodziły rżenia koni.

Zaręba obejrzał się na pałac: świecił wszystkiemi oknami, grzmiała kapela, roztańczone tłumy przetaczały się po sali i raz po raz wydzierał się zmieszany gwar śmiechów, tupotów i głosów.

— Kto, mówisz, na mnie czeka? — zapytał, naraz przystając.

— Pan kapitan Kaczanowski z jakimś grubym panem.

Zaręba ruszył tak prędko, ze ledwie mu nadążyli.

## II.

Przed bocznym ołtarzem odprawiało się nabożeństwo.

Kościół był pełen złocistych strug słońca, kadzielnych dymów i przejmujących brzmień organow. Msza bowiem była grana, lecz bez śpiewów i wystawy. Gruby przeor odprawiał ją trochę na pytel, śpieszył się czegoś a ilekroć odwracał się na kościół, oczy mu ciekawie latały koło dwóch schylonych postaci, ledwie dojrzanych w ławkach i na pozór wielce zagłębionych w medytacyach Zaś niekiedy, przy jakiemś Dominus, lub odwracając karty mszału, spozierał ukradkiem i podejrzliwie w twarze pobożnych.

Niewiele się tego dzisiaj zebrało; jakieś bufiaste jejmoście w kornetach rozczapierzały się w ławkach, niby indyczki, to mieszczki w strojnych czółkach i czarnych chustkach pobrzękiwały różańcami, a wreszcie parę krupnych bab, wpatrzonych załzawionemi oczyma w księdza, szeptało półgłosem pacierze.

Kilku kontuszowych starców, jakoby dla ornamentu, klęczało przed ołtarzem, nieco kapot za nimi, a w głębi

pod filarami tuliły się oberwane świtki, lipowe łapcie i pospólstwo. A gdy jakowyś dziadyga, postukując kulami, parł się naprzód, podtykając pod nosy klęczących żebraczą miseczkę, przeor zmarszczył groźnie czoło i dziw go nie sklął. Niecierpliwiły go też swarliwe, chociaż ściszone, rozmowy mnichów, którzy wraz z chłopiętami, przybranemi po bernardyńsku, stroili wielki ołtarz w kwiaty i dywany. Zdał się być cały w gorączce czekania i daremnych nasłuchiwań.

— Nie — szeptał Jasiński, pochylony nad rozłożonym modlitewnikiem. — Mówił mi Tęgoborski, sekretarz sejmowy, jako dzisiejsza sesya będzie salwowana na jutro. Muszą pierwej wygotować plenipotencyę dla delegacyi, mającej traktować z Buchholtzem. A przytem Sievers leży w łóżku po wczorajszych fetowaniach. Inni też radzi odpoczną.

Zaręba, wsparty łokciami o ławkę i z twarzą ukrytą w dłoniach, słuchał chciwie.

— Dostałem pilną pocztę z Wilna i muszę zaraz wyjechać. Powrócę za parę dni.

Zabrzęczały jazgotliwie dzwonki, rozległy się przeciągłe westchnienia, i wszyscy pochylili się ku ziemi. Rozpoczęło się podniesienie.

Jasiński przyklęknął, podsuwając równocześnie Zarębie jakiś szary sekstern.

— »Wyjątki z dzieł chińskiego filozofa Good« — zaszeptał ledwie dosłyszalnie.

Dopiero gdy ścichły rzegoty dzwonień, a organy ciągnęły dalej swoją przejmującą modlitwę, Jasiński, przysunąwszy się jeszcze bliżej, zaszeptał:

— To nasz konspiracyjny katechizm. W aneksach znajdziesz klucz do jego zrozumienia i plan rozkwaterowań wojsk rosyjskich w okolicach Grodna. Naucz się ich na pamięć i zniszcz. Szpiegunów pełno na każdym kroku. niewiadomo już komu zawierzyć. Miej się więc na baczności. Zelantów unikaj, bo za nimi chodzą czujne oczy. Krzywousty Skarzyński pod dobrotliwą strażą, ruszyć się nie może bez anioła stróża. Rób szaławiłę, pustaka i z takimi tylko przestawaj. Nim podasz suplikę, złóż czołobitność Moszyńskiemu; był in titulo wice-komendantem kadetów i tyle lat nas objadał, to może ci nie odmówi swojej protekcyi.

— Rozumiałem, że trzeba pierwej uderzyć do Ożarowskiego, ale on pono wyjechał do Petersburga.

— Bajęda! Nie było go wczoraj na balu, ale siedzi w Grodnie. Wyjechał hetman Kossakowski. Uprzedzam jednak, że Ożarowski chętnie mydli obietnicami, ale spełnia je tylko na rozkaz żony lub Sieversa.

— Jakiż skutek wzięły zabiegi Haumana?

— Plasuje się u Działyńskiego z pułkownikowskim awansem. Parę dni temu na sejmie sam król wnosił za nim gorliwą instancyę, a Gosławski, sandomierski, wobec całej izby sławił jego wierność ojczyźnie i męstwo.

— Widziałem, jak sobie poczynał pod Zasławiem. Byłem wraz z moją bateryą przy pułku Malczewskiego, którego on wtenczas był podpułkownikiem. Widziałem go i pod Zieleńcami.

— Przeszedłeś całą kampanię?

szczebiotem radosnym przysiadały mu na głowie, ramionach i gdzie się mogły czepić.

— Cicho, hołoto! Cicho! — krzyczał, opędzając się czerwoną chustką, czem wywołał jeszcze większe wrzaski. — Co ja mam z tem tałałajstwem! Mnoży się, że niech Bóg broni! — narzekał, wycierając spoconą, tłustą twarz. Cicho mi, hultaje! Zrób-no z niemi porządek! — zwrócił się do pucołowatego braciszka.

Rozległo się złowrogie krakanie tak udane, aż Zareba się obejrzał, a ptaki jakby się zapadły pod ziemię.

— To im dał bobu! — zaśmiał się przeor, opadając w głęboki fotel przed dymiącą misą, pełną piwnej polewki, gęsto zabielanej. — A możebyś waszmość napił się kawy? A może tak po żołniersku, kieliszek i wędlinki? Bardzo proszę, aniele mój złoty! Z łaski Boskiej mamy jakie takie zapasiki. Józef, skocz-no do kredencerza, cymbale jeden, w mig... Wprawdzie to dzisiaj piątek...

— Bóg zapłać, ale towarzysze czekają na mnie ze śniadaniem.

— Jeszcze chrapią, aż się rozlega — wtrącił mniszek, chowając twarz za przeora

— Imć Hłaskę znam oddawna. Poczciwie mu patrzy z oczu, ale to niemały zbereźnik i łasy na cnotę, niby kot na szperkę. Nie widzi mi się...

— Przyjaciel Prozora i człowiek duszą całą oddany ojczyźnie...

— Prawda, że to bije od niego jakowąś senatorską dostojnością. Prawda. Może wam czego potrzeba na

kwaterze? Każę wydać, byście nie wyrzekali na Bernardynów, jako was przywiedli do głodu. Hm! konfident pana Oboźnego! — mruczał, głośno pochlipując z misy i zezował na kosa, który wskoczył na stół i czając się, rychtował dziób ku kawałkom sera, pływającego w polewce.

— I kiedyż ma się zacząć?... A obwieś jeden! — wrzasnął na ptaka, uciekającego ze serem w dziobie. Pogroził mu łyżką.

— O tem wie tylko Rada — odparł cicho Zaręba, spoglądając nieufnie na braciszka, cmokającego ku pochowanym ptakom.

— Czegoż trzeszczysz oczy, niby kot na gorącym popiele? — huknął na niego przeor. — Przynieś wody dla ptaszków! — A gdy braciszek wyszedł, rzekł:

— To mój wiernik. Chociaż przezpieczniej o takich zamysłach nie mówić i przy najpewniejszych. Nie będę waszmości brał na spytki. Moja służba ojczyźnie w tem, aby słuchać i robić, co mi rozkażą. Chcę ci teraz, aniele mój złoty, dać człowieka, który, wedle mojego rozumienia, może się przydać. Na oko nic szczególnego, zwykły Bernardyn, ale człowiek po prostu czyste złoto. Głowa otwarta, zna języki, na żołnierce też się rozumie A ochotny i zdatny do wszystkiego. Prawda, lubi czasem pociągać z gąsiorka, lecz przytem cale nie leniwy do pracy, ni do służby Bożej.

— Czy aby dobry do sekretu?

— Głowę stawię za niego.

— Kiedy tak, rad się z nim zapoznam.

— Józef!... Prawdziwa perła!... Gdzież ten cymbał? Józef!

Wpadł wylękniony mniszek i pokornie stanął za krzesłem przeorskiem.

— Gdzieżeś się wałęsał? Poproś ojca Serafina.

Braciszek, wychodząc, dmuchał swawolnie w klatki, poustawiane pod ścianą na długich stołach. Podniósł się wrzask niemały i pisk.

— Skaranie Boskie z temi lactansami! Psie figle im tylko w głowie, a do służby i brewiarza nawet kijem nie napędzisz — wyrzekł przeor i usypawszy na stole długą grobelkę ziarna i okruchów chleba, zagwizdał przeciągle.

Ptaki cicho spłynęły na brzegi stołu, ważąc się na skrzydłach i trzepocząc.

— Nie rusz! Czekać! Baczność! — zawołał, odsuwając się nieco.

Ptaszki cisnęły się w szeregi, wszystkie dzioby podniosły się jakby do ataku.

— Naprzód! krokiem! krokiem! Stój! Cel! Pal! — grzmiała komenda, na którą stado rzuciło się na ziarno w karnym ordynku i jęło zawzięcie młócić.

Przeor aż się trząsł od śmiechu, wycierał spoconą twarz i obchodząc stół, głaskał po skrzydełkach, całował niektóre i pieścił, nie przestając ani na chwilę burczeć, strofować i grozić chusteczką.

— Zwolna, bratkowie, zwolna! Jadło nie ucieknie! A to zatkasz się, chamie jeden, i co? Znowu będę cię lekował! Panie Kosowski, nie tratuj drugich, bo weźmiesz po skórze! A cóż to, panno Skowrońska? Mama cię

wybiła, żeś taka osowiała? Czekajże, dam ci osobno! Zgodnie, mili bratkowie! Pani Ziębowa dobrodziejka niech robronami nie zamiata! Cymbale jeden!... — huknął znowu na kosa. — Zjadłeś mi ser, to drugich nie obżeraj! Boże, jakie to hultajstwo łakome, niezgodne, chciwe! Niczem człowieczkowie! Aniele mój złoty! — zwrócił się do Zaręby — a nie dworuj sobie ze mnie.

— Dziw mnie tylko zbiera nad egzercerunkiem tej ptasiej hołoty. Nielada to była praca!... Wracając do ojca Serafina, czyby nie można z niego zrobić kwestarza?

— Choćby dzisiaj, aniele mój złoty!

— Ale żeby mógł swobodnie wędrować po całym kraju...

— Przedni zamysł! W sam raz dla niego taka robota. O permisyę postaram się u prowincyała, zaś tymczasem bierz go waszmość, jak swojego. Jeno przypominam, jako to niezwyczajny brus Bernardyński.

— Skądże się wywodzi? Może z łyczków?

— Dużoby o tem mówić! Polecę zajrzeć do kościoła, bo biskup pewnie już kończy mszę. In saecula saeculorum. Amen! — rzucił machinalnie na skrzyp otwieranych drzwi. — A otóż i ojciec Serafin!... A teraz, baczność! Na gniazda, bratkowie! Marsz! — zakomenderował, powiewając chustką i w mig skrzydlate bractwo rozleciało się po klatkach. — Józef, a to szelmostwo zapstrzyło stół, że niech Bóg broni!

— Kto chowa ptaki z pisku, ten ma łajno w zysku — szepnął Serafin.

— Aniele mój złoty, każdy błazen swoim strojem! — odparł markotnie przeor.

Zaręba patrzał ciekawie na spokorniałą twarz mnicha i po wyjściu przeora, przystąpił do niego z wyciągniętą ręką.

— Ksiądz przeor wielce mi ojca polecał.

— Wiem już, o co chodzi. Dawno łaknę pociągnąć świeżego powietrza! Ochotnie pójdę pod komendę — mówił prędko, podnosząc na niego niebieskie, bystre oczy.

Był straszliwie chudy i mógł mieć lat pięćdziesiąt albo trzydzieści. Chodził przygarbiony i habit wisiał na nim, jakby na szaragach; głowę miał krótką, kwadratową, poszytą żółtym, szczecinowatym włosem, czoło wyniosłe i dziwnie białe, nochal drapieżnie zakrzywiony, usta od ucha do ucha, dolną szczękę wystającą i twarz gęsto upstrzoną cynamonowymi piegami.

— Niech ojciec zajrzy do mnie na kwaterę, to pogadamy.

Na odpowiedź mnich pokazał pierścień i szepnął tajne słowa.

— Jakżem rad, bracie i towarzyszu! — wyrzekł Zaręba, ściskając go serdecznie.

— Imć Sołtan był moim ojcem chrzestnym...

— Czy przeor wie o tem?

— Nie zdawałem mu relacyi, bo szkoda balsamu do kapusty, a różanego olejku na buty — rzucił z przekąsem.

— Poczciwy to człowiek i wielce oddany sprawie.

— Kto czyj chleb je, tego pieśnią śpiewa. Odprowadzę waszmość pana.

— Jakowys casus, że ojciec nogą zamiata?

— To po dybkach słodkie suweniry! — zaśmiał się, błyskając zębami.

Zaręba spojrzał z niedowierzaniem.

— Opowie się o tem kiedyś — mruknął, wyprowadzając go na korytarz.

Szli jakiś czas w milczeniu. Zaręba obzierał go z ciekawością.

— Więc czekam na ojca dzisiaj z wieczerzą, będzie nam składniej.

— Dziękuję za bedłek, mam doma dość rydzów. Przyjdę, kiedy mi wypadnie pora.

Pociągnął nosem i zawrócił do reflektarza na śniadanie.

— Jakiś cudaczny człowiek — szepnął Sewer za nim i powróciwszy do rozmyślań nad poleceniem Jasińskiego, wziął się na lewo, do klasztornego sadu, rozłożonego na skraju wzgórza, gwałtownie opadającego ku Niemnowi,

Dzień był gorący i upał już doskwierał, chociaż dopiero dochodziła dziewiąta; niebo wisiało bez jednej chmurki, niepokalany błękit mienił się atłasową płachtą, jaskółki szalały z przeszywającym świergotem.

Z rozkoszą zanurzył się w cień, sad bowiem był stary i rozłożysty, nad blademi trawami szarzały rzędy chropawych, spękanych pni, ostro świeciły żółte zatoki mleczów i grały olśniewające płaty słońca. Pod konarami wiał chłód i leżała rozedrgana cisza; dalekie

brzmienia organów spływały w słodką melodyę pszczół i owadów, brzęczących nieustannie. A niekiedy wznosiły się od Niemna przeciągłe wołania flisów lub jakieś kłótliwe, gniewne głosy.

Sygnaturka też raz po raz dawała znać, co się dzieje w kościele, zaś kiedy niekiedy radosne i ogromne głosy dzwonów płynęły od miasta z taką mocą, że wróble bractwa z niemałym wrzaskiem podrywały się z wisien i uciekały na dachy.

Zaręba, po chwilowem błądzeniu wśród ścieżyn zarośniętych, natrafił wreszcie na szeroką drogę, biegnącą grzbietem wzgórza do klasztornych zabudowań. Klasztor dotykał jej szczytami, ulica była wysypana żółtym piaskiem i obsadzona poczwórnym płotkiem bukszpanów nizko przyciętych, z pomiędzy których obficie wytryskiwały kwiaty: georginie zwieszały ciężkie, kolczaste i różnobarwne głowy, wdzięczyły się strojne malwy, pachniały róże i lewkonie, maki wybuchały śnieżnymi kwiatami, a nizko krzewiły się jakby z lękiem nasturcye i nagietki. Przygięte, rosochate drzewa kładły przesłonecznione cienie na żwiry ulicy, zaś tu i ówdzie ciężarne gałęzie, obwalone zrumienionemi jabłkami, grodziły drogę, jakby wyciągnięte ręce, lub żrałe wiśnie i nęciły usta i oczy, ale Zaręba, ślepy na wszystko układał w sobie scenę pierwszego spotkania. Już sobie imaginował, jak będzie wobec Izy chłodnym, powściągliwym i nieustępnym. — Tak, nic ponad powinną grzeczność! I ani jednego potrącenia przeszłości. Niech to już będzie pogrzebione w pamięci! — zapowiadał surowo. Przychodziły jednak chwile, w których klął

Jasińskiego, lub w których, jak Piłat, umywał ręce walając wszystką winę na niego. — Nigdybym do niej, nie przystąpił, nigdy! — narzekał. I tak szarpał się czas jakiś, przemierzając ulicę z końca w koniec, gdy się natknął na jakiegoś mnicha, który niewiadomo skąd się wziął i szedł wolniutko, macając kijkiem drogę. Zdał się być prawiecznym, tchnęło od niego grobem, oczy miał pokryte bielmem i twarz omszoną, niby trup. Przystawał co parę kroków, tykał suchymi palcami kwiaty i uśmiechając się zapadniętą jamą ust, wlókł się wskróś przepychu słońca i przyrody, niby zbłąkane, rdzawe widmo. Snadź był głuchy, bo na pozdrowienie nie odpowiedział, przystając dopiero w miejscu, gdzie w przerwie między drzewami roztaczał się ogromny widok.

— Bardzo cudnie! — zamamlał, pociągając nosem. — Bardzo cudnie! Chwałaż ci, Panie na wysokościach! — I rozglądał się po świecie jeszcze niegdyś zapamiętanym, niby po śnie wiecznie żywym i jednako miłowanym.

Jakoż istotnie było cudnie. Niemen błyskał w dole modro-srebrzystą wstęgą i wił się wśród brzegów wyniosłych. A za nim, trochę z prawa, strzelały wieże i mury Franciszkanów, otoczone wieńcem sadów i szarych, nizkich domostw. Szeroka smuga piaszczystej drogi dźwigała się od Niemna na wzgórza, wymijała klasztor, wlekła się kręto wśród spłowiałych pól, wiosek pochowanych w kępach drzew i ginęła w ścianie borów, czerniejących na horyzoncie. Widok był niezmiernie rozległy. Gdzieniegdzie poruszali się ludzie, zajęci sprzętem

zboża, snuły się kopiaste wozy, złociały sterty i słupy kurzawy wisiały nad drogami.

Zaręba przejrzał uważnie cały widomy kraj i nagle skierował lunetę na zarośla, położone na prawo od klasztoru, a tuż nad stromym brzegiem, gdzie bieliły się liczne namioty i grały w słońcu cielska armat.

Sześć sztuk, cała baterya, na podsypie i wyrychtowana prosto na zamek. Pewnie dwunastofuntówki: mogliby go znieść do czysta! Za namiotami szańczyki. I widety kozackie nad wodą. Brzegi dobrze obsadzone To nie żarty! — dumał, chowając lunetę. — Nie czas myśleć o amorach szepnął surowo, biegnąc do mieszkania.

Kwaterował w zabudowaniach klasztornych, oddzielonych od sadu potężnym murem, w domu, zwróconym frontem na uliczkę, prowadzącą ku rynkowi. Zajmował w nim dwie ciasne izdebki, przedzielone sienią i jakąś kletkę od podwórza, w której gnieździł się Kacper wraz z kuchnią.

Cały dom, długi, wielce nieforemny i pełen zakamarków, był straszliwą ruderą, przegniłą od wilgoci, odartą z tynków, z powybijanemi szybami i z dachem niby rzeszoto. Przykazano mu w nim zamieszkać, gdyż dom leżał na uboczu i łacniej się było z niego wymknąć do Niemna.

— Cóż, śpią jeszcze? — pytał Kacpra, otwierającego mu drzwi.

— Nie było rozkazu, tom nie budził — wyprężył się po żołniersku.

— Czem przyjechali?

— Pocztą. Na przekładane i prosto z Warszawy.

— To im się należy wypoczynek. Trzeba mi się przybrać. A! — zawołał z uznaniem, spostrzegłszy na łóżku już przygotowaną bieliznę i garderobę. Tualetowy sepet stał otwarty na stole pod oknem, a Kacper brał się do rozrabiania mydła i wecował brzytwy.

— Cóż tam słychać? — rzucił, spiesznie się rozdziewając.

— Bułanka okulała. Kazałem ją zaraz z wieczora przekuć. Nie pomogło. Na szczęście, zajrzał rano do stajni jakiś Bernardym, kazał jej pęciny obwalić maścią; powiada, że do jutra nie będzie znaku.

— Opatrzyć bryki. W zielonej coś chrobotały szprychy. Nie uważałeś?

— Rozeschnięte koła. Już miękną w stawie.

— Cóż tam więcej? — Zarzucił na siebie pudermantel i zasiadł przed sepetem.

— Maciuś znowu się spił.

— Już zdążył? Z kimże sobie wygodził?

— O zmierzchu kręcili się tu jacyś, niby to się przepytując o kogoś, a ryje ich węszyły na wszystkie strony...

— Może jakoweś szpieguny?

— Jeden powiadał się handlarzem koni, przybrany był z waszecia — szeptał, sprawnie namydlając twarz pańską — drugi patrzał na żołnierza. Przepędziłem ich, ale Maciuś się z nimi zwąchał i poszli pod Bernardyńską wiechę. Spił się, jak nieboskie stworzenie.

— Na drugi raz weźmie pięćdziesiąt odlewanych

i powędruje do domu. Jeszcze co kiedy po pijanemu naplecie niepotrzebnego.

— Niema strachu. On jest takiej natury, że jak sobie podchmieli, to już ani mrumru, a tylko cięgiem się śmieje! — powiadał, goląc sprawnie, niby cyrulik.

— Dobre chłopisko i wielka szkoda, że taki dusikufel.

Kacper, sprawiwszy się z pańskiem obliczem, przeodział Sewera w jedwabny, wiśniowej barwy chałat, suto przetykany złotem i podbity żółtą materyą, uprzątnął stół i podawszy ranną kawę, stanął z boku, wpatrzony w niego wiernemi, oddanemi oczyma. Chłopak był rosły i urodziwy, zielona kurta artyleryjska, tylko bez obszlegów, obciskała jego muskularną figurę.

— Długo tu będziemy popasali? — spytał nieśmiało, podsuwając garnuszek.

— Dokąd-że ci to już pilno?

— Tak dawno nie widziałem swoich! — westchnął, szczypiąc przycięte wąsy.

— Tęskno ci, widzę, do ekonomskich batów.

— Któżby śmiał mnie poniewierać? Żołnierz jestem, mam przecież krzyż od samego księcia! — Wyprostował się, duma zagrała mu w siwych oczach.

— Już pisałem do ojca, by ci dał wolność, ale z tem będą jeszcze kłopoty.

— Juści, starszy pan lubi robić na sprzeciw, twardy! Mogę się nawet okupić: nie przepiłem tego, co mi panowie oficyerowie nadawali pod Zieleńcami.

— Ani się waż z tem wyznać przed ojcem! Ja w tem, żebyś był wolny.

Kacper schylił się do jego ręki, ale Zaręba nie pozwolił się pocałować.

— Nie opuszczę cię w każdej potrzebie, bądź pewien.

— Ale pan porucznik pozwoli zapytać, czy w ostatnim liście z domu nie stało czego o mojej matce lub o pannie Dosi?

— Tum cię czekał! Ho! ho! panny Dosi ci się zachciewa! Wysoko sięgasz!

Kacper, srodze zawstydzony, bąknął coś ni w pięć, ni w dziesięć.

— Nie zamiataj, jak liszka, bo i tak znać tropy! — zaśmiał się Zaręba, nabijając lulkę. — Już dosyć dawno nie miałem wiadomości z domu.

— Mógłbym skoczyć zasięgnąć języka — szepnął, podając ogień. — Wyrachowałem czas: za tydzień byłbym z nawrotem.

Ze drżeniem czekał odpowiedzi.

— Nie przyjechaliśmy tu balować. Zresztą mam dla ciebie ważną robotę.

— Słucham pana porucznika!

Sprężył się, chociaż żałość nim zatargała.

— Gdzieś za Niemnem jest karczma, w której naszych gemeinów z rozpuszczonych brygad łowią, jak barany. Karczma zwie się Tyzenhauzowska. Przewiedz się, czy dużo jest takich w Grodnie, gdzie się zbierają i dokąd ich werbownicy pędzą? Nie żałuj traktamentów.

— Kiepski barszcz bez rury! Udam, jako sam chcę przystać do Rosyan.

— Fortel grzeczny, tylko niech cię naprawdę nie capną i nie popędzą...

— Zje dyabła psia mać, jak mnie w pole wyprowadzi.

— I weź się do tego zaraz!

Wysoka kanarkowa karyolka, zaprzężona w angielskie dryblasy, zaturkotała pod oknami. Kacper wypadł przed dom i wrócił z biletem.

— Nowakowski! Ależ proś! proś! — wołał Sewer, oglądając ironicznie bilet, na którym w otoku czerwonych ornamentów czerniało nazwisko i trzy wiersze tytułów.

Po chwili wpadł wystrojony jegomość w szpiczastym kapeluszu i w szpiczastym, rudym fraku, pobrzękując pieczątkami i dewizkami, na łóżko rzucił kapelusz, laskę na stół, rękawiczki pod piec. rozłożył ręce i sam się rzucił w objęcia Zaręby.

— Jakże się masz? Ledwiem cię odszukał! Co się z tobą stało na balu?

— Nudziłem się, jak pies na teatrum i wcześniej wyszedłem.

— Nie zrobiłem tego i żałuję. Woyna obłupił mnie do ostatniego dukata. Dziwnie i wyjątkowo sprzyjała mu fortuna.

Taki szczególny uśmiech zaigrał mu na szpiczastej twarzy, że Zaręba poczuł chęć wyrzucenia go za drzwi, ale tylko zauważył rubasznie:

— Nie graj Wojtek, nie przegrasz... obertelka.

— To pewnie nie wiesz nowiny, o jakiej w tej chwili mówi całe Grodno?

Zaręba, chociaż nie głodny nowin, spojrzał pytająco.

— Szambelanowa rozeszła się ze swoim ami!

— Z Cycyanowem?

Ledwie zdołał zapanować nad wrażeniem.

— Tak. Zrobił jej jakąś brutalną scenę, za co piękna pani podobno uderzyła go w twarz wachlarzem. Było przy tem wiele osób.

— Pogodzą się — szepnął, pragnąc się więcej dowiedzieć.

— Niewiadomo. Dla niego nie jest to zbyt wielka obraza, lecz pani lubi zmieniać przyjaciół, a że jest impetyczna i rozkapryszona, załatwia od ręki. W każdym razie otworzył się chwilowy vacat. Królewski to kąsek!

— Tylko dziegciem nieco przejęty — zauważył zgryźliwie Sewer.

Nowakowski się zaśmiał i odpędziwszy woniejącą chusteczką muchy, brzęczące mu nad głową, zrobił ważną minę i powiadał tajemniczo:

— Bal był zgoła nieudany. Za wiele powstało komeraży i mętu. Całe miasto aż się trzęsło od plotek. Bajędy rosną do rozmiarów skandalów.

— Cóż się takiego stało? Ja nic nie zauważyłem — wyrzekł zdziwiony.

— Naturalnie — szepnął z pobłażliwością. — Przedewszystkiem Buchholtz odjechał zagniewany prosto od stołu, z nikim się nie żegnając.

— I o cóż się rozsierdziła ta pludracka Mość?

— Nie wniesiono zdrowia jego króla. I w tem miał słuszność. Sam doradzałem, ale marszałek przewidywał, jako przy powszechnej animozyi do Prusaków mógłby kto nieprzystojnie zaprotestować. I wyszła przykra kabała!

— Mała szkoda, krótki żal — bawił się jego napuszoną powagą.

— Ale imaginuj sobie, co może z tego wyniknąć!

— Nowa nota pruska do Króla Jegomości. Można wytrzymać!

— Łacno z wszystkiego czynić krotochwilę! Ja zaś powiadam, że kto nie ma mocy, temu nie wolno zamierzać się nawet palcem — rzucił sentencyonalnie, — przewiduję, iż po tem stosunki jeszcze bardziej się zaostrzą.

— I Prusy za taki dyshonor ukradną nam o jedno województwo więcej.

— Jakąś satysfakcyę z nas wezmą, to pewna — podniósł głos, jakoby na sejmie. — W takiem położeniu nie judzić nam wrogów, ale zniewalać ich sobie życzliwością i zabiegami!

Tu trzasnął palcem w złotą tabakierkę, zażył z namaszczeniem i skrzywił się do kichnięcia.

— Nie rozumiem się w tej materyi, mów mi lepiej o balowych komerażach.

— A dobrze! — spojrzał na niego z politowaniem — Otóż potem hrabia Ankwicz tak się pogryzł z Kossakowskim, że skakali sobie do oczu. Biskup napewno dzisiaj pojedzie ze skargą do Sieversa.

— A cóż na to ambasador?

Przecież pamiętam, jak przy lubelskiem trybunale węszył za każdym dukatem, niczem wyżeł za kuropatwami. A teraz z wysoka, po jaśniepańsku i ledwie sobie raczy przypominać poczciwego człowieka! Ha! ha! to pęknę ze śmiechu!

Ale się nie śmiał, tak go dławiła bezradna wściekłość.

— Bo i wysforował się na nielada personę — wtrącił spokojnie Hłasko, wysoki, poważny szlachcic. w granatowym kontuszu krojem wojskowym i tak samo, jak Kaczanowski, z feldcechem przy prostej, czarnej szabli, co przy stroju cywilnym oznaczało oficyera. — Ma on przytem całe zaszarganą reputacyę. Kossakowski wypromował go na posła i zażywa do swoich widoków. Zdatny do wszystkiego i ma takie reguły, że zarówno lubi rubla, jak i talary. Czy waszmość z nim w przyjaźni? — zwrócił się do Zaręby.

— Znam go od dziecka. Był pewien czas wraz ze mną u kadetów, ojciec mój łożył na niego. Potem umieścił go przy boku hetmana Branickiego, zaś po jego śmierci zginął mi całkiem z oczu.

— Taki nie przepadnie, wyciągną go dyabli z każdej opresyi. Znałem go w swoim czasie w Lublinie; czepiał się wtedy poły sędziego Koźmiana, lecz pono i na swoją rękę szachrował. Nie musiał mnie zapomnieć, bo razu pewnej wesołej okazyi z panem Granowskim, spławiliśmy go w Bystrzycy.

— Krwawy despekt, zwłaszcza jeśli tęgo łyknął żabiego wina.

— Ledwie mu Goltz zmacał pulsy! Chciał się po-

tem rąbać z całą kompanią, skończyło się jednak na pijatyce i nowym figlu. Miał się on do pewnej...

— Możebyśmy dali spokój anegdotom — zauważył łagodnie Hłasko.

— Ale i to prawda, jako tutaj nic zapowiedniego w nozdrzach nie wierci.

— Zgapiłem się ze szczętem, darujcie waszmościowie. Kacper!

— Tylko uprzedzam, że od kaffy cierpię, jak po rodzonej matce, czekulada czyni mnie furioso, a w herbacie zwykłem moczyć koniom nogi.

— Znajdzie się i coś kojącego na humory waszmości.

— A jabym wam coś poradził. Znam tu niedaleko zasobnego kupca, który, chociaż przy świętym piątku, niezgorzej nas pożywi. Ma przednie pieczątki. Nie dowierzam ja porucznikowskiej kuchni. Daruj mi waszmość, ale u mnie po staremu: nim zawierzysz gębie, połóż na zębie — prawił Hłasko, obciągając pas na srodze zapadłym brzuchu.

— Byle prędko, dużo a smacznie, to i ja nie wybredzam! — żartował Kaczanowski, wybiegając nagle, a gdy powrócił, przystąpił z ważną twarzą do Kacpra.

— Gdzie prowadzi przejście między stajniami z podwórza?

— Do rzeki. Ścieżka stroma, lecz koń przejdzie — sprężył się po żołniersku.

— A uliczka przed domem? — indagował rozkazująco.

— Na lewo do miasta, zaś na prawo w pola i cyrkuluje do Horodnicy.

— Basta! Zmykaj, bracie! — zwrócił się do Zaręby. — Rekognoskuję, zali mamy zapewniony odwrót. Rezolutny chłopak, ale czy pewny?

— Jak własna dusza. Mój to brat mleczny i towarzysz nieodstępny. przytem żołnierz przedni; w obronie harmat wziął rany i nagrodzon krzyżem.

— Tak mężnie stawał? Proszę, że to w chamie taka kawalerska fantazya.

— Sam książę go aplauzował. Święcie godzien nobilitacyi.

— Skoro własną krwią wypisał sobie indygenat, Stany muszą potwierdzić.

— Wkrótce każdy będzie szlachcicem z województwa Chłopskiego z ziemi Chamskiej i herbu pieczona rzepa na złamanym patyku — mruknął Hłasko.

— W obronie ojczyzny wszyscy mają prawo do równych zasług.

— Nie neguję, ale tak spada w cenie klejnot szlachecki, że niezadługo będą go dawali każdemu, któren się chociaż wywiedzie z pocałowania królewskiego konia w ogon — burczał zagniewany.

Kaczanowski się roześmiał, ale Zaręba skoczył zaperzony i jął zapalczywie i prędko mówić:

— Waszmość jest przeciwny zrównaniu stanów i sprawiedliwości?

— Nie, jeno w praktyce wolałbym się nie doczekać owych rajów powszechnych.

— I o cóż to mamy podnosić insurekcyę? Wszak o wolność, równość i braterstwo!

— To jakobińska maxima! Nasze polskie hasło, to całość, wolność i niepodległość. I za to dam się porabać na sztuki, dam ostatnią kroplę krwi, oddam nawet zbawienie duszy! — Aż przybladł ze wzruszenia.

Zaręba, nie chcąc prowadzić kłótni, ścichnął i zaczął się przebierać, ale przy okręcaniu muślinami szyi nie wytrzymał i rzucił półgłosem:

— Wszak o jedno nam chodzi: o szczęście powszechności.

— O całość, wolność i niepodległość! — wpierał Hłasko, przysapując z alteracyi.

— Niech mu będzie Wojtek! — buchnął rubasznie Kaczanowski. — Ależ to przecudna szatka! — zdumiał się, spostrzegając barwisty chałat i nie bacząc na zgorszone oczy Hłaski, przyodział się w niego i jął czynić wielce ucieszne dygi a przegięcia. — I sułtankę temby znęcił. Musi siła kosztować?

— Coś z piętnaście tysięcy franków — objaśniał skwapliwie.

— Srogi ekspens! Cała fortuna! — Ściągnął go ze siebie z szacunkiem.

— Ale w asygnatach, bo na złoto wypadłoby ze trzy dukaty. Kupiłem w Paryżu od ulicznego marszanda. Pono prawdziwa chińska materya.

— Niechybnie zagrabiona po jakimś zgilotynowanym nieszczęśniku.

— Jestem już gotów. Waszmość obiecał nas poprowadzić.

— Pójdźmy, powiodę was krótszą drogą i nie tak na oczach — odrzekł Hłasko i ruszył przodem. Kaczanowski szedł na ostatku, myszkując swoim zwyczajem bystremi oczyma tu i owdzie. Ciągnęli ku Farze, wązką, boczną uliczką, zrzadka obstawioną małemi chałupkami, a pełną sadów i parkanów.

Całe stada dzieci gziły się w tumanach kurzawy, rozczapierzone kwoki taplały się w piasku, a gdzieniegdzie srodze brzuchate maciory pojękiwały w chudych cieniach okapów. Upał doskwierał niemiłosiernie.

— Będziemy mieli znojną drogę — zauważył Hłasko.

— Jakto, wyjeżdżacie waszmościowie?

— Zaraz po południu Musimy być w Zelwie na czwartego, tam walny jarmark na konie! Zastaniemy całą watahę ludzi z różnych stron i musimy się nimi rozporządzić. Są tam już nagotowane niezgorsze magazyny, nie licząc koni obiecanych przez księcia Sapiehę, generała artyleryi litewskiej.

— To idźcież wolno, ja tylko skoczę wydać dyspozycyę względem koni.

— Rzniemy pocztą, już zamówiona! — powstrzymał Kaczanowski. — Nawet przezpieczniej, można bowiem swobodnie hulać po stacyach, wiązać znajomości, przepytywać od niechcenia i swoje pilnie robić. Trakt pocztowy to niby list niezalakowany: wyda wszystko, trzeba go tylko umieć przeczytać.

— Za tydzień będziemy z powrotem. Co waszmość znowu wyprawia? — zwrócił się do Kaczanowskiego, który nagle przywarł twarzą do jakiegoś parkanu.

— Cicho! Spaniałe kokoszki! Zobaczcież sami! — szeptał rozogniony, wydzierając z płotu kawał deski.

Zajrzeli przez szparę skwapliwie i oniemieli w podziwie. Nieco w głębi stał biały dom, prawie nakryty zwisłemi gałęziami ogromnych brzoz. Na stopniach ganeczku, opiętego kwiatami, siedział jakiś stary jegomość z lulką w zębach, a przed nim spacerowała cudnej urody kobieta. Złotawe, przejrzyste szaty ukazywały ją prawie nagą; czarne włosy miała przetykane perłami, twarz ściągłą i śniadą, wargi czerwone, oczy wielkie, strome piersi a figurę wielce foremną. Poruszała się leniwie, robiąc biodrami, jak w tańcu. Kilka służebnych czy towarzyszek, zarówno ledwie osłoniętych w barwiste mgły, kręciło się tu i owdzie między rabatami pełnymi róż. Słychać było pojedyńcze słowa i chichoty. Cały obraz burzył krew i bił do głowy.

— Cipuchny! Cip! cip! cip! — wabił z cicha Kaczanowski, przebierając nogami.

— Milczże waszmość! To hetman Ożarowski! Dałby nam bobu za to wypatrzenie! Chodźmy, lepiej się nie nastawiać wilczej paszczęce — szeptał Hłasko.

Odeszli ociężale, tylko Kaczanowski powracał raz po raz i cmokał.

— Delicye! Rarytasy! Niech mnie kule biją, jeśli nie spenetruję tego raju!

— Wara od hetmańskiego kurnika! Muszą tam być zastawy na szkodników. Dawno mi o tej pańskiej zabawie rozpowiadano pod sekretem, oczywiście nie wierzyłem, a teraz sposobny traf nam wygodził. Pierw-

sza, to Greczynka, powinowata czy nawet siostra Wittowej, aktualnej Szczęsnego kochanicy.

— Cudniejszej w życiu nie widziałem — wzdychał Kaczanowski.

— Przypomina z urody hrabinę Camelli — wtrącił Zaręba.

— Kudy kuchta do patyny! Nawet podobnej być nie może! Wenus prawdziwa! Psiakrew, że takie przednie antypasty zawsze są dla starych grzybów!

— Każ sobie waszmość puścić krew, to odciąga — śmiał się Hłasko.

— A te drugie muszą być służebne — zauważył Zaręba.

— Powiadali, jako je trzyma dla swoich konfidentów.

— Zaprzysiągłbym takiemu wieczną przyjaźń! — gruchnął ogniście Kaczanowski.

— Zaproponuj mu waszmość, może cię przypuści do szwagrostwa.

— Obejdę się bez jego protekcyi. Słowo kawalerskie, ale ja mu ten ul podbierę.

— Byle cię przy tej sprawie nie pokąsały pszczoły.

— Może i pokąsają, ale kto drugi spuchnie.

— Ożarowskiemu rogi nie dziwne, a waść mu nową biedę szykuje — podrwiwał Hłasko.

— Na co ja zaginam parol, tego dotrzymuję! — zawołał, tocząc wyzywająco oczyma, na co Hłasko powiedział z prześmiechem przyjacielskim.

— Radzę waści przystawić sobie na karku pi-

jawki, bo nic tak skutecznie nie odciąga humorów. Siedzi tu niedaleko Kreybich, aptekarz.

— Zobaczycie. Słowo się rzekło. Zobaczycie!

I tak przekomarzając się, skręcili w miasto.

Ulice z powodu spiekoty i przypołudniowej godziny były prawie puste i jakby się gotowały w słońcu. Tu i owdzie w chudych cieniach domków wylegiwało się pospólstwo lub przemykał jakiś żyd w białych pończochach, pokłapując patynkami. Na rogach ważniejszych ulic i przejść stały zbrojne warty, zaś niekiedy przeciągały patrole kozackie, podnosząc tumany kurzawy.

— To przyjaciele, nie rób sobie waszmość apetytu — zaśmiał się Hłasko.

— Już znam smak alianckiego mięsa — odparł Zaręba, przyglądając się żołnierzom wilczym wzrokiem.— Ale chłopy rosłe, dobrane i moderunek mają prosto z igły.

— A najdziwniejsze, że wszystko płacą gotowym groszem — powiedział Kaczanowski.

— Tutaj, pod bokiem króla, stanów, obcych ambasadorów i na srogi przykaz z góry. Pojedź-no jednak waszmość za kordon, a napatrzysz się takim wiolencyom i uciemiężeniom, że ci włosy powstaną na głowie. Widziałem koło Kamieńca całe okolice, gdzie nawet zielone zboża były stratowane i wypasione, gdzie nie najdzie całej chałupy ni człowieka nie pokrzywdzonego na zdrowiu i majątku. Lud to dziwnie zajadły i łapczywy na cudze, zaś najgorsze, iż często niszczy nie z potrzeby, a jeno z jakowejś niezrozumiałej żądzy

pastwienia się nad wszystkiem. Ale Prusacy bodaj jeszcze gorsi.

— Rzeczpospolita niby gliniany garnek między walącemi się ścianami.

— Przetrzyma, mości Kaczanowski. Nie zmogą jej nawet moce piekielne.

— I w takich ciężkich opresyach jeszcze nigdy nie bywała.

— Dawno te jegry tak paradują po ulicach? — zwrócił się Zaręba do Hłaski.

— Od rozpoczęcia sejmu. Asystują przecież posiedzeniom, strzegą sejmujące stany od złych przypadków. Mirowscy i gwardya litewska pełnią służbę tylko przy królu i kancelaryach, a i to bez bagnetów i ostrych nabojów — targnął gniewnie wąsy i zacisnął dłoń na głowni pałasza. — A niańczą nas po swojemu, niewoląc pieszczotami do uległości. Siedemnastego lipca, kiedy to brano na deliberacye projekt aliansowego traktatu, a czemu się całą duszą sprzeciwiała garść poczciwych, widziałem, jak zataczano harmaty i rychtowano je na zamek, jak kanoniery stawały z zapalonymi lontami, jak Rautenfeld rozpierał się przy królu a jegry nastawionymi bagnetami wyciskali arbitrów z izby! Na własne oczy widziałem.

— Można się było na ić hańby i wściekłości na całe życie — szepnął Zaręba.

— Starczy tego na wieki i dla całych pokoleń! A teraz sza, mości panowie.

Stanęli przed piętrową kamienicą, w której był

wielki handel win Dalkowskiego i z brukowanej, szerokiej bramy weszli do sklepionej, ogromnej izby.

Gwarno tam było, jak na jarmarku i prawie ciemno od dymów. Przy długich stołach pod ścianami zabawiano się kieliszkami, prowadząc przytem głośne dyskursy. Za ladą sklepową, zastawioną cynowemi naczyniami i farfurem, królowała opasła jejmość z twarzą jak księżyc w pełni, a z piersiami niby bochny; koralowe zausznice zwisały jej aż na grube ramiona; robiła pończochę, licząc półgłosem oczka, lecz jej bystre spojrzenia latały chyżej, niźli druty i raz po raz cienki głosik poganiał chłopców usługujących i męża, który w zielonym fartuchu i czarnej mycce na głowie, chudy, malusieńki, pokorny, witał wchodzących, kłaniał się, prowadzał na miejsce, jak z nut recytował dania i wrzeszczał do kuchni przez okienko.

Hłasko zażądał osobnej stancyi, ale musieli się kontentować tylko stołem osobnym, jaki się znalazł w jednej z izdebek od podwórza.

— Świeża Nawaga! Szczupak z szafranem! Lin w kapuście! Pierogi leniwe! — recytował, obmacując ich przytem chytremi oczyma.

— Patrzcie, piątek już i tutaj zdążył zajechać — skarżył się z krotochwilną żałością Kaczanowski.

— Bo i piątek za młodu smakował w prażonej kiełbasie — wtrącił gospodarz, kłaniając się do ziemi.

— Staryś aspan i trzymają ci się jeszcze głupie koncepty — obruszył się Hłasko. — Daj mi postny obiad, nie luter jestem.

— Mogę z postem i mogę z mięsem, byle jeno z burgońską podlewą

— A mnie daj wasze kuropatwy. Nie hołduję przesądom — zdecydował Zaręba.

— A nie przepomnij o śledziu i gorzałce — upominał Kaczanowski.

Gospodarz sprawił się szybko, lecz, gdy zabrali się do jedzenia, nie przestawał im brzęczeć nad uszami.

— Sos do szczupaka z przepisu kuchmistrza jego wielmożności angielskiego.

— Właśnie cuchnie żabim skrzekiem — próbował osadzić go kapitan.

— A kuropatwy podlaskie! Pachną, jak trybularz, nacierane imbierem.

— To zjedzże asan dyabła w szafranie, a nie przeszkadzaj! — zgromił go impetycznie Hłasko i zwrócił się do Kaczanowskiego, który jadł za trzech i pił za dziesięciu.

— Miarkuj się waszmość, przy takim upale jeszcze cię w drodze szlag trafi.

Kaczanowski roześmiał się na przestrogę, wypił, co było, do dna i skoczył do głównej izby, gdzie dojrzał jakowychś znajomych.

— Za pół godziny będzie się już znał ze wszystkimi.

— Taki łatwy do komitywy? Szczęśliwe usposobienie.

— Przekonasz się waszmość, jakie przyniesie nowiny. On każdemu z pod serca wydrze choćby zaprzysiężony sekret. Szaławiła to niby, paliwoda, zbereźnik

a zarazem wielce przezorny człowiek. Szczerze go estymuję.

— Jasiński go chwalił, ale nie bez pewnych restrykcyi.

— Co wart, spytaj się waszmość Działyńskiego — zaszeptał Hłasko, pochylając się nad stołem. — Na Onufrejskim jarmarku w Berdyczowie, w przeciągu tygodnia, wsypał do naszej kasy przeszło pięć tysięcy dukatów. Tak kaptował kpinami, śmiechem i kieliszkiem, że jeszcze go szlachta na rękach nosiła. Zaś nie miał kto gotowych pieniędzy, musiał dawać in natura. Cały magazyn się zebrał skór, płótna, ołowiu, nie licząc sporego tąbunu koni. Szef nie może się go nachwalić. I do kobiet również ma szczęście...

— Ale pono i koloryzować potrafi.

— I jak, sam nieraz nie mogę wyjść z podziwienia. Ciekawym, jaką on sztukę wytnie Ożarowskiemu?

— Wywietrzeje mu ten kurnik z głowy. I czy to pora na takie kabały!

— Dał słowo i jestem pewny, że coś zmajstruje, nie brak mu fortelów.

Zaręba odpowiadał coraz krocej, zajęty przeglądaniem ludzi, bowiem przez wywarte drzwi widniał cały szereg izb zapełnionych. Paru posłów sejmowych siedziało opodal, zatopionych w cichej rozmowie.

Nazwał ich Hłasko, dodając wzgardliwie:

— Tacy, którzy zawsze głosują z większością...

— Marais! W Paryżu podobnego zowią »bagnem« — objaśnił, nalewając kieliszki.

— A cóż na sejmie?

— Jedno i toż samo: rozbiór kapłona — obejrzał się na czerwone kontusze posłów — już mu obcięli nogi, odrąbali skrzydła, wygryźli piersi, że pozostał tylko kuperek, ale smakoszom wciąż mało, wyciągają pazury po resztę...

— Znarowili się na łatwe. Dalej nie pójdzie im tak gładko.

— A któż im wzbroni? Zobacz waszmość, co się wyprawia w ogarniętych województwach: bale, asamble, składkowe festy dla gubernatorów i dziękczynne adresy. Przecież w Żytomierzu, po przysiędze nowej pani, szlachta balowała cały tydzień! W Poznaniu Möllendorf aż musiał się zaborgować na jadło i napitki, tyle bowiem zjechało składać homagium! Indziej również to samo. A tutaj w Grodnie na sejmie sprzedają już ojczyznę en détail, na funty i żywej wagi. Żeby nie ta ostatnia wiara w nasze zamysły, tobym sobie w łeb strzelił — szeptał ponuro.

Zaręba milczał, ogarnięty ciężkim smutkiem, którego nie mogło rozpędzić nawet wino; zaglądali sobie w oczy niekiedy, głęboko aż do dna dusz zatroskanych i pili kieliszek za kieliszkiem, jakby na zapomnienie.

Dokoła brzęczały szkła, wrzały podochocone głosy i szły już takie zapalczywe dyskursy, aż trzęsły się ściany. Wszystkie bowiem stancye wypełniły się po brzegi a wciąż przybywali nowi goście.

Mieszały się ze sobą w tłoku, jak groch z kapustą, wojewódzkie kontusze, fraki, czamary, granatowe kurty wojskowym krojem, płócienne kitle, księże sutanny i nawet tu i owdzie, miejskie kapoty pokapane

woskiem, zbieranina bowiem była wszelakiego autoramentu, a wszystko jadło, piło i rozprawiało podniesionymi głosami. W końcu zbrakło już stołów i siedzeń, więc się kupili w przejściach, spychani z miejsca na miejsce, bo wciąż ktoś się cisnął i kręcił wśród tłumów: to jakiś kwestarski wyga, pobrzękujący skarboną, to żyd siwy w aksamitnej jarmułce i w atłasowym żupanie, przepasany czerwoną chusteczką, to kredencerze, roznoszący potrawy i napitki, to pielgrzym długowłosy z kijem zakrzywionym, u którego wisiała tykwa, obwiązany medalikami, pocieranymi o grób Pański, sprzedawał pamiątkowe muszelki, łżąc przytem niestworzone baje, to Węgier, zachwalający łamanym językiem swoje pomady, olejki i cybuchy, to wreszcie psy, plączące się pod nogami, zaczynały się gryźć i skomleć, powstawała jakaś kłótnia lub jakiś sierdzisty szlachcic grzmiał pięścią w stół, aż jęczały cynowe misy.

Naraz z głównej izby buchnęły takie ryki śmiechów i tupania, że Hłasko podniósł głowę i szepnął:

To Kaczanowski zabawia nową kompanię, aż tupią z uciechy... — Urwał i nagle się przechylił, jakby chcąc dać nurka pod stół, gdyż przepychał się ku nim okazały szlachcic z talerzem w ręku i butelką pod pachą. Miał kontusz granatowy z białym, zaplamionym żupanem, brzuch ogromny, potrójny podbródek, sprośnie wywinięte wargi, czerwony nochal, obwisłe policzki, strzępiaste wąsy i małe, rozbiegane bystro oczki. Rozglądał się, wrzeszcząc tubalnym głosem:

— Kredencerz, dawaj choć antał, chamie jeden!

Że nikt się nie kwapił z posługą, zwrócił się prosto do nich:

— Pozwolą mi waszmościowie przysiąść? — I nie czekając odpowiedzi, zwalił swoje olbrzymie cielsko na stołek. — Już mi kulasy w brzuch właziły, he! he!

Hłasko patrzał w niego z nieukrywaną abominacyą.

— Podhorski Adam, wołyński — rzekł, wyciągając spoconą łapę, pokrytą rudym włosem.

Radzi nie radzi wymienili swoje nazwiska.

— Zaręba, herbu własnego. Czekajże waść, toś widzę z Wielkopolski! A może i z Podlasia. Te, capie jeden, dawaj więcej butelek. A ojcu jest Onufry?

— To mój stryj.

— Proszę, jak to góra z górą się nie zejdzie, he! he!

— A gęba z wiechciem zawsze — uzupełnił szydliwie Hłasko.

— Można i tak. A tośmy z nim byli razem w Barskiej, he! he! dobre parę latek temu. Pod chorągwią Częstochowskiej he! he! — rechotał, aż Hłasko, nie mogąc ukryć animozyi, odwrócił oczy na stancyę. — I zawsze był raptus i wielce skory do szabli i gorzałeczki. Panną go przezywali, że to zgoła, he! he!.. Zabijaka też był srogi, więcej on napsuł wrażego mięsa, niźli niejedna chorągiew, samowtór ze swoim Kubusiem chadzał na te łowy. Jakże się miewa?

— Zdrowy, dziękuję waszmość panu.

— Taki upał, że chyba się napijemy? — A waszmość jakiego zdania, panie Huśko?

nowa w domu? — wyrzekł chłodno, ledwie już pokrywając niecierpliwość oczekiwania.

Panna Terenia dotknięta jego tonem, spojrzała wyniośle.

— Proszę wziąć miejsce. Pani szambelanowa zaraz przyjdzie. — Ceremonialnym gestem wskazała krzesło i przyciskając do piersi warczące pieski, stanęła schmurzona pod oknem, ale z tym dąsem na różowej twarzyczce, pełnej dołków, przytajonych uśmieszków i figlarności, była jeszcze śliczniejsza.

Główka w złotych puklach, przepiętych błękitnawą wstęgą, wielkie niebieskie oczy o złotawych rzęsach, krótki nosek z różowymi chrapkami, lśniące zęby, malinowe wargi, toczona biała szyja, koronkowy szal na ramionach, spięty pod piersiami koralową broszą, krótka jasna sukienka w niebieskie paski, białe pończoszki z haftowanymi klinkami i białe ciżemki, malowane w stokrocie, czyniły ją podobną do saskiej figurynki. Ruchliwa była przytem, jak wiewiórka, trzpiot i słynna śmieszka, więc i teraz, chociaż zadąsana, takie robiła minki, że musiał się odezwać.

— Za cóż ta sroga niełaska, mościa panno?

Parsknęła śmiechem i przyskoczywszy do niego, trzepała zapalczywie:

— Bo waść nie dba ni o mnie, ni o Izę, ni o pułkownika, ni o nic na świecie.

— Właśniem chciał pytać o kozienickie nowiny.

— Nowiny? Mam narzeczonego — wyrzuciła, namiętnie całując pieski.

— Jakiejże maści? — żartował. — Pamiętam,

jak panna Terenia szalała za karoszami, potem przyszły cisawe, więc może teraz kolej na szpaki...

— Co mi tam konie! Wolę swojego Marcina.

— Niech mnie kule biją, jeśli znam takiej maści cuganta.

— Waszmość nawet przyjaciół zapomina.

— Przyjaciół! Czyżby to miał być Marcin Zakrzewski? Tak? No, toście się dobrali do maści, pstrogłowej z czubkami — śmiał się, ale mu nie w smak poszła ta nowina. — Więc skoro panna Terenia przechodzi do gwardyi, to chyba komendę Königowskich ułanów obejmie panna Klarcia! Toż musi być lament między porucznikami? Gdzież się aktualnie podziewa Marcin?

— Ma dzisiaj służbę na zamku przy Królu Jegomości.

Tą wiadomością ucieszył się szczerze i dodał nieco żartobliwie:

— Winszuję pannie Tereni awansu.

Wstał, aby wyjrzeć do ogrodu.

— A waszmość się ze mnie śmieje.

Zastąpiła mu drogę.

— A ja się właśnie bardzo cieszę odparł żywo i dla złagodzenia pocałował ją w rękę. — Tylko zaproście mnie na wesele.

— Czekaj tatka latka, jak kobyłkę wilcy zjedzą — wybuchnęła rozżalonym głosem. — Jegomość podkomorzy napisał Marcinowi, że możemy jeszcze poczekać.

— Bo i możecie, takie żółtodzioby, trzeba wam dodać dyrektora.

— A jabym chciała jak najprędzej kwaterować w Warszawie — wyznała się szczerze, usadzając pieski na klawicymbale. — Mam już po uszy Kozienic i tych wyranżerowanych szkap pułkowych, z któremi muszę grywać w maryasza. Przecież ostatniej zimy nie tańczyłam ani razu! Ale wy, mości pieskowie, z ogniem, z ogniem! — chichotała, łupiąc psiemi nogami po klawiaturze. — Dopiero na Wielkanoc, jak przechodzili z Radomia huzarzy, nasza mamzel, która ma pomiędzy nimi ślicznego kuzynka, namówiła papę, żeby dać dla nich bal, ale byłoby spaliło na panewce, bo burgrabia nie chciał pozwolić sali w pałacu.

— I dobrze zrobił — rzekł stanowczo, otwierając okno.

Z ogrodu buchnęło ciepło, przejęte zapachami kwiatów i radosne ćwierkanie ptactwa.

— I tak mamzel postawiła na swojem. Pan Stokowski zajął fabrykę, kazał ją umaić świerczyną, papa dał kapelę i tańczyliśmy do rana.

— Z huzarami? Godni kawalerowie!

— Był przecież cały nasz kor: papa rozporządził i musieli. Zabawa poszła cudnie, bo tylko jeden pan Sieklucki zrobił burdę huzarom, za co posiedział na odwachu. I dobrze mu tak, niech zabawy drugim nie psuje. Bibi! Mimi! — rzuciła się ze śmiechem za pieskami, które się jej wyrwały, z piskiem szukając schronienia pod kanapą.

Wyciągnęła je dopiero przy pomocy Sewera.

— Mimi jest ultajka, a Bibi obrzydły morderz! — karciła, obrzucając skomlące psiaki ognistymi pocałun-

kami. — Terazby waćpan nie poznał Kozienic! Już broni nie robią, fabryki zamknięte, a fabrykanci rozpędzeni na cztery wiatry, nawet kafenkauz Dorotki nie istnieje. Niema już balików, majówek, ni tańcujących wieczorków, bo młodzież nie pokazuje się w naszym domu nawet dla ornamentu.

— Snadź im zbyt często podawano czarną polewkę.

— Jak Bozię kocham, ani jeden się nie oświadczał — zapewniała żarliwie. — To nie to, tylko założyli sokie klop i tam przesiadywali, tam czynili jakoweś kryjome zebrania, jakoweś przysięgi, aż zwrócono uwagę papy i musiał ichmościów wziąć na mundsztuk.

— Kto to być może? — przerwał jej, wskazując w ogród, na jakiegoś pana w białym kitlu i z gołą głową, który, wspierając się na lasce i odpoczywając co chwila, spacerował w cienistej alei, pociętej słonecznymi progami; chłopak liberyjny, z czerwonym szalem na ręku, chodził za nim trop w trop.

— Szambelan Rudski. Waćpan nie zna męża Izy?

— Peregrynuje, jakby dla konkokcyi żołądka. — Przyglądał się z ciekawością.

— Doktór Lafontaine mówi, że szambelan choruje z imaginacyi, ale mnie się zdaje, bo mu się nóżki fajtają, jakby zgubił kopyta. Radziłam Izie, żeby go kazała przekuć — buchnęła śmiechem.

— Na nic, kopyta musi mieć zdarte do żywego mięsa — śmiał się również, tylko z jakąś gorzką przyjemnością. — Mocno posunięty jegomość...

— Służył jeszcze »w białych rakach«. Papa powiedział — chichotała już, jak szalona.

— Czcigodna pamiątka po Sasach i człowieczek wielce osobliwy.

— Ale ja go uwielbiam. Dobry i taki wyrozumiały. Przekona się waćpan.

— Już mniemam, że musi zadawać lubczyk, skoro panny tak lgną do niego.

Panna Terenia, pojąwszy intencyę, szepnęła poważnie:

— Przecież ją zniewolono! Ona jest bardzo nieszczęśliwa, okropnie.

Miał na ustach jakieś gorzkie słowa, lecz spojrzawszy na jej posmutniałą twarzyczkę, pomiarkował i tylko westchnął.

— Iza waćpana bardzo żałuje, ja wiem wszystko — szeptała tajemniczo.

Zarębę ścisnął nagle bolesny skurcz, że porwał się z miejsca i oglądając się za kapeluszem, mówił bezładnie:

— Muszę odejść... panna Terenia powie, że czekałem... przyjdę jutro...

Terenia stanęła wylękniona, nie rozumiejąc, co mu się stało.

Ale w tejże chwili weszła do salonu Iza.

Przywitali się w milczeniu, zatapiając w sobie badawcze oczy.

Panna Terenia zajęła się układaniem niby porozrzucanych nut, strzygąc przytem oczkami, a ze drże-

niem wyczekując jakichś słów gorących lub wybuchów, ale nie mogąc już dłużej znieść milczenia, wykrzyknęła:

— Czy państwo gracie w mruczka? — i uderzyła w śmiech.

Szambelanowa rzuciła jej wdzięczne spojrzenia i swobodnie, z czarującym uśmiechem, rozpoczęła rozmowę o różnych bieżących materyach, nie wspominając ani słówkiem o balu. Była nawet dzisiaj cudniejsza, niźli wtedy, cudniejsza nad pomyślenie; nikłe obłoczki rumieńców przesuwały się niekiedy po jej twarzy, niekiedy orzechowe oczy lśniły złotemi skrami, a nabrzmiałe krwią usta dyszały straszliwym czarem I doskonale panowała nad sobą, niczem nie zdradzając, jak wiele ją kosztuje ten udany spokój, tylko chwilami mgliły się jej oczy przelotnym cieniem i przygasały uśmiechy; zaś niekiedy podnosiła się bezwiednie i szła wziąć parę akordów na klawecynie, lub wychylała się do ogrodu, ale dojrzawszy męża, powracała do dawnego tonu rozmowy.

Zaręba czuwał, niby na wedecie, i bacznie śledził każde jej słowo i każde poruszenie, a z powinną grzecznością odpowiadając na pytania, nawet niekiedy, aby złowić jej uśmiech, błyskał dowcipem i próbował wzruszać opowiadaniem przygód wojennych. I dopinał celu, pojąc się cichym tryumfem. A jednak ani jeden powiew przeszłości nie zmącił tej udanej harmonii, ni jedna aluzya nie prysnęła z warg płonących, bo chociaż całe piekło wrzało mu w duszy, był wobec niej takim, jakim być sobie zamierzył: powściągliwym i w miarę chłodnym.

Rozmawiali przeto, jak ludzie pozornie sobie obcy i niemal obojętni. Ale męczyła ich ta gra pusta i coraz częściej przychodziły długie pauzy i nagłe milczenia, w których jej oczy strzelały błyskawicami, usta drgały czemś niewypowiedzianem, a z piersi darły się krótkie, szybkie westchnienia, on zaś przez te mgnienia już nie hamował swojej natury i, jakby padając przed nią na kolana, brał ją w objęcia oszalałemi z tęsknoty rękoma.

Cóż, kiedy jakieś skomlenie pieska czy głos z ogrodu rozwiewał upalne koszmary, rzeczywistość z naigrawaniem patrzyła im w oczy i znowu szedł ugrzeczniony dyskurs, a francuskie słowa brzęczały składnie, wymuszenie i galantuomnie, aż panna Terenia, ostatecznie tem znudzona, palnęła prosto z mostu:

— Siedzą i wygadują jakby na teatrze — zaczęła wyrabiać przedrzeźniające miny. — Oui, madame! Non monsieur! Tu śmieszek, tam perskie oko, ówdzie machmach wachlarzem, indziej buzie w ciup, a czułe spojrzenie. Ślicznie gracie, ale ja wam aplauzować nie będę, bo mnie ta heca już setnie znudziła. Bibi! Mimi! hajda, pogonimy sobie kotki w ogrodzie! Ha! ha! ha! — zanosiła się śmiechem, spostrzegłszy ich pomieszanie.

Szambelanowa napięła gniewnie brwi, a Sewer powstał przykro dotknięty.

— Nie odchodź, Tereniu. To prawdziwe enfant terrible!

— Pora już na mnie... czekają... a może ci przeszkadzam.

— Jeszcze chwilę, proszę cię! Ma wstąpić po mnie

hrabina Camelli, pojedziemy do ambasadora na obiad, jaki wyprawia dla dam i biskupów, z racyi imienia Maryi Teodorówny, następczyni tronu. On miewa zabawne pomysły.

— Właśnie skręca na most powóz księcia biskupa Massalskiego — wrzeszczała Terenia, wychylając się z okna na ulicę — i cały zapchany kwiatami.

— Wiezie dla Sieversa. Dziwnie to poetyczna i czuła natura: przepada za śpiewem i kwiatami, a szczególniejszą pasyę ma do róż. Wszyscy też starają się dogadzać tej słabości, że kto tylko posiada jakąś odmianę, chętnie mu posyła. Księżna Radziwiłłowa ofiarowała mu wspaniałą kolekcyę. Rozczulające, nieprawdaż?

— I godne uwielbienia — wyrzekł, nie mogąc skryć drwiącego uśmiechu.

— Sam król sprowadza dla niego goździki aż z Holandyi. Nawet mój ojciec, jak wiesz, nie skory do expensów, a przysłał mu z Góry jakieś osobliwości.

— Kiedyż wuj przyjeżdża?

— Obiecał się w tych dniach, już wszystko nagotowane na jego przyjazd. Bardzo się kłopocze twoim losem — dodała przyjaźnie.

— Poszedłem za jego życzeniem i pragnę odrobić dawne głupstwa — przyznał się, opowiadając zarazem o swoich zamiarach powrotu pod chorągiew.

— A jakby się nie udało, to ci ojciec obmyśli jakowąś funkcyę zaszczytną — zapewniała, przejmując się gorąco jego sprawami.

— Gdzież aktualnie pani kasztelanowa? Jakże zdrowiem?

— Niedobrze, bo, jak zawsze, w plentach za swoim urojonym idolem! Doktorzy mniemają, jako to są zwykłe roxolany. Przyjeżdża z ojcem.

— Baczność, wali tutaj książęcy postillon d'amour — wrzasnęła panna Terenia.

Jakoż drzwi się otwarły i liberyjny wniósł na srebrnej tacy prześliczny bukiet, list i puzdereczko sadzone drogimi kamieniami.

Szambelanowa porwała się gniewnie, cała w ponsach.

— Oddaj temu, który przyniósł! Precz! — krzyknęła bez namysłu, odwracając się do Sewera, który się cofnął dyskretnie pod okno.

Terenia rzuciła się do niej z jakąś gorącą instancyą. Odsunęła ją niechętnie i tak groźnie spojrzała na lokaja, że wyniósł się pospiesznie.

Mam do ciebie prośbę — głos jej zabrzmiał bardzo serdecznie.

Był usposobiony tak radośnie, iż z góry wszystko obiecał.

Szło o to, aby pojechał z niemi jutro na piknik, za miasto.

— Z przyjemnością, ale kto aranżuje, bo nie znam tutaj prawie nikogo.

— Młodzież, a głównie von Blum, wielbiciel Tereni.

— Iza... jeszcze pan Sewer pomyśli, że to prawda.

— I powiem Marcinowi — drażnił ją — niech was nie spuszcza z oczu.

— Marcin z nami nie będzie, musi jechać z królem do Poniemunia.

Tem gorzej dla panny Tereni, gdyż ja go zastąpię w obserwacyach.

— A ja się waćpana nic a nic nie boję — śmiała, się, goniąc po salonie za pieskami. — Marcin tylko mnie uwierzy.

Lokaj zameldował hetmanową Ożarowską i hrabinę Camelli.

— Już mnie niema! Nie cierpię italiańskiego skrzeka! W nogi, pieski!

I Sewer chciał wyjść, ale wstrzymała go szambelanowa.

— Pozostań chwilę, poznasz dwie piękne damy.

Nim zdążył wziąć postanowienie, weszły panie, a już od progu hrabina Camelli wołała zadyszana:

— Przywożę ci, szambelanowo, wspaniałe nowiny! — Oczy miała rozgorzałe, twarz zgorączkowaną i głos wibrujący od wzruszenia. — Marat zabity! Moguncya poddała się królowi pruskiemu! — rzucała z patosem i zawiesiwszy głos, dodała po pauzie: — Rewolucya dostała śmiertelny cios.

Szambelanowa pokazała się, jakby niewiele ważąc te wiadomości.

— Moja droga hrabino — uprzedzała Ożarowska — nie wszyscy się tem tak przejmują.

— Ależ... to musi być ważne... istotnie nie bardzo się na tem rozumiem. Mój brat cioteczny, Sewer Zaręba — przedstawiła go zakłopotana.

— Ale pana to musi obchodzić? — zwróciła się do niego hrabina.

Skłonił się na potwierdzenie i słuchał z niezmier-

nem zajęciem, ona zaś, rada ze słuchacza, rozpowiadała coraz żywiej, nie szczędząc gestów, min i spojrzeń ognistych.

Szambelanowa z panią Ożarowską usunęły się nieco na stronę, zajęte lustracyą swoich strojów i jakimiś szeptami.

— Hrabia Morelli, mój kuzyn, szambelan królewski, dostał rano extra pocztę — objaśniła na wstępie hrabina. — Mamy przeto wieści z najpewniejszego źródła. Byłam już w kościele dziękować Bogu za te chwile radosne. Ale chociaż wiadomości autentyczne, ja zaledwie mogę uwierzyć, jako naprawdę ten podły morderca królów, ten nieprzyjaciel Boga i rodzaju ludzkiego, ten szatan wcielony, nie żyje. Zabiła go jakaś Charlotte Corday. Bóg ją najwidoczniej wybrał za narzędzie swojej sprawiedliwości. Muszę napisać do Paryża, żeby mi przysłano kopersztych tej nowej Dziewicy Orleańskiej! — wołała z emfazą, podnosząc w górę oczy. — I prawie w jednym czasie wypędzono z Moguncyi francuskich rebelizantów. Król pruski tryumfuje. Jakże się z tego muszą cieszyć ci biedni wygnani książęta! Nareszcie dobra sprawa bierze górę. Już podobno klubistom mogunckim wytrzepują kije pruskie maximy jakobińskie. Nie pojmuję tylko, dla jakich racyi wypuszczono rewolucyjne wojska z miasta? Trzeba im było wyprawić chrzest republikański w Renie! — zaśmiała się mściwie i czarne jej oczy zamigotały niby sztylety. — Te szczęśliwe początki przygaszą ferwor i waszym exulantom w Dreznie i klubistom w Warszawie.

— Ależ pani hrabina ma niezmierną eksperyencyę spraw politycznych! — wykrzyknął z udaną atencyą.

— Powtarzam, czego mnie kuzyn nauczy — odpowiedziała skromnie, przerzucając się do drobiażgów życia grodzieńskiego i chwaląc nad miarę polską gościnność, oświecenie piękność kobiet i galanckość mężczyzn; wyniosła przy tej okazyi wielkoduszność króla, jego niezwykły umysł i szlachetność.

Nie negował jej w niczem, a tylko tu i owdzie przy zdarzonej sposobności wyznawał się być zasad uświęconych i wrogiem wszelkiego nowatorstwa.

Hrabina z coraz żywszą przyjemnością brała go na spytki, obrzucając przytem powłóczystemi spojrzeniami, gdyż kawaler wydał się jej cale układnym i urodziwym. Popielaty blondyn, o włosach przyciętych à la Titus i orlej twarzy, wysoki, w barach w miarę rozrosły, w stanie smukły, wyraz miał wyniosły, ruchy sprężyste, głos melodyjny i szafirowe oczy o długich czarnych rzęsach i brwiach, przecinających białe czoło groźnym łukiem.

Odpowiadał z wyszukaną, górną grzecznością, lecz patrzał hardo i przenikliwie. Przystrojony był przytem wedle najnowszego wzoru, we frak wiśniowy, wielce ogoniasty, z krótką talią i kołnierzem płasko wywiniętym; na szyi miał białą chustę w błękitne grochy, tak suto owiniętą, że sięgała do pół brody, kamizelę bladobłękitną, zahaftowaną złotymi pasami kwiatków, spodnie paljowe, obcisłe do kostek i pantofle bez sprzączek; laskę ze złotą gałką trzymał w ręku, dwie dewizki od

zegarków dzwoniły przy każdym ruchu pękiem pieczątek, uwieszonych na cienkich łańcuszkach.

Pani Ożarowska, słuchająca już od pewnego czasu jego wynurzeń, naraz odezwała się z pobłażliwym uśmiechem:

— Czy waszmość zawsze nosi barwy szambelanowej?

— Prawda, to szczególne — szepnęła hrabina, wodząc oczyma po obojgu.

— Tylko dziwny zbieg okoliczności!

Okrył się rumieńcem, jak panna.

Panie zaczęły się śmiać, bo istotnie szambelanowa miała suknię tej samej barwy, co i jego frak, tylko jakby pokropioną złotym rzucikiem i katankę błękitną w złote paski, obrzuconą koronkami.

— Szczególny zbieg okoliczności! — powtórzyła ironicznie Ożarowska.

Sewer, aby przerwać kłopotliwą sytuacyę, spytał o pannę Terenię.

— Właśnie mamczy szambelanowi. Spojrzyjcie, aspekt zgoła niezrównany — zaśmiewała się Iza, wskazując przez okno w ogród.

W cienistej alei, pobryzganej jaskrawymi płatami słońca, stał szambelan z ustami szeroko otwartemi, a Terenia, wspinając się na palcach, wlewała mu łyżeczką jakiś medykament.

Posypały się śmiechy i bardzo trywialne uwagi dam, czem niemile dotknięty Zaręba jął się zabierać do wyjścia.

— Gdzież panu tak pilno? — szepnęła hrabina, przytrzymując mu dłoń.

— Na sejm. Muszę się stawić przed porą, żeby mnie wpuszczono.

— Nic tam ciekawego: wrzaski zelantów i nieco pruskiej wasserzupki.

— Hetman będzie znowu dzisiaj przemawiał za opatrzeniem wojska. Nie wiem tylko, czy rozprawy będą przy arbitrach?

— Boże, jak mnie już nudzą te sejmy, polityki, traktaty i te wszystkie kabały! — jęknęła ze szczerem obrzydzeniem szambelanowa. — Nuda poprostu śmiertelna!

— A czyż Grodno mało jeszcze szaleje? Wszak tutaj ciągle święto i balowanie — wystąpił dosyć porywczo, lecz dojrzawszy w jej oczach niechęć, spochmurniał i ledwie się zdobył na podziękowanie Ożarowskiej, która go zaprosiła na swoje asamble i w końcu łaskawie ostrzegła:

— Baw się waćpan, a kazania pozostaw tetrykom.

— I nie zapominaj o jutrzejszym pikniku — dodała szambelanowa.

Wyszedł na ulicę, pełen sprzecznych uczuć i myśli, jakie mu nasunęła wizyta i zasłyszane wiadomości, zwłaszcza upadek Moguncyi, a króla pruskiego aktualny tryumf przejmował go żałością i frasunkiem.

— A piękną panią wszystko nudzi — myślał niekiedy ze smutkiem i gniewem.

Dzień był upalny. Grodno pławiło się w słonecznej pożodze, w kłębach kurzawy i nieustającego zgiełku, bowiem w ulicach panował ruch znaczny; zwłaszcza na

Głównej, wiodącej z Horodnicy ku Niemnowi, na Zamkowej, w Rynku i ku Bernardynom aż wrzało od gęstwy ludzkiej, powozów i koni.

Pod przysadzistemi domostwami, na wązkich kładkach i kamieniach, tu i owdzie porzucanych w porę deszczów, ciągnęły mnogie, różnobarwne roje, cisnące się trwożnie do ścian i parkanów, gdyż co chwila waliły ulicami jakieś ogniste czwórki, cwałowali konni, maszerowały zbrojne ronty, wlekły się kopiaste wozy furażów lub szły truchcikiem kozackie szpice.

A w miarę zbliżania się czwartej godziny, na którą było naznaczone posiedzenie sejmowe, ruch i zgiełk jeszcze się potęgował; już się pokazywały czerwononiebieskie karoce, zaprzężone w angielskie dryblasy, pokryte uprzężą nabijaną srebrem i z czerwonymi żokiejami na kozłach; niekiedy, ku ogólnemu podziwowi, zakolebała się na pasach jakaś arka starożytna, wyszklona i złocista, niby feretron, w szóstkę izabelowatych smoków, z liberyą w perukach, uwieszoną z tyłu i z konnym laufrem na przodzie. To przelatywały jak wicher dwukolne karyolki, we czwórkę na szpic, przybraną rzęsiście w trzęsidła miedziane, pióra i siatki, powożone przez oficyerów, którzy, stojąc niby w rydwanach, poganiali z furyą, aż koniom grały wątroby i wszystko przed nimi uciekało.

Niekiedy pędził jakiś znaczny generał w eskorcie dragonów, tratujących wszystko po drodze. Śmigały zielone, pakowne ekstrapoczty, czyniące sobie rum chrapliwymi głosami trąbek. Przeciągały też kawalkady dość tłumne dam i kawalerów z chmarą zielonych

— Aż trzy rozwódki z tym kulasem Karwowskim! Nec Hercules contra plures.

— Moszkowska i Zielińska! Nie znam tylko tej trzeciej, pulchnej blondyny.

— To właśnie najprzedniejszy kanar, zmieniła już trzech mężów, z kopę kochanków, a dziwnym trafem dzieci ma podobne do pocztmistrzów na Warszawskim trakcie.

— Lubi wojaże z trębaczami. Ja znam i taką okoliczność, że chłopak nie tylko był podobny do kapelana, lecz urodził się już z franciszkańską tonsurą i w habicie.

— Nowakowska w tak czułej dyspozycyi serca, jakby z nowym ami

— Ona ma stałych, przemienia tylko porę i godziny, bo dla mężowskiej polityki musi ich mieć ze wszystkich fakcyi, z dodatkiem ofi[illegible]ów ościennych potencyi.

— Patrzcie, Wańkowicz w komitywie ze staroścíną. To coś nowego!

— Mogłaż pozostać nieczułą, kiedy on wczoraj wygrał parę tysięcy?

Przycichli, bo od Mostowej buchnęły przejmujące świsty fajfrów i grzmot tarabanów; tłum się nagle zakotłował i parł pod ściany i w sienie, powozy zjeżdżały na boki, gdyż środkiem ulicy waliły jegry, niby zielony mur, najeżony błyszczącymi bagnetami, rypały mocno, twardo i aż ziemia dudniała pod nogami, zaś na przedzie ogromny drab, pstro przybrany, wywijał pozłocistą lachą z lalką na końcu, obwieszoną wstęgami a dzwo-

.eczkami, podrzucał ją w górę i łapał, aż huknął jakąś hulaszczą piosenką i puścił się wściekłego trepaka; zawtórowały mu przeraźliwe świsty, wycia, piski, tarabany i piszczałki, a kilku gemeinów runęło za nim w prysiudy, nie przerywając pochodu. Podniósł się dziki wrzask śpiewających głosów, jakby świsty siekących rózeg, jęki a zarazem i chichoty baraszkowań i bujnej, niepowstrzymanej ochoty.

— Idą na Zamek zaciągać kordony! — pierwszy Woyna przerwał milczenie.

Nikt się jednak nie kwapił z rozmową; młodzież stała zwarzona, spozierając dziwnie mętnie na przechodzące wojsko, jakby wraz z kurzawą, jaka się podnosiła za nimi, rozpościerał się w duszach posępny obłok zgryzot przytajonych.

— Powiem wam coś wielce uciesznego — zaczął znów Woyna — o szlachcicu, który się zwał Guzik, pochował dwie żony, a sobie taki wykoncypował nagrobek:

»Co dzisiaj mnie — jutro będzie z wami.
Tu leży Guzik, między pętelkami«.

Lecz nie zdoławszy nikogo rozśmieszyć, przystąpił do Zaręby, którego był właśnie dojrzał w tłumie, i razem poszli ku Zamkowi.

— Zostawiłem twojemu famulusowi okrągłe tysiąc dukatów; tyle wypadło na ciebie z wygranej Ale pożyczkę zatrzymałem na dalszą grę, zgoda?

— Kiedy cię nie zdradziła fortuna, próbujmy szczęścia dalej — odparł, uradowany z wygranej i opowiedział wiadomości, zasłyszane od hrabiny Camelli.

— Jej można zawierzyć — zaszeptał Woyna — ona zna każdą tajną pocztę królewską: może ją wie od Sieversa, gdyż dziad w niej srodze rozmiłowany, a może i od Buchholtza, z którym także jest w konfidencyi. To ptaszek! Nie kręci się ona tutaj bez kozery i tylko dla czarowania swoim zwodniczym szczebiotem...

— Z tego konkluzya, że dama rączki macza w politycznych kabałach. Teraz pojmuję, skąd wie o wszystkiem, co się u nas dzieje i dlaczego się tak ucieszyła ze śmierci Marata i upadku Moguncyi! Ale jakiej stronie ona służy?

— Są poszlaki, że nasłał ją Zubow do szpiegowania Sieversa, ja zaś mniemam, iż naprawdę służy tylko za angielskie złoto. Pitt płaci koalicyę przeciwko Francyi, ale nie spuszcza z oka lubych socyuszów! Cudna gra?

— Wiem jedno, upadek Moguncyi to nasza klęska, bo tryumfujący król pruski obróci się teraz cały przeciwko nam. A śmierć Marata cios to dla ludzkości.

— Mniemam, że ulga: obmierzły to był chłeptacz krwie ludzkiej i demagog.

— Ale też był jedynym w rewolucyi, który śmiał!

— Ożenić Ludwiczka z Mamsel Guillotin. Cóż, kiedy małżeństwo bezpłodne.

— To się wkrótce pokaże! — wyrzekł Zaręba z tajemniczym uśmiechem, czem dotknięty Woyna wziął go pod ramię i zaszeptał rozdrażnionym głosem:

— Więc i wy śmiejcie! Mnie już nudzą wasze

pierścienie, trójkąty, katechizmy i słowa, otwierające spiskowe Sezamy. Byłaby pora uderzyć działaniem.

— Stanie się i to. A każde wielkie zamierzenie musi przywdziać maskę i mieć swój rytuał dla wtajemniczonych. Należysz do nas? — spytał już otwarcie.

— Należę tylko do siebie — odparł wyniośle.

Zmieszał się Zaręba, żałując słów, poprzednio wymówionych.

— Co po psie w kościele, kiedy pacierza nie mówi — dodał Woyna po chwili ze śmiechem. — Komu ochota łba nadstawiać, nie przeszkadzam, ja wolę faraona i butelki. Bachusowym wolentaryuszem uczyniła mnie natura i temu się nie sprzeciwię.

— Wiesz o naszych znakach i nie należysz do koła! — trwożył się Zaręba.

— Wiem i daję ci parol honoru, iż przed pierwszym tobą wyznałem...

Weszli na plac Zamkowy, zapchany już powozami, służbą i żołnierstwem; na środku, pod kępą drzew olbrzymich, stały armaty, pokryte zielonemi płachtami z pod których wysuwały się śpiżowe paszcze, przyrychtowane na Zamek. Żołnierze, w zielonych, opiętych kurtach i lśniących, czarnych szkopkach, z karabinami przy nodze, zamykali kordonami wyloty ulic, nie dopuszczając na plac pospólstwa, reszta biwakowała przy jaszczykach i furgonach za armatami, lub wartowała przy moście i nad zamkowemi fosami.

— Alianckie konkluzye dla zelantów — rzucił Zaręba, wskazując armaty.

— Tylko dla dobra Rzeczypospolitej i sejmujących Stanów spokojności — drwił Woyna, kłaniając się co chwila dygnitarzom i posłom, jadącym na sejm.

Zamek wznosił się na wysokim brzegu Niemnowym, spiętrzony jeszcze wieżyczkami, mansardowymi dachami, kopułą kaplicy i posągami nad głównym frontonem; od strony miasta obiegała go przepaścista fosa wybrzeżona rzędem smukłych topoli, przez którą był przerzucony murowany, szeroki most z balustradami, zdobnemi w marmurowe wazy i amory. Kamienna, wyniosła brama, zakończona alegorycznemi grupami z barwionej porcelany i o zaworach misternie kutych w żelazie i herbach suto złoconych, prowadziła na wielki dziedziniec, obstawiony gmachami przeróżnej struktury, a świeżo na porę sejmu odnowionymi.

Wielka amarantowa chorągiew z Orłem i Pogonią łomotała nad bramą, jako znak królewskiej obecności i sejmowania Najjaśniejszych Stanów.

Król Jegomość kwaterował bowiem na Zamku z rodziną, nielicznym dworem i kancelaryami. Tylko przyboczne oddziały gwardyi koronnej i litewskiej wraz z »wiwatową artyleryą«, jak ją przezywali kpiarze mieściły się w ruderach, położonych na strzał pistoletowy od zamku.

Na zamku również były obie izby sejmowe.

Wszystko zaś obsadzały gęste kordony jegrów pod wodzą co najprzedniejszych oficyerów, czyniących takie awantaże, że, ilekroć zajeżdżał pod most jakowyś dy-

gnitarz, zrywał się ostry głos komendy, grzmiały tarabany i prezentowano broń.

— Nie szczędzą im parady! — szepnął Zaręba po szumnem przyjęciu Ożarowskiego.

— Oni trzema sposoby niewolą: złotem, zdradą i głaskaniem — a każdy skuteczny.

— Czyżby i Nowakowski posłował? — zdziwił się na widok dawnego towarzysza, wysiadającego przed mostem, w nowym kontuszu wojewódzkim.

— Igelström go naznaczył, a wybrały dukaty — objaśniał sarkastycznie Woyna. — Persona to można, żarliwy pacyfikator i jedyny do wszelakich kompromisów, przeto imieniem sejmu w ciągłych delegacyach do Buchholtza i Sieversa. I tak zaciekły w posługach ojczyźnie, że już zgoła nie zważa — w rublach mu płacą lenungi czy też talerami.

— Znam go już z famy i wiem, co trzymać o jego poczciwości.

Przeszli most i minąwszy bramę, przystanęli pod sejmowym krużgankiem, u wywartych podwoi do wielkiej sieni, pełnej już gwarów i ludzi. Przy drzwiach, wiodących do izby sejmowej i różnych bokówek, gdzie mieściły się kancelarye, trzymała dzisiaj straż gwardya koronna, lecz z karabinami bez bagnetów i pustymi lederwerkami.

— Idzie łomżyński Katon, krzywousty Skarzyński. Zapoznam was ze sobą, niech ci pocyceronuje, bo ja nie mam smaku na oratorskie koszałki-opałki.

Skarzyński, mąż znany z eksperyencyi w materyach państwowych, wielkiej wymowy i żarliwego pa-

tryotyzmu, przywitał się z Woyną kordyalnie, a Zarębie powiedział o dawnej znajomości z jego ojcem, ale nim miał czas rozgadać się obszerniej, ogarnęło go paru nadchodzących posłów, pociągając w róg sieni, gdzie był zastawiony stół z zimnemi daniami, ponieważ często posiedzenia przeciągały się do późnej nocy.

Niezrażony tem Zaręba poszedł za nim, przystając nieco na stronie.

— Kogóż tak admirujesz? — ozwał się Nowakowski, niespodziewanie stając przy nim.

Wskazał oczyma zebranych dokoła Skarzyńskiego.

— Godna kompania — skrzywił się wzgardliwie, odwodząc go pod okno. — Mazurskie hetki, pętelki. Nawet nie imaginujesz, kogo widzisz: toć są owi żarliwi zelanci, o których smutna fama rozgłasza się już po Rzeczypospolitej.

— Pierwszy raz w życiu ich widzę — odparł bardzo żywo.

— To wiedz-że, jako ten łysy pijaczyna z miną wygłodniałego kauzyperdy, to Krasnodębski-Liwski; obok niego przyczaja się najwścieklejszy szczekacz sejmowy, Mikorski-Wyszogrodzki; przy nim dmie się zaściankowy Cyceron, Szydłowski-Ciechanowski; zaś to paniątko w wyszarzanej kontusinie i konopnych rapciach przy karabeli, to Ciemniewski-Różański, zaciekły Jakobin, który w Izbie ośmielił się urągać samemu Majestatowi; zaś ten pod ścianą, wysoki, szpakowaty, odęty pychą — Skarzyński-Łomżyński, przezwany krzywoustym i jakby już napiętnowany przez samą naturę za oszczercze sądy i wyniosłość; ostatni, wysoki, czarny, z twarzą ostrą,

jak brzeszczot i haczykowatym nosem — Kimbar-Upicki, godny Sicińskiego przeklętej pamięci następca — wyliczał z taką nienawiścią, że już chwilami brakowało mu oddechu i ceglasty rumieniec pstrzył mu piegowate jagody. — Kompania jeszcze nie w pełnym komplecie, ale summa-summarum warchoły to obmierzłe, sejmikowi szczekacze, zakute łby i fakcyoniści. Muszę cię też oświecić, jako wszyscy zostali wybrani na sejm za moskiewskie pieniądze — zaszeptał ciszej jeszcze i zjadliwiej — a prócz tego, niejednego z nich Igelström musiał ekwipować i dawać strawne na drogę do Grodna. Za to wszystkich, którzy nie dzielą ich zasad, mają i głoszą zdrajcami. Pospólstwo ich estymuje, bo się wystawiają Katonami, biorą pozór Koryolanów, ale gdyby nie nasze zabiegi, jużby za przyczyną tych krzykaczów dawno sejm rozpędzono na cztery wiatry. Na szczęście, są jeszcze prawdziwi patryoci — rozgadywał się, nie omieszkując przytem wystawiać swoich wielkich zasług w służbie powszechności.

Zaręba nierad był wielce z tej publicznej konfidencyi, zwłaszcza, iż Skarzyński rzucał na niego podejrzliwe spojrzenia, lecz Igelströmowy socyusz, wyczerpawszy materyę de publicis, rzucał się z ferworem na intymności z życia znaczniejszych person sejmowych, wywłócząc je na jaśnię ze szczególną przyjemnością.

— Ciekawe to sprawy, ale ja się w tem nie lubuję — przerwał mu zniecierpliwiony.

Nowakowski uśmiechnął się pobłażliwie i szepnął znacząco:

— Ale kto je ma w garści, ten w potrzebie może

komu nacisnąć taką wstydliwie utajoną bolączkę i powiedzie, jakby na powrózku.

— Pewnie, że takie arcana znaczą wiele w różnych kabałach.

Spojrzał na zegarek.

— Czekamy na biskupów, pojechali na obiad do Sieversa — uprzedził.

— Nie pilno im na posiedzenie. Chciałbym się przysłuchać deliberacyom.

— Poprowadzę cię na galerye. Myślę, jako dzisiaj marszałek nie wygna arbitrów.

Powiódł go wązkimi schodami i przez kręte korytarze, rozjaśnione gdzieniegdzie rurkową łojówką, zatkniętą w kandelabr, przybity do ściany.

— Suplikę już ci wykoncypowałem, tylko ją podpisać i złożyć w kancelaryi. Cóż, nie rozważałeś mojej rady? — rzucił od niechcenia.

— Spróbuję pierwej szczęścia u króla — odparł wymijająco.

— Jak chcesz. Wczoraj znowu dwóch kadetów, z dawnych freikurów, dostało od Cycyanowa kapitańskie szlufy i sute opatrzenie. Gdybyś zwrócił się do niego, prośba miałąby jak najlepszy skutek.

— To mnie z nim zapoznaj — zawołał pod wpływem jakiejś nowej myśli.

— Z miłą chęcią. Nawet się doskonale składa, bo ma być dzisiaj u mnie, więc po posiedzeniu zabiorę cię do siebie na wieczerzę. Nie imaginujesz nawet, jaki to człowiek światły i nam przychylny, a przytem prawa ręka Sieversa...

— Tem szczerzej przyjdzie mi go admirować — odparł, ściskając mu dłoń, ale po jego wyjściu odetchnął z prawdziwą ulgą i jął się rozglądać po sejmie.

Izba sejmowa była bardzo wysoka, długa i o białych ścianach, pociętych wysokiemi oknami, a przeto dająca pozór jakby nawy kościelnej, tylko z wielką modestyą urządzonej; podnosił jeszcze to podobieństwo beczkowaty sufit, pomalowany w błękitnawe rozety, od którego zwieszały się na pozłocistych łańcuchach cztery mosiężne pająki, na pięćdziesiąt świec woskowych każdy, i portrety królów w strojach koronacyjnych, wiszące pomiędzy oknami.

Dębowa galerya, wsparta na słupach pożyłkowanych na pstry marmur, obiegała izbę z trzech stron, zaś w ścianie szczytowej, w półkolistem wgłębieniu, misternie wyrobionem w kształt muszli, o złotem malowanych dzwonach i ornamentach, było wzniesienie, wykryte czerwonem suknem, gdzie stało wysokie, pozłociste krzesło królewskie.

Naprzeciw, w drugim końcu izby, a również na podwyższeniu, tylko nieco niższem i pokrytem zielono, był stół marszałka sejmowego, sekretarzy i miejsca skryptorów, spisujących przemówienia. Zaś z boków izby i przez całą jej długość ciągnęły się ławy poselskie, obciągnięte zieloną trypą i z pulpitami na seksterny i kałamarze, w pośrodku leżało szerokie, wolne przejście, a pod ścianami, w cieniu galeryi, szły ciasne przesmyki do drzwi wyjściowych, przy których czuwała służba sejmowa.

W muszli za pozłocistem krzesłem, taiły się drzwi, przysłonięte czerwoną materyą, a nad niemi bielało owalne okienko, którem pono dość często przysłuchiwał się deliberacyom Sievers, ukryty za kartunową firanką.

Galerye były już do cna zatłoczone i Zaręba z niemałym podziwem przyglądał się publice, nigdy bowiem nie widział takiej w miejscach obrad ni na żadnych asamblach. Było to zbiegowisko przeróżnego pospólstwa, jakie się tylko spotykało na hecach, w kościele lub na kontraktach; a pomiędzy nimi przewijały się jakieś lisie, przyczajone głowy, silnie strzygące uszami, jakieś połatane habity i ascetyczne twarze, jacyś wynędzniali ludzie w wytartych kurtach wojskowych i jakieś draby o twarzach zbójów. Nie brakowało też dam, chrupiących cukry, ni moskiewskich oficyerów w przebraniach, ni różnobarwnej liberyi, czyniącej głośne uwagi o swoich panach i ludzi wszelakiej kondycyi.

Przeto gwar panował już niemały; kilkudziesięciu posłów rozmawiało w ławach i przejściu inni przy stole marszałkowskim czytali półgłosem dyaryusz ostatniego posiedzenia i raptularze bieżących materyi, a wciąż jeszcze nadchodzili nowi, witani przez galerye szmerem uznania, czasem złośliwym chichotem, a niekiedy takiem dosadnem przezwiskiem, że buchał ogólny śmiech i tupania. Wtedy z jakiegoś kąta huczał basowy głos:

— Mości panowie, uciszyć się! Mości panowie!

To wołał gruby Roch, starszy nad służbą sejmową i tłukł lachą w podłogę, ale nie przyciszył zu-

chwałej gawiedzi, a tylko na siebie ściągnął wyzwiska i kpiny.

— Rrrochu! Rrrochu! Rrrochu, żrej dużo a kadź po trrrochu! — zagruchali ku powszechnej uciesze jacyś żartownisie, naśladując synogarlice.

Ale co najszczerzej zdumiało Zarębę, to widok podkomorzyny Grabowskiej.

Siedziała w środkowej galeryi, nad stołem marszałkowskim, cała w czerni, z wachlarzem w ręku i murzynkiem przy boku, który ją nieustannie wachlował, gdyż w izbie było gorąco.

Dojrzała go również, natarczywie przyzywając do siebie.

Wyraził głębokie zdumienie z tego spotkania, na co chełpliwie rzekła:

— Nie opuściłam ani jednego posiedzenia. Spytaj się drabantów, ile razy mnie stąd wypędzali. Marszałek ni ci sejmowi matacze nie lubią, żeby im patrzeć w karty i za lada przyczyną gonią arbitrów. Siadaj waść bliżej, bym się mogła wesprzeć w potrzebie. Nie jednam tutaj na rezydencyi: na prawo siedzi cudna Jula Potocka z synaczkami, a obok niej ta starożytna kwocha Ogińska. Jest również i pani kasztelanowa Platerowa z tą omszała Badeniówną od Brygidek. Często też wysiaduje marszałkowa Cieńska ze swoim ślicznym fraucymerem. Żarliwe to patryotki! — Ściszyła nagle głos i przysłaniając twarz wachlarzem, zaszeptała mu do ucha: — Spostponowałeś mnie na balu, ale już ci tego nie pamiętam, nie rób tylko waszmość cnotliwego Józefa, bom nie Putyfara — roześmiała się cicho.

— Zaprawdę musiałbym nie mieć oczu — odpalił z miejsca, ogarniając ją napastliwemi oczyma, bo mu zaimponowała rezolutnością i urodą.

— Ja nadewszystko przekładam żołnierzy — szepnęła miodnym głosem. — Woyna, chociaż ma język kąśliwy, ale zdał mi poczciwie relacyę o waszmości

— Woyna lubi wszystko troić dla żartów lub gwoli własnej uciesze.

— Modestya zawżdy przystoi grzecznemu kawalerowi. Co się tak waćpan rozglądasz?

— Zdała się widzieć znajoma twarz w ciżbie i gdzieś mi się zapodziała.

— Czy nie Zakrzewskiego, porucznika, bo właśnie spoziera ku nam?

— Zna go pani podkomorzyna?

— Nawet są między nami dalekie koneksye, z których mu wypadam jakąś ciotką i z tej racyi trzymam nad nim opiekę. Ale hultai mi się wisus i nie słucha.

— Za to przed narzeczoną musi znać mores.

Poruszyła się gwałtownie i skrywając spłonioną twarz wachlarzem, rzekła:

— Wyznawał mi się z tem, ale nie pamiętam — głos miała zdławiony.

— Königówna, ojciec pułkownikuje królewskim ułanom w Kozienicach.

— Ach, to ta smarkata z różowym pyszczkiem! — zapanowała wreszcie nad sobą i ciągnęła drwiąco: — Marcin chyba weźmie za nią na wiano ułański bęben i starą terlicę. Wybór nieszczególny.

— Nie znam jego sentymentów, ale, nie obwijając w bawełnę, myślę, jako z tego małżeństwa będą nici — mówił, nie dając baczenia na jej wzburzenie.

Milczała, pogrążona w jakiemś ciężkiem pasowaniu się ze sobą.

— Horrendalne publicum — szepnęła, podnosząc rozsrożone oczy na Zakrzewskiego, który był się wychynął z ciżby i nagle dał w niej nurka.

— I plebs zaczyna się już animować ojczystemi sprawami — ostrożnie zauważył.

— Że tylko gdzieś, niby migdał w pierniku, widny w tem pospólstwie jakiś urodzony. Naturalnie, socyeta przykrzy sobie sejmowe deliberacye, przekłada ambasadorskie obrady i asamble z gamratkami. Co im znaczy ojczyzna! — Gorycz brzmiała w jej głosie i pełne usta drgały tłumionem cierpieniem.

Patrzył i nie pojmował tej gwałtownej przemiany, rozumiejąc ją uczynioną dla jakowegoś pozoru. Nie brał więc tego zbyt głęboko.

Przypudrowała spoconą twarz i orzeźwiwszy się wonnościami, wbiła w niego palące, dziwnie lube oczy i zaszeptała z naciskiem:

— Waszmość tu bawi imieniem skonfederowanych pułków?

Wytrzymał spojrzenie, pokazując tylko twarz zdumioną nad miarę.

— Niech się chłopuś nie trwoży, sekretu nie wydzieram — wsparła się na nim pieszczotliwie. — Jasiński już mi coś napomykał, więc jeśli zajdzie okoli-

czność, gotowam się i ja ważyć na wszystko. Ale pod waćpanową komendą — dodała czulej.

— Na Boga, tutaj pełno długich uszów, może indziej — błagał wystraszony.

— To nie czekajże waszmość ceremonialnej inwitacyi a przychodź do mnie, kiedy tylko zapragniesz. Zawsze będę ci rada.

Jakiś zegar zaczął wybijać piątą i na ławach powstały nagłe rumory.

— Król idzie! uciszyć się, mości panowie, Król!— zagrzmiał huczący bas Rocha.

Stała się wyczekująca cisza i wszystkie oczy zawisły na czerwonych zasłonach.

Jakoż drzwi otwarły się szeroko, gwardyacy stanęli po bokach z karabinami u nogi. Król ukazał się w progu, a za nim następowało dwóch kadetów w paradnych strojach, strusich pióropuszach i z obnażonemi szpadami.

Król szedł wolno, powłócząc ociężałemi oczyma po chylących się kornie przed Majestatem; głowę miał całą w siwych, utrefionych puklach, twarz białą, jakby nieco obrzękłą, nos wielce foremny, wargi uczerwienione i postać dorodną.

Był przybrany w codzienny mundur granatowy z czerwonymi obszlegami, białe pantaliony, pończochy i trzewiki ze złotemi sprzączkami. Koronkowe żaboty burzyły mu się na piersiach, jakby pianą, połyskującą dyamentowemi spięciami, a przez białą kamizelę szła skośnie czerwona, orderowa wstęga; lewą rękę wspie-

— Chodzi o przewleczenie sprawy, a nie o jej decydowanie — odrzekła, bijąc brawa Krasnodębskiemu, a za nią, jak na komendę, zaklaskali ławą arbitrzy.

— A teraz waszmość pilnie słuchaj — ostrzegła, patrząc przez lornetkę.

Wystąpił bowiem Gostkowski-Ciechanowski, mąż lat średnich, chuderlawej postaci, ubrany w mazowiecki kontusz ciemno-szafirowy i żupan barwy słomkowej; czuprynę miał podgoloną, twarz ściągłą i opiekłą, oczy niebieskie i jasne wąsy przycięte nad wargą.

Zaczął z miejsca przyganiać w tej plenipotencyi opuszczenie artykułów nieustępowania królowi pruskiemu Torunia i Gdańska.

— I ani jednej piędzi polskiej ziemi, ani jednego kamienia z Torunia i Gdańska! — powtórzył z mocą Gostkowski. — Gwałt, podłość i intryga chcą podać w kajdany całą Rzeczpospolitą! Królu Miłościwy! Najjaśniejsze Stany — wołał głosem nabrzmiałym troską serdeczną — nie przykładajcież się do rozmnażania jęków i krzywd współbraci, nie dawajcież tryumfu gwałtowi a zdradzie, by jeszcze w późne wieki nie powiedziano, jakobyśmy dobrowolnie, z gnuśności jeno, z podłej bojaźni a sromotnego kunktatorstwa ulegli pod jarzmo.

Król pruski z lisią układnością i z kłamliwemi przysięgi mienił się być naszym aliantem i przyjacielem, a pierwszy nas haniebnie zdradził.

Niema być układów z takim przeniewiercą! Niema być żadnych paktów! Bowiem nie paktuje się ze wściekłym psem, któren kąsa i roznosi zarazę, a kto jeno

żyw, chwyta, co mu w garść wpadnie, kamień, żelazo czy kół z płota, i bije, bije, póki pary we wrogu, bije na śmierć! — zakończył.

Zerwała się burza aplauzów i galerye aż dygotały od wrzawy i krzyków.

— Nie paktować! Bić pludraków! Precz z Prusakiem!

Nienawiść buchała ze wszystkich serc i gniew zatrząsł całą powszechnością na przypomnienie pruskich przysiąg i pruskiego wiarołomstwa.

Marszałek, nie mogąc uspokoić hałasów dzwonieniem ni głosem, zawiesił posiedzenie i opuścił swoje miejsce, król również skrył się za czerwonemi zasłonami, a wtedy drzwi, wiodące na galerye, otworzyły się z trzaskiem, zadudniały ciężkie stąpania żołnierzy i błysnął las bagnetów nizko pochylonych.

Jegrzy w mig oczyścili balkony z rozwrzeszczanych tłumów, pozostawiając jeno damy, swoich oficyerów i Rocha schrypniętego od nawoływań.

Zaręba, porwany skłębioną ciżbą uciekających przed bagnetami, ani spostrzegł, kiedy się znalazł na zamkowym dziedzińcu.

Właśnie był porządkował srodze zmiętoszony fraczek, rozmyślając, jakby się z powrotem dostać do podkomorzyny, gdy Nowakowski wpadł na niego.

— Szukam cię. Możemy jechać do domu. — Był zły i wzburzony.

— Czy król już solwował sesyę na poniedziałek?

— Jeszcze nie, ale nic tam dzisiaj godnego uwagi nie będzie.

Siedli do powozu, czekającego na placu, konie ruszyły z kopyta.

Mrok się już słał nad miastem, jeszcze tylko gdzieniegdzie świeciły krzyże kościołów i na niebie leżały złociste zatoki. Chłód zawiewał z pól, po wzgórzach błyszczały ognie biwaków, po zaułkach porykiwały krowy i trzęsły się gęsie gęgoty. Ulice były już prawie puste, tylko po rogach i placach przybywało wart i konnych patrolów.

— Słyszałeś tego ciechanowskiego mądrala? — ozwał się Nowakowski.

— Dobry gracz, wiedział, czem trafić do czułości. Porwał nawet posłów.

— Mów takim do rozumu, to ziewają, ale praw im duby smalone o świętej źrenicy wolności szlacheckiej, excytuj bajędą o równości z królami, wypominaj Aleksandrów Macedońskich, sadź co dwa słowa cnota, co trzy honor, co pięć służba powszechności, co dziesięć Najjaśniejsze Stany, a wydzieraj się przytem ze wszystkiej mocy, machaj rękoma, jak wiatrak, to się w końcu z czułości popłaczą i gotowi cię nawet porwać na ręce a ogłosić zbawcą ojczyzny.

Zaręba milczał, siląc się na odgadnięcie powodów jego irytacyi.

— Ale niech Bóg broni polegać na ich zapale, bo co dzisiaj uchwalą, jutro gotowi obalać i każdy sprzeciw zaraz mienią być zdradą lub głupotą.

Pomilczał jakąś chwilę, gdyż jechali przez strasznie wyboisty kawał bruku.

— I znowu się odwlecze traktowanie z Buchhol-

tzem — szepnął z goryczą. — Będą czekali, aż Möllendorff zagarnie Warszawe i wtedy dopiero podniosą żałosne larum.

Snadź pojął przyczyny jego wzburzenia Zaręba i ozwał się pocieszająco:

— Tego Igelström nie dopuści, sądzi ją bowiem już Imperatorowej.

Stanęli przed piętrowym domem. Z otwartych okien biły światła i gwary.

Pachoł, srodze skołtuniony i w porwanej liberyi, trzymał straż w ciemnej i na przestrzał wywartej bramie, ale wnet się znalazł czarno ubrany kamerdyner Francuz z zapalonym kandelabrem i gnąc się uniżenie, prowadził schodami, krytymi dywanem, gdzieś na tyły domu.

— Dużo osób? — rzucił Nowakowski, wchodząc do niewielkiej komnaty.

— Cztery stoliki lombra i faraon. Reszta w salonie.

— Daruj, muszę się przebrać, dość mi tej maskarady! — wskazał na swój kontusz i zniknął w przyległej bokówce.

Zaręba ciekawie rozglądał się po komnacie, która służyła za kancelaryę i zarazem była jakby składem kufrów tęgo okutych, zamczystych puzder, stojących na stołach, uprzęży zwalonej w kąty i różnobarwnej liberyi, wiszącej na ścianach. Nie brakowało też łóżek składanych i jakichś parawanów.

Wszedł Nowakowski już w modnym, rudawym fraku, w pończochach i płytkich trzewikach; kamerdy-

ner, z miną wyniosłą, obwinął mu szyję w białą chustkę i podawszy tabakierkę, stanął dostojnie na uboczu.

— Nabyłem go wraz z meblami po regimentarzu Stępkowskim — pysznił się półgłosem. — Pono jakiś »de« czy nawet coś więcej, wypędzony przez rewolucyę. Książę Cycyanow dawał mi za jego odstąpienie czwórkę anglezów z uprzężą.

— Ciekawym tej książęcej mości — uśmiechnął się drwiąco.

— Trzeba ci jednak zapamiętać, że książę jest w serdecznej komitywie ze starszym Zubowem, aktualnym faworytem.

Wziął go pod ramię i poszli krętymi korytarzami. Francuz oświecał im drogę kandelabrem.

— Imaginujesz, co to za polityczna persona? — szepnął ciszej, jakby pod sekretem. — Jesteśmy w takiej konfidencyi, że zwierzył mi się ze swoich ciężkich terminów miłosnych.

— Jeszcze się nie pogodził z szambelanową? — spytał podstępnie.

— Ależ ona go nie chce widzieć na oczy, odsyła mu nierozpieczętowane listy, droży się, niby królowa, a on poprostu szaleje z rozpaczy. Wiesz, błysnęła mi jenialna myśl: pomóż mu w tych tarapatach.

— I w jakiż sposób? — pojął w lot, do czego tamten zmierza.

— Gdybyś jej, jako blizki kuzyn, przy okoliczności jakiej przełożył, że pogodzenie się z nim jest pożądane nawet dla dobra kraju.

— Nie pieprz, Pietrze, pieprzem wieprza! — śmiał się Zaręba.

— A daję ci parol, że mówię seryo. Nie zapominaj, Petersburg patrzy na nas jego oczyma. Jego życzliwe relacye mogą tam bardzo wiele zaważyć. I tobie zdałaby się protekcya takiego potentata. On jest na śmierć zadurzony w szambelanowej i umiałby ci się wywdzięczyć za przysługę. Wierz mi, możny przyjaciel i opiekun to dla chudopachołka prawdziwa fortuna. Kiedyśmy weszli na te materye, to ci powiem, że przyjeżdża młodszy Zubow.

— Czy to aspirant na przyszłego faworyta?

— Polityczne racye zmuszają nas do wyprawienia balu na jego cześć. Hrabia Ankwicz z hetmanem Kossakowskim już się koło tego krzątają. Dwadzieścia pięć dusiów od osoby, socyeta wybrana i co najpiękniejsze damy. Odmówiłem już wielu, ale ciebie mogę zapisać.

— I owszem. Na psiem weselu czasem najlepiej używają drużbowie — drwił.

— Wszystko musi być w najprzedniejszym guście, a zwłaszcza damy! Zubow powinien wywieźć z Polski, czułe wspomnienia Nawet i z tego powodu chciałbym zgody księcia z szambelanową. Uświetniłaby zabawę, pojmujesz?

Tak pojmował, że byłby go chętnie trzasnął w rudy pysk, ale tylko się uśmiechnął i na przekór własnym uczuciom, obiecał pogodzić tę powaśnioną parę.

— Niech się kochają dla dobra kraju! Niech się

miłują! — mówił, pastwiąc się z dziką zawziętością nad własnem sercem. — Spróbuję jej przełożyć.

Weszli do salonu, wspaniale umeblowanego i pełnego świateł.

Pani domu w czerwonej dezabilce spoczywała w głębokim wolterze, z białym pieskiem na łonie, z balsaminką złotą w ręku, z której wciąż wdychała wonności, a w otoczeniu paru młodzieńców, przybranych najmodniej w jednakie fraczki cynamonowego koloru, w obcisłe pantalony do kostek, z kapeluszami na kolanach i grubemi trzcinami w rękach. Było ich trzech; mieli twarze, jak świeżo upieczone bułeczki, jasne kędziory, pozwijane dokoła głów, jak rulony, wypełzłe oczy, zawadyackie miny i wszyscy zwali się Krotowscy, jednej matki syny, jednego dyrektora światli wychowańce i jedynych dwudziestu dusz chłopskich dziedzice. Ale snadź rozpowiadali wesoło sprawy, skoro pani pękała ze śmiechu i podawszy Zarębie rękę do pocałowania, nawet na niego nie spojrzała.

Dama była, jak żrała węgierka, co to najsłodsza, gdy ją nieco owarzą chłody pierwszej jesieni, piękna jeszcze i wabna. Miała muszki na wybielonej twarzy, oczy palące, głowę w lokach, poskręcanych jak wyłuskane czarne stręki, niezgłębiony dekolt, głos schrypnięty i nieustannie oblizywała wargi tłustym językiem; w salonie mówiła tylko po francusku, uwielbiała Rousseau'a, jeździła z oswojonym barankiem, marzyła tkliwie o sielskiem życiu na zielonych riważach pod słomianą strzechą szomierek, a tymczasem wypróbowywała wierność berżerków i w domu klęła, jak dziad

odpustowy, biła służbę, nie gardząc przytem anyżówką i egipskim sennikiem.

Nowakowski zakręcił się i poszedł do sąsiednich pokojów, gdzie co chwila wybuchały swarliwe rozprawy graczów, a jakiś stary kontuszowy jegomość zaopiekował się Zarębą i po paru minutach już mu się zwierzał serdecznie:

— A ja waści uręczam, że wszystko już przepadło. Niema już Litwy, niema Rusi, niema Korony, a jedyne zbawienie we wspaniałomyślnej ludzkości Imperatorowej. Kalkulowałem tak i owak, a wychodzi jedno, że tylko...

Lokaj zameldował Cycyanową, przyjętego uroczyście i z takimi honorami, że nawet pani domu powstała na powitanie.

Nowakowski coś z nim długo rozmawiał na stronie, aż książę, wielce osowiały, znacznie się ożywił, podał łaskawie rękę Zarębie i ukontentowawszy go paru miłemi słowami, zasiadł do kart.

Pani wróciła do fotelu, młodzieńcy do przerwanych dykteryjek, a Nowakowski przyjmował licznie napływających gości, tylko Zaręba błąkał się samotnie, nie wiedząc, co zrobić ze sobą; miał wprawdzie chęć do ucieczki, ale te rybie, białawe oczy Cycyanowa trzymały go jakby na uwięzi.

Przyglądał mu się z różnych stron i coraz nienawistniej medytował.

Trzy salony były już prawie zapchane; grano przy wielu stolikach; dym z lulek przysłonił wszystko sinawym obłokiem, z którego dobywały się nieustannie

brzęki przesypywanego złota, nazwy wyrzucanych kart, cyfry, rozmowy o sejmie, przygodne anegdoty, ciche przekleństwa i przyzywania służby, uwijającej się w liberyach jakby na wyrost, z tacami pełnemi butelek.

— Wspomnisz waść, jako Srokowski ci to rzekł: wszystko przepadło!

Uciekł od tego kraczącego głosu i znowu przyglądał się księciu, to przysiadał do bocznych stołów, gdzie zabawiano się butelkami a politycznem deliberowaniem, nigdzie jednak nie mógł długo wytrzymać.

Mierziła go ta dziwna socyeta, złożona z jakichś podejrzanych person, moskiewskich oficyerów i znanych powszechnie opojów i szulerów, jak Podhorski, Łobarzewski, Józefowicz, z królem rozpustników na czele, Miączyńskim.

Przejmowali go nieuleczalnym wstrętem i nienawiścią.

Raziło go również to wspaniałe mieszkanie, mające w rzeczywistości pozór prawdziwego Pociejowa lub zajazdu, tak dostojne resztki z pałaców mieszały się z wywłokami i zdefektowaną hołotą.

Jął się wreszcie przemykać do wyjścia, gdy stanął przy nim książę i szepnął:

— Chciałbym z panem pomówić, ale w tem domiszku nie sposób.

— Możemy wyjść na ulicę.

Przejęło go nagłe drżenie.

— Jedź pan do mnie. Kwateruję przy sztabie na Horodnicy.

Wahał się jeszcze, ale wspomniawszy Jasińskiego nakazy, przystał.

Wyszli prawie niepostrzeżeni.

## IV.

Biła już trzecia, gdy Zaręba srodze zadyszany, wpadł do zamkowej antyszambry, ale królewskie posłuchania jeszcze się nie rozpoczęły i podwoje sali tronowej były zawarte na głucho.

Antyszambra była sklepiona, nizka i mroczna nieco, pomimo dwóch szerokich okien na dziedziniec, przyćmiewał ją bowiem kolumnowy podjazd. Mirowscy, w paradnych mundurach i pełnem uzbrojeniu, trzymali straże u wszystkich drzwi, bystro wodząc oczyma za każdym wchodzącym.

Ale bardzo niewiele osób zbierało się na dzisiejsze posłuchania.

Zaręba przysiadł pod ścianą, obok jakowychś kobiet w żałobnej czerni, z których jedna zdawała się cichutko popłakiwać.

Na środku stał siwy jegomość ze łbem podgolonym w czub rozwichrzony, z czerwoną rogatywką na głowni karabeli, w długim i srodze buchastym papuzim kontuszu, pamiętającym jeszcze saskie czasy; szarpał obwisłe wąsiska i jakby się wyżalał przed jakiemiś da-

mami, które wyfiokowane, w mantynach, szal ach, muszkach i spiętrzonych fryzurach, słuchały cierpliw ie, trzymając się pod ręce — zielony strzelec z letniczk ami na ręku stał o parę kroków.

Między oknami rozmawiało półgłosem kilku cudzoziemców we frakach, suto złotem aftowanych i m arcapach u spudrowanych włosów.

Zaś w kącie, jakby chroniąc się ciekawych spoj rzeń, siedział jakiś człowiek w wojskowej kapocie, przy pałaszu i z krzyżem, zuchwale przypiętym do piersi, ale z głową w bandażach i o schorzałej, bladej twarzy; pachołek podawał mu co chwila jakieś leki rzeźwiące.

Czas dłużył się wszystkim, gdyż było niezmiernie gorąco i nudnie; sennie brzęczały muchy i sennie brzmiały rozmowy, tylko niekiedy trzasnęły karabiny o kamienną posadzkę, wyczynioną w kostkę czarno-białą, lub za oknami rozległy się ciężkie, nierówne stąpania wart i zamigotał przez szyby bagnet, blacha kołpaków i kolor mundurowych wyłogów.

— Jeśli asumpt nie kwadruje z konkluzyą, to psu na budę cała robota — jął naraz prawić głośno i gniewnie siwy jegomość. — Gwarancye i alianse, a »przyjacielski« żołnierz łupi nas ze skóry niby piskorzów. Niemały szwank poniosłem na zdrowiu i substancyi, toć wiem jaką zbójecką zgoła procedurą poczynają z nami »alianci«. Moja okoliczność była taka: Jakoś ultimis Aprilis, przeciągał batalion grenadyerów pod von Blumem, który, podjechawszy pod mój ganek i nie złażąc z konia, zażądał furażów. Pozwoliłem, chociaż

prosił modą całe tatarską, ale powiadam: daj mi waść kwitacyę za wzięte barany i krupy! A ten psi syn, miasto responsu, buch mnie głownią w piersi! Ja do szabli, obciąłem juści ultaja i tylem się jeno usatysfakcyonował. Reszta, to już jedno żalne larum. Zniszczyli mnie z kretesem i zrabowali do ostatniego krowiego ogona. Tylko jakimś cudem wyniosłem życie z tej opresyi. Ale teraz von Blum jeździ w moje ogiery i żre na mojem srebrze, a ja wędruję per pedes apostolorum od Annasza do Kaifasza i szukam sprawiedliwości.

Weszło parę nowych osób i jegomość ścichnął, ale Zarębie przyszło na pamięć, że Iza wspominała o jakimś von Blumie, wielbicielu Tereni.

— Wyłożyłem ambasadorowi od a do zet — podjął znów głośno — to wsiadł na mnie, jak na łysą kobyłę, że to napastuję wojska i biję mu oficyerów. Groził mi nawet wieżą i Sybirem! Myślałem, że mnie krew zaleje. Byłbym mu wypalił rzetelne verba veritatis, alem się pomiarkował: ubliżyć może, a wyzwać go na rękę, to mi nie stanie. Maż to być crimen, że nie pozwalam się postponować ultajstwu? A że tam moi synaczkowie, mszcząc nasz dyshonor, poszli tropem »przyjaciół« i jak mogli, tak gemeinów łuszczyli — toć odrodne tylko dzieci puszczają płazem krzywdy rodzica! Z taką właśnie sprawą stanę przed królem Jegomością. Ale stanę już nie a particulari, aliquo conventiculo, lecz nomine wszystkiego stanu szlacheckiego, skrzywdzonego w mojej osobie, i spytam; zali żywie jeszcze wolność i prawo w tej Rzeczpospolitej? Zali dziki najeźdźca...

Nagle rozwarły się złocone podwoje, uczynił się

rumor i każdy ze stanu szlacheckiego wchodził do sali tronowej, gdzie król co niedziela dawał publiczne posłuchania.

Wyszedł naprzeciw ksiądz Ghigiotti, Włoch, czarniawej, suchej twarzy i niespokojnych oczu, króla particularny sekretarz, rozpytując łamanym językiem każdego, z czemby przychodził przed Majestat?

Brał go ten i ów na stronę, wyszeptując się z bolączek; Włoch słuchał z jednakim uśmiechem i czasem cicho zagadał, a jeśli była suplika, oddawał ją Friesemu, który zapisując nazwiska i godności, jakby obmacywał suplikantów chytrze zmrużonemi oczkami.

Zaręba sprawił się krótko, po żołniersku i jął się dokoła rozglądać.

Sala tronowa, nie nazbyt wielka i miernej struktury, była świeżo pomalowana na biało i przyozdobiona złoceniami, ale tak licho, że już tu i owdzie łuszczyły się farby i pękały powzdymane tynki.

Tron stał pod czerwonym baldachimem, naprzeciw wyniosłych okien, dających światło i cudny widok na Niemen i jego zieloną kotlinę. Pod ścianami było nieco złoconych krzeseł i parę stołów mozaikowych italskiej roboty, jeno że szpetnie poszczerbionych. Zwierciadła między oknami, złożone z niewielkich tafel, świeciły przymglonym, białawym lustrem. Szary, marmurowy komin w rogu dźwigał złoconą tarczę z herbami ostatniego Sasa, olbrzymie grupy porcelanowe i takież kandelabry. Od sufitu, na którym wskróś zabielań widniały spłowiałe kolory, jakichś dawnych malowideł, zwieszały się pająki, obwieszone kryształowem szkli-

wem. Parę zczerniałych portretów w złotych ramach ubierało nagie ściany.

Sala była pusta, nudna i pachniała wapnem i rozgrzanym klejem.

Na jakiś tajny znak o zbliżaniu się króla, Friese ustawił wszystkich przed tronem, na dywanie, zajmującym cały środek sali.

Cudzoziemcy wzięli co najwidniejsze miejsca, Zarębie przyszło stanąć na samym końcu, przy damach w czerni.

Król wszedł małemi drzwiczkami, dwaj kadeci z obnażonemi szpadami ustawili się przy tronie, Mirowscy zajęli drzwi, w dziedzińcu zawarczały bębny i warty stanęły pod oknami.

Król wydawał się dzisiaj być w dobrym humorze, uśmiechał się przyjaźnie i jął obchodzić petentów.

Ghigiotti coś mu szeptał do ucha. Friese z drugiej strony mówił nazwiska. Dość długo rozmawiał po angielsku z cudzoziemcami, a potem już kolejno z każdym zamieniał po parę łaskawych słów.

Zaręba pilnie łowił jego głos, ale niewiele ułowił, gdyż byli szeroko rozstawieni, a przytem król zazwyczaj mówił cicho. Usłyszał go dopiero, gdy siwy jegomość zaczął głośno roztaczać swoje żale i skargi.

Król słuchał, jakby wystraszony, usiłując przerwać tę wielce przykrą relacyę, ale szlachcic, nie pozwalając się zbić z tropu, grzmiał coraz zapalczywiej:

— Nic nie zatajam i nic nie koloryzuję, jakem

— Dałbym za niego życie! — zawołał gorąco i szczerze.

— Aż tak! — uśmiechnął się drwiąco. — Przyjdź do mnie rano, to ci zdam relacyę z dzisiejszego pikniku. Bądź zdrów i życiem tak nie szastaj!

Poleciał za Żukowskim, dopędzając go dopiero na placu Zamkowym. Kapitan, mimo strasznego upału i choroby, szedł pieszo.

Przedstawił mu się i usilnie proponował swój kocz.

— Mieszkam daleko, bo lubię długie promenady — odpowiedział chłodno Żukowski — lecz Zaręba nalegał tak serdecznie, aż musiał się zgodzić.

— Wybaczy waszmość moją chałupinę, ale niepodobna było w tym ścisku nająć godniejszej kwatery. To mi nawet dogadza, mam spokojnie, bo, jak waszmość widzi, wybieram się już do Abramka na piwo...

— Miarkując po bandażu, rana musi być sroga.

— Tak, gdyż wrażą ręką zadana i nie pomszczona. Pamiątka z Nowochwastowa, z chwili, w której niecny Lubowidzki zaprzedawał nas Imperatorowej — szepnął, zwracając na niego mądre, smutkiem nasycone oczy. — Może waszmość tych spraw nieświadomy? Generalność wzbroniła o tem pisać nawet w listach.

— Znam imiona wszystkich aktorów i tenor całego zdarzenia.

— Okropne czasy! — wzdrygnął się, ukąszony przypomnieniem.

— Bo zgniłe i podłe sumienia panują nad nami.

Żukowski zdumiał się jego słowom i zwartej w surowości twarzy.

Zajechali gdzieś na krańcach miasta przed nizki domek, słomą kryty i prawie niewidzialny wśród drzew wyniosłych; niebieska trumienka widniała na słupie bramy wjazdowej, a w sadzie suszyły się porozstawiane deski.

— Mój gospodarz, Borysowicz, jest murarzem, ale jego starszy syn trudni się stolarką i to znak jego rzemiosła — tłumaczył Żukowski, wysiadając na ziemię, zasłaną heblowiną i trocinami. — Kwatera w sam raz dla chorego i abszytowanego żołnierza. Pozwól waszmość do środka.

Certował się, lecz przemogła ciekawość i poszedł za nim do ciasnej stancyi od podwórza; tapczan, pokryty astrakańską burką, nad nim wytarty dywanik z żołnierskim moderunkiem i obrazikiem Częstochowskiej, parę stołków, pod oknem stół, w kącie chude mantelzaki, stanowiły całe jej urządzenie.

Jeszcze nie zasiedli, gdy wszedł Borysowicz, wysoki, przygarbiony człowiek o twarzy poczciwej, ale jakby przyprószonej wapnem, oznajmiając, że panowie są już zebrani w sadzie i proszą do siebie kapitana.

— Niech jeno wytchnę a przyjdziemy! — zapewniał, rozciągając się na tapczanie. — Mieszka tu na drugiej stronie domu Krasnodębski, poseł Liwski, cnotliwy obywatel, godzien poznania i głębokiej admiracyi.

Zaręba wyjrzał przez okno: paru mężów siedziało

pod cienistem drzewem, a pomiędzy nimi krzywousty Skarzyński.

— Sami znaczni zelanci — zauważył mimowoli.

Kapitan, uśmiechając się jakoś zagadkowo, zajął się przy pomocy pachołka zmianą swoich bandażów.

— Prawie cała sejmowa opozycya! — dodał jeszcze, siadając naprzeciw Żukowskiego i pod wpływem olśniewającego przypuszczenia, szepnął słowo wtajemniczonych. Ale kapitan snadź nie zrozumiał, spojrzał przelotnie i po chwili jęknął cierpliwym głosem:

— Poty na mnie biją, jakbym wyszedł z łaźni.

Skonsternowany pomyłką, Zaręba podniósł się natychmiast i mimo molestujących zapraszań, wyszedł, obiecując zajrzeć do niego nazajutrz.

I przez całą drogę rozmyślał, czy Żukowski istotnie nie zrozumiał, czy też nie chciał i dlaczego? Coś mu bowiem szeptało w duszy, że nie chciał się odsłonić, więc tembardziej trapił się swoją nieostrożnością.

— Gracz to niepośledni, albo tylko żołnierski, ordynaryjny brus...

Jakiś obcy człowiek otworzył mu kwaterę i stanął wyciągnięty, jak struna.

— Zawołaj mi Kacpra!

— Melduję pokornie panu porucznikowi, że namiestnikuję za niego. Pojechał z ojcem Serafinem i wróci późnym wieczorem.

— Skądżeś się wziął? Czyjżeś?

Pierwszy raz w życiu go widział.

— Pana kapitana Kaczanowskiego; wołają mnie Stasiek albo Warszawiak.

Kiedyś przyjechał i skąd? — Zaczął się rozdziewać z munduru.

— Z Warszawy. Przed swoim wyjazdem pan kapitan przykazał: »Żebyś szedł na czworakach i nosem się podpierał, a w sobotę zameldujesz się w Grodnie panu porucznikowi Zarębie«. Dał mi przytem na drogę dukat z Matką Boską i dołożył nogą w okap. Pieniądz zostawiłem grubej Marynie z Pragi, na chrzciny, a kopańca zwróciłem bardziej potrzebującym.

— Tylko bez bałamutni a krotochwil — ostrzegł go surowo.

— Rzekłem prawdę, jak na sądzie marszałkowskim i już po kijach.

— Więc czemuś się opóźnił? — zagadał łagodniej rozciekawiony zabawną figurą.

Chłopak był szczupły, nizki, zwinny, jak małpa, i z siwych oczu patrzał mu spryt i hultajstwo. Brakowało mu przednich zębów, na czole miał głęboką bliznę, w lewem uchu srebrny kolczyk, nochal potężny, czuprynę jasną w jeża i szelmowską gębę całą w podłużnych fałdach i pryszczach.

— Bo za Bóg zapłać niewiele kupi na świecie, a poczty na bory nie wożą. Te żółte trąby, proszę pana porucznika, nie mają żadnego uważania nawet dla gwardyaków, musiałem hyclów uczyć grzeczności. Przez nich się spóźniłem, a gdyby nie tuz czerwienny w Chapance, tobym był musiał promenować się przy kijku, jak jaki święty.

— Dosyć na dzisiaj. Pojedziesz ze mną.

Wyjął z puzderka krucicę i schował.

A po chwili Maciuś palił z bata i pędził przez miasto, przewijając się, jak wąż, między powozami. Stasiek w mundurowej kurcie siedział przy nim sztywno, jak przystało kapitańskiemu ordynansowi.

Przed Dominikanami wstrzymał ich Nowakowski.

— Przesiądź do mnie, właśnie jechałem po ciebie — wołał ze swojej karyolki.

Przesiadł się niezbyt ochoczo, polecając Maciusiowi jechać za sobą.

— Ambasador daje publiczne audyencye, musimy tam wstąpić na chwilę.

— Już byłem dzisiaj na królewskich posłuchaniach — próbował się wykręcić.

— I co ci z tego? — wzruszył lekceważąco ramionami — u króla bywać można, zaś u Sieversa nakazuje rozsądek i przezorność. Ciekawym, jak ci poszło z Cycyanowem?

— Siedziałem u niego do drugiej w nocy, ugościł mnie czajem i gawędziliśmy o różnych materyach; polityczny to i szczególnie światły człowiek.

— Zapewne nie omieszkał ci się zwierzyć? — spytał bez ceremonii.

— Nie przyszliśmy aż do takiej konfidencyi, nie leżało to w moich zamysłach.

— Wczoraj zdradzałeś odmienną dyspozycyę serca— szepnął urażony.

— Być może, iż wróci mi jutro — odparł szorstko, lecz zaraz załagodził. — Nie mogłem się narzucać z pomocą, inna sprawa jest i jej ode mnie zażąda.

Dostali się na Szerokiej w nieskończony sznur po-

wozów, ciągnących do ambasadorskiej kwatery i wypełnionych najzacniejszą socyetą; trzeba było jechać noga za nogą, wśród tumanów kurzawy i spiekoty, gdyż wysmukłe topole, któremi była wysadzana ulica, niewiele chroniły od słońca.

— Spóźnimy się na piknik, już dochodzi piąta — zauważył kwaśno Zaręba.

— Obowiązek przed przyjemnością, to moja maxima! — wygłosił poważnie Nowakowski — gdy powozy zadudniły na długim moście nad Horodniczanką i zaczęły skręcać ku domom, ledwie dojrzanym przez gąszcze drzew wyniosłych.

Parterowy dom ekonomii królewskich, o mansardowych facyatach i dosyć długich skrzydłach, zajmował Marcin Badeni, szambelan, i główne departamenta zarządów, ale tuż przy nim, przywarty szczytem i w jednej linii z jego lewem skrzydłem, a frontem do ulicy Szerokiej wznosił się pawilon pięknej włoskiej struktury o dwóch piętrach, zakończonych kamienną balustradą, przyozdobioną wazonami. Pawilon, dosyć duży, miał na pierwszem piętrze wielkie okna i złocone balkony, a na dole wspaniałe podwoje z mahoniu, do których prowadziło parę marmurowych stopni, pokrytych czerwonem suknem. Rzeczpospolita znacznym sumptem przysposobiła go na mieszkanie dla Sieversa i jego świty.

Kozacy w czerwonych chałatach i czarnych, lśniących szkopkach trzymali straże przy drzwiach, prócz nich kompania grenadyerów, w bojowej gotowości, kwaterowała w domku, skrytym w gąszczach ogrodu Botanicznego,

Na obszernym podjeździe stało już kilkadziesiąt powozów, a wciąż wjeżdżały nowe i co chwila wysiadały strojne damy, panowie a nawet i dzieci.

— Walą, niby na odpust — mruknął Zaręba, wchodząc do przedsionka.

— Bo mus rządzi ludźmi, a nie sentyment — szepnął Nowakowski, kłaniając się na wszystkie strony.

Szli na pierwsze piętro barwną i pachnącą aleją, gdyż na każdym stopniu bardzo szerokich schodów stały kwiaty, a poręcze były oplecione w rozkwitłe pędy caprifolium.

— Droga, jakby wiodąca do raju! — drwił z gorączkowym pośpiechem Zaręba.

— Ale niechybnie do fortuny! — wyrzekł ktoś z tłumu wchodzących.

Na progu robił honory domu baron Buhler, pierwszy doradca ambasady, w otoczeniu generałów Dunina, Rautenfelda i Kampenhausena.

Salony były urządzone z przepychem; w środkowym, największym, pełnym róż w chińskich wazach, porozstawianych na mozajkowych stołach, pod portretem Imperatorowej, wyobrażonej w stroju koronacyjnym, siedział Sievers w galowym mundurze, suto złotem aftowanym, w orderach, brylantowych gwiazdach i niebieskiej wstędze, pogodny wielce i z niezmiennym uśmiechem na wązkiej, drapieżnej twarzy.

Damy brały miejsca obok niego, półkolem, na fotelikach ze złoconej trzciny, a pomiędzy niemi biskup Massalski jakby drzemał z gorąca.

Sievers witał podchodzących z dworną uprzejmo-

ścią i na hołdownicze pokłony odpowiadał podaniem ręki, czasem paru słowami, do niektórych podnosił się nawet z krzesła, damom prawił strzeliste komplementy, innym łaskawie kiwał głową, a jeszcze innych zaledwie raczył zauważyć, ale dla wszystkich miał jednako dobroduszny uśmiech i władcze spojrzenia. Tłum zwiększał się nieustannie, bił pokłony i rozsypywał się po salonach, napełniając je dyskretnymi szeptami i chrzęstem bławatów.

Już się tworzyły grupy, zadzierzgały kabały, krzyżowały przenikliwe spojrzenia i ważyły wrogie uśmiechy, a co chwila wszystkie oczy zwisały trwożliwie na siwej głowie pod portretem Imperatorowej — i każde jej słowo w lot obiegało ciżby, a każde spojrzenie brano w pamięć.

Zaręba, zamieszany w tłum, przyglądał się ambasadorowi, jego generałom i tym, którzy nieskończoną procesyą podchodzili do niego. I zdumiewał się coraz głębiej, albowiem wszystko, co tylko było w Grodnie znaczniejszego, skwapliwie składało mu swoją czołobitność.

Szli ministrowie, wielcy urzędnicy, wojewodowie, kasztelani, biskupi, posłowie — szła jakby cała Rzeczpospolita.

Zjawili się nawet ambasadorowie różnych potencyi, zebrani w Grodnie. I wkrótce przepełniły się salony, a przed ambasadorem utworzyła się ciżba dygnitarzów i gdy już zbrakło krzeseł, przystawali nie bacząc na tłok, byle się tylko znaleźć bliżej, w promieniu jego wszechmocnych spojrzeń. Zaś w pierwszym rzędzie

zasiedli: udyamentowany, jak zawsze i najwierniejszy z wiernych, graf »percepta« Moszyński; piękny i mądry hrabia Ankwicz; nikczemnej duszy wytworniś Miączyński; wspaniale przybrany i majestatycznej postaci regimentarz Ożarowski; ironicznie wyniosły i na wszystko baczący poseł angielski Gardinet; puszący się orłem pruskim na piersiach Sułkowski, kanclerz wielki koronny; hetman polny litewski Zabiełło; protegowany przez Igelströma i własną żonę do wszystkich wakujących dygnitarstw Załuski; przysadkowaty, w białym mundurze pokrytym złotem i orderami, a głupawą twarzą i nigdy o niczem nie wiedzący poseł cesarski, de Cachet; rudawy, suchy jak klinga, Stecki, miecznik koronny; Pułaski, marszałkujący konającej generalności; podkanclerzy wielki litewski Plater; powolny na każde życzenie »aliantów«, biskup chełmski, Skarszewski; chwiejny, chełpliwy podskarbi litewski, Ogiński; jowialny staruszek w ogromnej peruce i z tabakierką zawsze otwartą w ręku, poseł holenderski, Kriegenheim; milczący arystokratyczny, z oczyma jakby z lodu, szwedzki, Toll, szczerze przyjazny Rzeczypospolitej, a obok niego króla pruskiego pełnomocny de Buchholtz, nieśmiały w ruchach, zatabaczony, źle ubrany i otoczony ogólną nienawiścią, że nawet Podhorski nierad się z nim pokazywał. Był i nuncyusz Saluzzi w purpurze i ze złotym krzyżem na piersiach, smukły, wytworny i pachnący, który pod stu pozorami zbliżał się do Sieversa i zbywany półsłówkami, przenosił pomiędzy damy swoją purpurę i twarz podstępnego arlekina.

Biskup Kossakowski był również, ale trzymał się

na stronie, otoczony adherentami: Giełgud, szef 7-go regimentu; Narbutt; X. Wołłowicz, referendarz; Łopot, exoboźny litewski; Jeziorkowski, generalny sekretarz sejmowy i paru jego krewniaków, ustawicznie mu szeptało jakieś uwagi, na co się tylko uśmiechał, spozierając drwiąco na Sieversa i na cały ten tłum, jakby do niego rozmodlony w bałwochwalczej admiracyi.

Zaś Boscamp, prawdziwa »anima damnata«, najmędrszy, najchytrzejszy i najpodlejszy z jurgieltników, wciąż przenosił się z miejsca na miejsce, był wszędzie, gdzie tylko szeptano, i węsząc niby wyżeł, strzygł tropiącemi oczyma na wszystkie strony.

Było jeszcze wielu innych, zapełniających salony. I nie tylko jurgieltnicy, nie tylko oczajdusze, zakładający swoje fortuny i wyniesienia na jego faworach, lecz i zgoła nieskazitelni ludzie, cnotliwi obywatele i dusze oddane ojczyźnie — wiara bowiem w judaszowe »gwarancye« była powszechna i dla wielu zaślepionych stanowiła jakby dogmat nieomylny, jakby prawdziwego patryotyzmu katechizm.

Nic to, że aliantka zagarnęła najpiękniejsze województwa, że »przyjacielskie« wojska łupiły kraj niegorzej hord tatarskich, że Igelström poczynał sobie w Koronie obyczajem satrapów, a Sievers bagnetami niewolił Sejmujące Stany do powolności.

Wierzono wciąż niezachwianie w puste słowa gwarancyjnego aliansu.

Nie wierzono już tylko w siebie.

W jakiejść chwili jasnowidzenia pojął tę prawdę Zaręba i już się nie dziwił sromotnemu widowisku, nie

szarpał nim gniew i więcej nie bolała hańba, poczuł bowiem — jak kiedy chłop, gdy mu chałupę luty wicher rozwali, a dobro rozkradną złodzieje, czuje, stając na gruzach; w dolę swoją pojrzy, ogrom nieszczęścia zważy i nabrawszy tchu, splunie w garście, za topór chwyci a do podźwigania ruiny się weźmie. W tej chwili czuł tak samo i rozumiał, że czego się tknąć — próchno, zgnilizna od samego rdzenia, żrąca pleśń i ruina. Na nowo trzeba wszystko wznosić i od fundamentów.

Praca bezmierna, trud na całe pokolenia, nigdy końca wysiłkom i ofierze, ale rady już nie wiedział.

Chyba śmierć lub haniebne pęta niewoli.

Póki życia, póki tchu ostatniego — potąd walka nieubłagana i potąd nadzieja.

Są przecież, którzy czują tak samo i pragną tak samo; są, którzy już rozmierzają węgły nowego budowania, pracując nad niem żarliwie.

I pora nadchodzi, by krzyknąć: Którzy macie w sercach miłość i wiarę, powstańcie i lejcie krew swoją na zleczenie ran odwiecznych i odkupienia win!

Naraz odezwał się brzękliwy dźwięk gitary. Zaręba jakby ocknął. Sievers, Buchholtz i de Cachet siedzieli już razem pod portretem Imperatorowej, jakby w krwawym cieniu jej purpurowego płaszcza, a u nóg im pełzało żebracze mrowie, łaszące się o każdy ochłap łaskawości. Gitara znowu zabrzęczała i perlistą fontanną buchnął jakiś głos przecudny:

»Piacer d'amor più che un sol dì non dura:

»martir d'amor tutta la vita dura.

»Tutto scordai per lei, per Silvia infida:
»ella or mi scorda, ad altro amor s'affida«.

Śpiewała na środku salonu hrabina Camelli, przebrana za neapolitankę, w krótkiej ponsowej spódniczce i żółtawym gorsecie; na kruczych włosach miała kwadratową chustę w pasy złoto-zielone i w uszach ogromne, srebrne koła; brat jej, Martini, przedzierzgnięty w lazzarona, wtórował na gitarze, zawracając przytem smolistemi oczyma.

Sievers promieniał uwielbieniem, a za nim wszyscy, akkomodując się dwornie, dawali pozór wniebowziętych. Po każdej więc strofce trzaskały rzęsiste aplauzy i rosły głośne zachwyty.

Zaręba, korzystając z tego, wyniósł się niepostrzeżenie.

»Martir d'amor tutta la vita dura«.

Leciała za nim słodka skarga hrabiny, obejrzał się tylko za Nowakowskim i kazał śpiesznie jechać do szambelanowej.

W pałacu już nie zastał nikogo: przed godziną pojechali do Pyszek, parę wiorst za miasto i w licznej kompanii.

Maciuś wykręcił na trakt Wileński.

Ale na rogatce czekała nowa mitręga: szlaban był zamknięty i osadzony jegrami. Na szczęście miał kartę Cycyanowa, dającą wolne przejazdy o każdej porze dnia i nocy, zabrało to jednak sporo czasu, nim zjawił się dyżurny oficer i rozkazał przepuścić.

— W konie, Maciuś! — krzyknął, gdy się nareszcie znaleźli na wolnym trakcie. Właśnie zabiły ponieszporne

dzwony i wiatr rzucił na nich taką ulewę huczących dźwięków, że konie z miejsca poniosły, aż im zagrały wątroby, a przydrożne drzewa jęły uciekać w tył z szaloną szybkością.

— Bimbają, jakby nad generałem! — zaczął Staszek, odwracając się z kozła. Ale Zaręba nie słyszał, zatopiony w medytacyach.

Upał już przechodził, od lasów ciągnęły rzeźwe tchnienia, powietrze było pełne różowych brzasków i lśnień, niebo wisiało modrawą taflą, bez chmur.

Droga szła sypana, okolona rowami, z obu stron gęsto wysadzona brzozą i bardzo szeroka. Wsie były dosyć gęste, tylko ledwie dojrzane ze sadów i zarośli, sporo też ludzi snuło się po drogach i powracało z miasta, ale było tak jakoś pusto, cicho i tęsknie, aż Staszek mruknął:

— Jakbym jechał na postną stypę, już mi się na płacz zbiera!

Maciuś się nie odezwał, zajęty prażeniem lejcowego za ciągłe wpadanie w żydowski galop.

— Obóz, proszę pana porucznika! — meldował naraz Staszek, wskazując na lewo. Jakoż za nizkimi krzakami zabielały gęste rzędy namiotów; na szerokim majdanie kurzyły się liczne ogniska, otoczone przez kupy żołnierstwa i brząkały bałabajki.

— Czy to armaty tam pod drzewami?

— Tak, proszę pana porucznika. Stoją w zielonych giezłeczkach, jak sierotki od Dzieciątka Jezus za procesyą w Boże Ciało. Żeby tym panienkom zadać

czopki, gdzie trzeba, nie czekałyby długo na połóg! — śmiał się w kułak.

— I za niemi stoi widać jakaś konnica? — zdziwił się niezmiernie.

— Smoleńskie dragony — wtrącił Maciuś, powstrzymując nieco konie. — Rychtyk, poznaję po gniadoszach. Kamraty powiedały, jako wczoraj przywaliło ich całe trzy szwadrony. To ci sami, którzy łoni konsystowali w Krakowskiem.

— Zostają w Grodnie, czy ciągną dalej?

Ale Maciuś nie umiał dalej objaśnić, więc Staszek wyrwał się skwapliwie:

— Wartałoby dostać języka! Jabym, proszę pana porucznika, sprawił się w mig...

— Swędzi cię skóra? Nie próbowałeś, widzę, kozackich nahajów?

— Nie zdarzyło się jeszcze, smakowałem tylko w naszej rodzonej leszczynie, czego mi nie żałowali! Ale jabym się sprawił chybcikiem! Trajluję po ichniemu, że nie zniuchają, dyabeł czy jego ciotka! Przecież przez cały czerwiec markietanowałem po ich obozach pod Warszawą. Pan kapitan może poświarczyć, jak wszystko regularnie spenetrowałem. I na pamiątkę puściłem im czerwonego koguta! Hi! hi!

— Cóż to znaczy? nie rozumiem.

Patrzał na niego bardzo życzliwie.

— Że to niby niechcący naumyślnie skurzyły się ich magazyny z furażami! Na ratunek nie leciałem, bo to wzbronione postronnej publice, wolno tylko bronić

sposobnym i którzy do tego przez samego Igelströma wyznaczeni.

— Dyabeł w Warszawskiej osobie! — bąknął Maciuś, spluwając od uroków.

— Takaś to facies? — szepnął z uznaniem Zaręba.

— Aż wszystkie jurydyki pękały ze śmiechu, bo magazyny były pełne, czegój się nikt nie spodział. Przy tej okoliczności poszły też z dymem sołdackie baraki, że od przypieczonych kozackich schabów zrobił się fetor na całą Pragę. Powiedał Szmulowicz, ich główny markietan, jako sam Igelström rwał sobie resztki kłaków z żałości. Hi! hi! bo też skwierczały w ogniu chudziaki, jakby naszpikowane. Psi mieli niezgorszą uciechę!

— Masz wilcze serce, mój Staszku! — zauważył dosyć chłodno.

— Z wrogiem się ceckał nie bedę. Naszych też nie szczędzą!

— Muszę się sprzęgnąć do roboty z Kacprem — wyrzekł po długiej chwili.

— Lubię do pary, ale tylko w sztajerze. Wedle rozkazu pana porucznika — dorzucił śpiesznie, zobaczywszy groźną zmarszczkę na jego twarzy.

Dosięgli wreszcie Pyszek, a raczej ogromnej karczmy, stojącej na ostrem załamaniu drogi, pod starym, wyniosłym lasem. Już tam stały wyprzężone pojazdy i część służby, porozdziewana do koszuli, grała w karty pod drzewami.

Rudy żyd, karczmarz, kłaniając się jarmułką, ob-

oczy, poprawiła kapelusza i po chwili już tańcowała w pierwszą parę z von Blumem, różowa, uśmiechnięta i tak cudna w pląsach, dygach i minach, że porywała wszystkie oczy.

— Terenia nie na żarty zajęta tym drągalem.

— Zwykły marivaudage, cale zabawny a nie grzeszny.

— Mam o tym oficyerze relacye, godne ostatniego huncwota.

— Ależ to najtkliwszy z trubadurów, sama wzniosłość. Uwielbia go.

— Wszak ma narzeczonego, którego pono kocha — zauważył surowo.

— Cóż to przeszkadza? — Będę broniła świętych praw miłości — rzekła wyzywająco, wpierając się ramieniem w jego pierś, gdyż znowu siedzieli przy sobie, na kobiercu. Zadygotał i zazierając z blizka w jej twarz nieprawdopodobnie piękną, szepnął z bladym uśmiechem:

— I nie wódź mnie na pokuszenie!

— Pragnęłam, abyś przyjechał!

Przymknęła oczy, wysuwając nabrzmiałe usta, podobne do napiętego łuku. Dyszała coraz szybciej.

— Myślami byłem zawsze przy tobie! — wymówił ledwie dosłyszalnie.

— Pozostań, nie odchodź, pozostań przy mnie! — rwały się ciche, palące słowa.

Podniosła nagle powieki, zatapiając w nim ogniste szpony oczu, aż cofnął się mimowoli, jakby pod dotknięciem rozpalonego żelaza i rzekł smutnie:

— By znowu być wypędzonym z raju!

— Wszystko się stało malgré moi. Ani wiesz, w jakich żyję supirach, ani wiesz!

— A ja! A ja! — jęknął, pobladły śmiertelnie i chwycił się za serce.

— Uwielbiam cię! Muszę ci dzisiaj wszystko opowiedzieć. Wszystko! Poświęć mi dzisiejszy wieczór... Powstańmy, idzie ku nam pani Ożarowska i hrabina Camelli.

— Jakąż nową kabałę ni gotuje? — pomyślał odstępując nieco, gdyż grono dam, przybyłych z przyjęcia u Sieversa, otoczyło szambelanową. Patrzył na nią znacznie chłodniej, jakby oprzytomniony jej namiętnemi półsłówkami, w które nie uwierzył i sama ich pamięć sprawiała mu przykrość.

— Kłamała, jutro to samo powie drugiemu. Rozeszła się z Cycyanowem i mniema o mnie, że w braku laku dobry i opłatek. Nazbyt zadufana w moce swoich wdzięków — przeżuwał posępnie.

— Cóż, rycerzu — zaszeptał Woyna, przystępując do niego — twierdza wywiesza białą chorągiew i gwałtownie pragnie kapitulować.

— Stare fortele dla pognębienia łatwowiernych — odparł tym samym tonem.

— Nieźle filujesz miłosne karty, mógłbym zagrać va banque!

— Gdyby mnie nęciła wygrana — uśmiechnął się apatycznie.

— Jakże ci się dzieje w Grodnie? — zaczął z innej strony.

— A tłukę się, jak Marek po piekle. Jak wiesz, byłem na sejmie, byłem dzisiaj u króla, byłem nawet u Sieversa. Patrzę, słucham, rozważam i zaczynam mniemać, że albo ja jestem niespełna rozumu, albo powszechność.

— Dlaczego? Rezolwuj powiedzieć prawdę.

— Znasz ją lepiej ode mnie — rzekł smutnie. — A na dobitkę, przed godziną widziałem prawie całą Rzeczpospolitą u nóg Sieversa. Ale ożeniłem swoją rozpacz z nadzieją i tem salwuję zmysły.

— Nie pora i miejsce na dyskursy w tej materyi — zauważył ostrożnie Woyna.

— Tem wykręcają się wszyscy od spojrzenia prawdzie w oczy.

— Bo może i lepiej nie znać jej spojrzenia. Jakże znajdujesz piknik?

— Nad wyraz nudnym. Przynajmniej dla mnie.

— Masz racyę, chociaż von Blum i jego kamraci nie szczędzą trudów i ekspensów, aby piknik zrobić prawdziwie champêtre.

— Tandem zabawiamy się dzięki ich wspaniałomyślnej łaskawości.

Kniaź Cycyanow, Blum, Arseniew i drudzy tegoż autoramentu rycerze zapragnęli się odwdzięczyć całej socyecie za ciągłe bale i asamble.

— Jacy poczciwi, ale odbiją to sobie i jeszcze z dobrym profitem. Blum ma już nawet niezłą eksperyencyą.

Opowiedział jego historyę z Karpińskim.

Woyna nie wziął jej zbytnio do serca, tylko, podparłszy wargę złotą gałką laski, zauważył jadowicie:

— Z tego konkluzya, że Blum jest »czynnym obywatelem«. Tak nazywają Rojaliści Jakobinów i złodziejaszków. A gdzieś powiedziano: »Kto nie łupi ze skóry bliźniego, ten będzie złupiony«. Nie wiem, czy moja cytacya jest wierna, muszę się o to spytać biskupa Kossakowskiego. Ale, pójdźmy złożyć powinne hołdy pani Ożarowskiej.

Zastąpiła im drogę panna Terenia, impetycznie napadając na Zarębę.

— To waćpan tak się mną opiekuje! — wołała krotochwilnie.

— Musiałem ustąpić przed kapitańską szarżą. Gdzie mi się równać z von Blumem!

— Aha, teraz wiem, co w trawie piszczy! Zaraz powiem Izie, jaki waćpan dla mnie czuły!

Dygnęła z komiczną przesadą i poleciała.

— Biedny Marcin, jeśli ją bierze na seryo! Jej tylko w głowie zabawy i amuretki.

— Wszystkie takie same — syknął Woyna z nienawiścią. — Coraz więcej admiruję rozum Mahometa. To jedyny z mędrców, który pojął naturę kobiety i dał, czego jej było potrzeba: haremowe więzienie, a w perspektywie stryczek. Kobieta jest najpiękniejszym tworem natury, ale szkoda, że również nieudanym.

— Starościc znowu coś wygaduje na kobiety! — zaśmiała się Ożarowska, zbliżając się do nich w otoczeniu dam i całego dworu młodzieży i oficerów.

— Właśnie sławiłem Mahometa i rozkosze haremów.

— Więc pan nienawidzi kobiet? — pytała hrabina Camelli.

— Z rozpaczy, że nie mogę wszystkich naraz uwielbiać!

— Za taką nienawiść powinien być skazany na dożywotnie małżeństwo.

— Litości, kara zbyt okrutna! — wołał jakiś fircyk we fraku »zebré«.

— Nudna i przytem cale w złym guście! — wyrokował jeden z braci Krotowskich.

— Waćpan naprawdę sławi haremy? — napierała księżniczka Czetwertyńska.

— Lubię przywileje, które mogę utrzymać batem i pieszczotą! — drwił już po swojemu, puszczając takie szmermele dowcipów i złośliwości, że śmiano się powszechnie, mimo ich kolącej zaprawy.

Szambelanowa, przysunąwszy się do Zaręby, szepnęła:

— Chciałabym wyjechać prędzej i niepostrzeżenie.

— Czekam twojego skinienia!

I gdy odeszła, przywołał Staszka, który coś zbyt żarliwie gospodarzył przy zielonej »teledze«, gdzie były zapasy oficerów.

— Niech Maciuś będzie gotowy każdej chwili!

— Kiedy proszę pana porucznika — spojrzał z rozpaczą na antały — kiedy ma być jeszcze iluminacya... kiedy...

Język mu się już plątał, ale, spotkawszy chmurny wzrok, sprężył się i odszedł krokiem wojskowym.

Zaręba chciał się odsunąć od towarzystwa, lecz co chwila ogarniały go różne grupy i musiał rozmawiać, prawić komplimenty, ściskać jakieś dłonie i pić, pomimo że nudziła go cała zabawa, drażniły rozwdzięczone damy, a ci Sieversowi oficerkowie butni, przesadnie szarmanccy dla dam, a zbyt protekcyonalni dla mężczyzn, doprowadzili go do gniewu. W końcu już rozmyślnie rzucał im gryzące, urągliwe słówka, potrącał łokciami, a przy najlżejszej oznace niecierpliwości kładł wyzywająco dłoń na rękojeści szpady. Zwłaszcza bolał go do żywego Blum, nie odstępujący ani na chwilę Tereni, ale i ten, pomimo wyraźnych zaczepek i docinków, nie dał się wyprowadzić z równowagi, przyjmując wszystko pobłażliwym uśmiechem. Dał im wreszcie spokój, pod wpływem namiętnych spojrzeń szambelanowej, która jakby nad nim czuwała z niezrównaną tkliwością, mistrzowsko przytem grając uwielbienie i miłość, gdyż co chwila znajdowała się na jego drodze, wciąż spotykał jej miłujące oczy, wciąż brał słówka, dyszące żarem i rzucane w przelocie; to poczuł dotknięcie jej dłoni, lub musnęły go pachnące loki, to wyróżniała go w tak znaczący sposób, że budziły się powszechne szepty i zazdrosne spojrzenia kawalerów, zakładających nadzieję na spadek po Cycyanowie. Nawet chwilami sprawiało mu to radość i wtedy tryumfująco toczył oczyma po twarzach rywali, ale jeszcze częściej przyjmował te wyznania z niechęcią i niepokojem.

— Nęci mnie, jak dziecko figą!

Ledwie pomyślał, gdy stanęła przy nim.

— Za chwilę będą jakieś siurpryzy, a potem się wymkniemy. Milczysz?

— Modlę się do ciebie! — z trudem złożył ten gładki a kłamliwy frazes.

— Masz w mojem sercu świątynię! — wionął jej szept i odeszła.

— Raczej tam oberża, gdzie popasa, kto chce! — rozmyślał, zastanawiając się równocześnie, skąd się w nim bierze ta dziwna złość i rozdrażnienie, gdy o parę kroków ukazał się Nowakowski. Obok niego szedł jakiś jegomość z brzuchem beczkowatym i gębą świecącą się, jak miska zrumienionego masła; miał na sobie płócienny kitel, przepasany prostym, rzemiennym pasem, u którego wisiała szabla w czarnej, żelaznej pochwie. Szlachcic miał minę kutego franta i sejmikowego opoja, lecz, zobaczywszy damy, zdjął wyszarzaną czapę, musnął konopne wąsiska i kłaniał się na wsze strony. Smukły pacholik, w granatowym żupaniku i z twarzą cherubina, trzymał się jego boku.

Nowakowski szepnął coś Blumowi, a ten uprzejmie podszedł do nieznajomego.

— Prosimy do kompanii, na podwieczorek!

— Z kimże mam honor? Jestem Kulesza, stolnikowicz liwski, a to mój syn!

— Siadajże waszmość, bez ceregieli! — zapraszał zniecierpliwiony. Nowakowski.

Musieli jednak się zaprezentować i przedstawić go damom; cmokał w rączki wszystkie po kolei, aż do pokojówek, tylko że pierzchnęły na strony.

— Ptaszyny nieskubane zawsze są płochliwe. Jasiu, puc dobrodziki w rączki!

Jasio, rozczerwieniony jak piwonia, dziw, że się nie rozbeczał z onieśmielenia, lecz pod srogiem okiem rodzica całować musiał, aż damy wzięły go pomiędzy siebie i admirując jego urodę, jęły go paść cukrami, niby ptaszka, głaskać, a w końcu i całować bardzo tkliwie.

— Musi nas waszmość dogonić! — śmiał się Blum, nalewając Kuleszy wielki kielich.

— Ex fructibus eorum cognoscetis eos.

Mlasnął językiem o podniebienie, jakby kto strzelił z bicza i połknął kielich.

— Fraszki małe ptaszki! Nie z takimi miewałem sprawę. Mogę wyciągnąć ten antał do ostatniej kropli, nie odejmując gęby — wskazał spory półbęczek, leżący na koziołkach.

— Trzyma z pięć garncy!

Wziął go za wątory i zważył.

— Wypijesz waćpan? — zawołał Woyna zdziwiony. — Jednym tchem.

— In magnis et voluisse sat est. A kto chce, dokona — rzekł chełpliwie.

— Łacina przednia, brzuch bernardyński, ale zakład, że waćpan nie zmoże.

— Trzymam, że wypiję! — wyciągnął rękę, mrugając chytrze zapuchłemi oczkami.

— Stawiam dwadzieścia pięć dukatów contra! — gorączkował się Woyna.

— Ja stawiam za nim! — zawołał Blum, zawsze skory do azardów.

— I ja! i ja! — ozwały się liczne głosy. Otoczyli go ze wszystkich stron, zbiegły się nawet damy, rozpytując z ciekawością, coby się stało?

— Mości panowie, nóżki na stół! — krzyknął Woyna, sypiąc do jakiejś czapki swoje dukaty; za nim poszli drudzy, że po chwili zebrało się pięćdziesiąt cz. złotych.

— Przyjmujesz asan zakład? W puli jest pięćdziesiąt czątych!

— Przyjmuję! Pecuniae oboediunt omnia — wyrzekł uroczyście.

— Wypijesz — dukaty twoje, a nie, to pięćdziesiąt odlewanych bizunów wrzepimy aspanowi. Oto nasze warunki! — wyrokował stanowczo Nowakowski.

— Zgoda, ale baty na kobiercu. Szlachcic jestem, tak i waszmoście...

— Dobrze! Bierz się aspan do dzieła! Jużci, że na kobiercu! — wołano.

Odwrócił się, by rozpiąć pas i hajdawery, szablę wetknął w ziemię, zawiesił na niej czapę i zasiadłszy na trawie, kazał sobie podłożyć pod łopatki zwinięty w rurę kobierczyk.

— Te, chamy, odbijać szpunt! — krzyknął z góry na służbę.

Staszek wyciągnął go sprawnie i podał beczułkę.

Kulesza się przeżegnał, chwycił antał za wątory

i podniósłszy go nad usta, przechylił się nieco w tył i jął wlewać w siebie wino.

Zrobiło się cicho, nawet muzyka umilkła, wszyscy się zbiegli na to widowisko, wlepiając w niego oczy, a on pił i pił, robiąc jeno grdyką i sapiąc, przechylał się coraz bardziej, aż wsparł się plecami o kobierczyk i ciągnął coraz wolniej.

Oczy mu już wyłaziły na wierzch, pot rzęsisty oblewał posiniałą twarz, żyły na szyi nabrzmiewały, niby postronki, a brzuch pęczniał z przerażającą szybkością.

Scena z krotochwilnej stawała się tak wstrętną, że damy pouciekały, zaś młodzież z niepokojącem biciem serca wyczekiwała tej chwili, gdy Kulesza dopił ostatniej kropli, antał odrzucił i zabełkotał:

— Nil admirari! Słowo się rzekło, kobyłka u płotu! Jasiu, czuwaj!

I zwalił się na trawę śmiertelnie pijany.

Pacholik czapkę z dukatami podsunął mu pod głowę i jął źdźbłem trawy ekscytować gardziel ojcowską, aż dobroczynny skutek nastąpił.

Wszyscy odsunęli się z obrzydzeniem, tylko jeden Staszek z dziwną troskliwością okrywał pijanemu twarz połą kitla, sięgając zarazem do dukatów, ale Jasio warknął groźnie:

— Nie ruszaj, bo po łbie oberwiesz!

I buńczucznie chwycił za szerpentynkę.

— Żeby się tylko nie dopił Królestwa Niebieskiego — kłopotał się Zaręba.

— Wyśpi się i jutro znowu będzie gotów! Ma spust, niech go kule biją.

— Opój to znany w całej Rzeczypospolitej! Wprawiał się pono pod protekcyą samego ś. p. księcia Panie Kochanku! Ale majster! — zdumiewał się Nowakowski.

— Skądżeś go waszmość wytrzasnął?

— Z pod karczmy, prawił mi takie facecye i tak szpikował łaciną, że zabrałem go dla rozweselenia towarzystwa. Nie myślałem że on aż taki gracz! Dokąd jedziecie? — zwrócił się do chłopaka.

— Na sejm' do Grodna — odparł, szorując chustą oblicze ojcowskie.

— Znajdzie godnych kompanionów, ale wątpię, zali go kto przepije!

— Są jeszcze sławne gardziele, zwłaszcza pomiędzy szaraczkami. Mniemam też, jako Podhorski mógłby z nim stanąć do rozprawy.

— Pięć garncy borgońskiego jednym tchem nie wypije. To proste bydlę z tego stolnikowicza — syknął z obrzydzeniem Woyna i poszedł wraz z Zarębą do pań, wielce zafrasowanych kaprysem księżniczki Czetwertyńskiej, której gwałtownie zachciało się świeżego mleka. Blum był zrozpaczony, gdyż mleka nie było w zapasach, ani nawet w karczmie. Na szczęście ktoś rzucił projekt sprowadzenia krowy z najbliższego pastwiska.

Pobiegło na tę bohaterską wyprawę trzech Krotowskich z paru oficerami, a po jakimś czasie ukazali się na polanie, pchając jakąś ryczącą krowinę; za nimi

leciała, lamentując w niebogłosy, pastuszka z rozwianymi włosami.

— Jest mleko! — wołał tryumfująco Blum — ale kto je wydoi?

— Naturalnie, że ja sama — oświadczyła rezolutnie księżniczka.

— Fe, ależ ona okropnie pachnie oborą! — krzywiła się pani Nowakowska.

— Nawet w romansach krowy nie pachną liliami — zauważył drwiąco Woyna. — Można ją wreszcie skropić wonnościami, to będzie bardzo poetycznie.

Jakoż istotnie wymyto jej wymiona larendogrą i całą zlano wonnościami ku powszechnemu roztkliwieniu a wielkiej uciesze służby. Szczególniej Staszek, stojący za swoim panem, wprost pękał od konwulsyjnego śmiechu.

— Proszę pana porucznika, bo się wścieknę... O mój Jezu, że to moje grzeszne oczy jeszcze się czegoś podobnego doczekały! O psia twarz! hi! hi!

Krowę wprowadzono ceremonialnie na rozpostarty kobierzec, służba przytrzymała ją za rogi, grzbiet i ogon, księżniczka siadła pod nią na stosie poduszek i wśród nabożnej ciszy zaczęła doić do jakiejś wazy.

— Boski obraz! Sublime! Czarująca! Invoyable! — sypnęły się naraz zachwyty, gdy księżniczka, nadoiwszy z pół wazy, uniosła ją do góry i zawołała:

— Kto pragnie, tego napoję prawdziwym nektarem!

Naturalnie zapragnęli wszyscy, lecz tylko niewielu

dotknęło ustami świętej czary i piło jakby w ekstazie wniebowzięcia i nieopowiedzianej szczęśliwości, a kiedy przyszła kolej na Woynę, ten zauważył:

— Przedziwna przemiana: krowa czarno-biała a mleko fijołkowe!

— Prawda! Ależ to cud! Niebywałe! Mleko fijołkowe! — zdumiewała się powszechność.

— I nawet pachnie fijołkami — dowodziła z powagą pani Ożarowska.

— Księżniczka doiła w rękawiczkach i puściły farbę — zaśmiał się Woyna.

Księżniczka podniosła ręce. Jakoż długie, fijołkowe rękawiczki haftowane złotem, były na palcach i dłoniach już prawie białe, puściły od mleka.

Zaperliły się dyskretne chichoty, a Woyna znowu rzekł:

— Tak się kończą wszelakie cudowności.

— Obrzydliwy wolteryanin — szepnęła srodze dotknięta pani Nowakowska.

Juści, że natychmiast mleko wylano na ziemię i krowę odpędzono ze wzgardą. Ale ktoś zauważył pastuszkę, stojącą jakby w osłupieniu pod dębem.

— Śliczna dziewczyna! Czyjaś ty?

— A tatusiowa! — skoczyła do krowy, szczypiącej trawę o parę kroków.

— Przebrać ją, a dałaby obraz leśnej Dryady — powiedziała hrabina Camelli.

Panie, pochwyciwszy w lot ten pomysł, złapały dziewczynę, powiodły w gąszcze i mimo jej wrzasków i płaczów przebierały śpiesznie na nimfę.

Tymczasem słońce już zaszło, białawe mgły zalewały polanę, mrok obtulał lasy i rozpełzał się po nizinach; zapalono wielkie ogniska, bijące skołtunionymi chlustami dymów i płomieni. Gdzieś od Niemna rozlegały się przeciągłe porykiwania krów spędzanych i dalekie, ściszone śpiewania.

Towarzystwo zaczęło zbierać się do odwrotu i powstawały krzyki na służbę, szukania zagubionych rzeczy i biegani. ı, pełna śmiechów i zamętu.

Zaręba był już mocno zniecierpliwiony daremnem wyczekiwaniem na znak od szambelanowej, ale jeszcze czekał, trzymając się jej z blizka, chociaż nie zamieniła z nim ani jednego słowa, wielce rozbawiona otaczającą ją młodzieżą,

Już ruszali ku karczmie i powozom, gdy naraz z gąszczów wybłysnęło kilkadziesiąt pochodni, a w ich płomiennem obramieniu pokazała się kapela Faunów i dmąc ze wszystkich sił w piszczałki, wiodła w pośrodku zasromaną i nieprzytomną pastuszkę, przybraną za nimfę; na lnianych, rozpuszczonych włosach miała wieniec kwiatów; była prawie naga, pokryta jeno girlandami z traw i zieleni; sukienczyna, podpięta z boków nad kolanami, odsłaniała jej chude i brudne nóżęta. Szła pełna lęku i oszołomienia, łzy ryły po jej twarzy wyróżowanej głębokie brózdy, ale niebieskie oczki świeciły zachwyceniem i na otwartych ustach kwitnął uśmiech dziecinnego oczarowania.

Obraz, pomimo dziwaczności, był zgoła niepowszedni, a pastuszka tak pełna dzikiej piękności i spło-

szonego wdzięku, że porwały się brawa i krzyki zachwytów.

— Po prostu cudowna! Trzeba ją zabrać do Grodna — zawyrokowała pani Ożarowska.

— Złowiliśmy leśną rusałkę i zawieziemy ją całą kawalkatą pani Dziekońskiej.

— Aniby kto zdołał wyimaginować na koper-sztychu coś piękniejszego! — wołano.

Nikt już nie zwracał uwagi na śpiącego w trawie Kuleszę, ni na Jasia, który przy nim siedział.

Spłynęli z polany wzburzoną falą i mroki leśne rozedrgały się migotem pochodni, świegotem fletrowersów i wrzawą podnieconych głosów.

— Czekam na ciebie. O północy będzie światło od ogrodu. Kocham! — posłyszał naraz Zaręba i zarazem jakieś palące usta spadły na jego usta w tak straszliwie żarłocznym pocałunku, aż zbrakło mu tchu i w oczach zaiskrzyły się gwiazdy.

Po chwili znowu szedł leśną drożyną. Szambelanowa rozwiała się w ciemnościach i tylko usłyszał jej srebrzysty śmiech gdzieś w pośrodku towarzystwa.

Obejrzał się trwożnie; był sam, nawet Staszek raptem gdzieś zniknął.

Przed karczmą już stały gotowe pojazdy; do pierwszego wsiadła szambelanowa wraz z panią Ożarowską, ks. Czetwertyńską, hr. Camelli i z nimfą, którą troskliwie usadziły między sobą; reszta siadała, jak się komu podobało.

Pojazdy wyciągnęły się długim gąsiorem, a każdy był poprzedzany przez dwóch konnych hajduków z po-

Ostatnie słowa Izy wciąż snuły mu się po mózgu jakby tęsknotą wszystkiej miłości i nadzieją wszystkiej rozkoszy świata, że chwilami rozglądał się oślepłemi oczyma za kapeluszem, szukał rękawiczek i nawet już brał za klamkę, ale nie poszedł, trzeźwiły go bowiem ufne oczy Kacpra, zdające się mówić: »a któren raz posłyszy w sobie święty głos ojczyzny, tego i śmierć nie powstrzyma«.

— Więc już nigdy dla siebie! Więc już ani chwili własnego szczęścia? — Targał się w bezmiernym bólu, ale gdy Kacper naszykował mu ubranie na drogę, zaczął się bezwiednie przebierać. Naraz, spostrzegłszy Staszka, przyskoczył do niego z dzikim błyskiem oczu.

— Strzelałeś do kozaków?

Staszek pobladł i zabełkotał coś zgoła bez związku.

— Bez komendy? — syczał w największej pasyi. — Ja cię nauczę gwizdać po kościele. Kacper, piętnaście kijów temu ultajowi!

Staszek rymnął z płaczem na ziemię.

— Zarobiłem dwadzieścia pięć i mniej nie wezmę — skowyczał, obejmując go za nogi. — Zarobiłem rzetelnie, bo z tego mogło się stać nieszczęście! Mój kapitan nie pożałowałby mi pięćdziesięciu. Bij, Kacper, jak w bęben, tylko niech się na mnie nie gniewa pan porucznik.

Zaręba porwał go za kołnierz i postawiwszy przed sobą, huknął:

— Nie wyłżesz się fortelami, weźmiesz jutro, co ci się należy!

— Już czas, panie poruczniku! — przypominał Kacper, podając mu długą, wojskową kapotę.

Ubrał się, popatrzył jeszcze raz na zegarek i westchnąwszy ciężko jakby nad grobem własnego szczęścia, zawołał rozkazująco:

— W drogę! — I ruszył naprzód, jakby w gwałtownej ucieczce.

## V.

Ale skoro się znaleźli za klasztornymi budynkami, Zaręba nakazał Staszkowi wracać i mieć szczególne baczenie na Maciusia i konie, a wszystkich podejrzanych włóczęgów, kręcących się koło domu, przepędzać kijem.

Staszek, dotknięty niełaską, żarliwie napierał się zabrania na wyprawę.

— Odrób pierwej kije, jakie ci grożą — fuknął gniewnie — Kacper, prowadź!

Kacper, odszukawszy w ciemnościach dróżkę pod drzewami, powiódł zygzakiem po zboczach, w dół ku rzece.

Noc była ciemna, po niebie przewalały się bure, poszarpane łachmany chmur; czasami uderzył hukliwy, gorący wiatr, aż drzewa szarpały się jakby na uwięzi, a niekiedy szły głuche niepokojące cichości.

Mijali jakieś domki pokryte w gąszczach sadów, to jakieś nory i legowiska, z których psy groźnie warczały i wsunęli się pomiędzy dwa domy, stykające się prawie szczytami. Wązka szczelina prowadziła na ulicę

Mostową, którą trzeba było przejść w poprzek, co przedstawiało pewne niebezpieczeństwo, gdyż o kilkanaście kroków na lewo, nad zamkniętą łańcuchami rogatką paliła się latarnia i tuż pod nią stały konne i piesze straże.

Przemknęli się na czworakach i zaledwie przywarli w cieniu karczmy zamkniętej na głucho, gdy z góry od miasta rozległy się człapania koni.

— Obluz warty! — ostrzegł Kacper i zmacawszy drzwi, otworzył je kluczem i starannie zamknął za sobą. Sień, w której się znaleźli, szła na przestrzał domu; z boków, przez liche drzwi, sączyły się światła, ściszone głosy i brzęki szkieł.

Na podwórzu, obstawionem szopami, a pełnem wozów i koni, kręciły się jakieś cienie, ale Kacper szedł śmiało do znanego sobie przejścia i wyszli na drogę, biegnącą od mostu w dół Niemna.

— Teraz będzie gorąco! — mruknął, przepatrując ciemności; nie sposób było co dojrzeć, nawet o parę kroków, bo wyniosłe nadbrzeżne wzgórza rzucały głębokie cienie na drogę i część rzeki, mrowiącej się połyskliwie.

Ruszyli z największą ostrożnością, przystając co chwila lub zapadając między szychty drzewa złożonego nad drogą, gdyż co kilka minut rozlegały się ciężkie tupoty koni przejeżdżających patrolów.

Po drugiej stronie Niemna dosyć gęsto błyskały ogniska biwaków.

— Strzegą, jak fortecy.

— Co pięćdziesiąt kroków konny, zaś od pól rozstawiają nawet sekrety.

Dosięgli jakiegoś domku, wciśniętego między drogę a rzekę, Kacper brzęknął w szybę umówionym sposobem i natychmiast zjawiło się dwóch ludzi.

— Gotowe, można jechać! — ktoś szepnął, prowadząc nad sam brzeg, gęsto porośnięty krzakami, gdzie w głębokich cieniach taiła się łódź.

Weszli do niej i ten sam szept rozkazał:

— Położyć się na dnie.

Spełnili rozkaz, łódź drgnęła, spływając na głębię, niby łabędź, i cicho a chybotliwie popłynęła nad brzegiem.

Rzeka bełkotała w ciemnościach; fale ściżbione i jakby zadyszane czołgały się z nieustannym, swarliwym dygotem, czasem któraś zamiotła z sykiem o piachy spienioną pletwą lub plusnęła w górę, jak ryba.

Niebo wisiało nizko, wzdęte kłębowiska chmur zdały się gonić te wody, wiecznie uciekające w niepokoju i trwodze.

Zarysy wzgórz przesuwały się czarnymi, pogarbionymi grzbietami.

Wiatr szumiał górą, że tylko czuby drzew poruszały się sennym szmerem. Noc była głucha i późna, po wsiach już zaczynały piać pierwsze kury.

Łódź sunęła śmiało, czujnie jednak, wymijając ławice piachów i oczy wedet; ciemność wiernie ją strzegła i siwe, rzadkie mgły obtulały wilgnymi zwojami.

Zaręba podniósł się nieco. Z górnych okien zamku, jakby gdzieś z chmur, błyskało jakieś światełko. Wes-

tchnął ciężko i opadł z powrotem na dno, szept Izy owionął go znowu przesłodką melodyą miłości, niecąc zarazem przenikliwy, szarpiący żal. Leżał wpatrzony w niezgłębioną topiel nieba i cały w serdecznej udręce; szklane dźwięki fal, bełkoty, westchnienia wstające niewiadomo skąd, ciekliwe pluski i tajemnicze gędźby nocy pomnażały jego mękę, każdy bowiem z tych głosów zadawał nową ranę, budząc przypomnienia i nigdy nie ziszczone nadzieje i każdy był jakby szlochem pożegnań.

Ale w jakiejś chwili otrzasnął się z płonnych rozczulań nad samym sobą, wyżenął je precz, niby kupę zwiędłego kwiecia i uniósłszy głowę nad burt łodzi, przeglądał bacznie rzekę i czarne, ledwie dojrzane zarysy kozaków.

Mijali właśnie miejsce, gdzie Horodniczanka wpada do Niemna, gdy naraz uczyniło się jaśniej, chmury się nagle rozdarły i księżycowa srebrzysta smuga rozlała się po rzece, wydając ich oczom straży.

— Stój! stój! — zakrzyczano groźnie z brzegów.

Łódź dała szalonego szczupaka i równocześnie huknął za nimi strzał.

— Pod brzeg! prędko! — rozkazywał Zaręba, wyciągając pistolety.

W paru susach łódź znowu wpadła pod obwisłe gałęzie i uciekała.

— Stać! — rzucił ostro, chwytając się gałęzi.

Przewoźnicy zaparli łódź wiosłami, lecz nie mogąc poradzić prądowi, który ich gwałtownie znosił na środek, zsunęli się do wody i wstrzymali.

Zaręba i Kacper z pistoletami w rękach, zdeterminowani na wszystko, czekali, tając oddechy i nasłuchując wrzasków, jakie się podniosły. Chwile zdały się być wiekami, patrole przysuwały się coraz bliżej i wśród przekleństw, nawoływań i bieganiny penetrowano brzegi, zajadle szyjąc pikami każdy krzaczek; słychać nawet było pluski wody pod kopytami i trzaski zapalanych pochodni.

— Bij z blizka na upatrzonego — ostrzegał spokojnie Zaręba.

Przewoźnicy szczękali zębami z zimna i przerażenia.

Ale po kilkunastu minutach straszliwej niepewności krzyki zaczęły ścichać i oddalać się, że przeczekawszy jeszcze pewien czas, ruszyli w dalszą drogę, trzymając się długo cienistych brzegów. Dopiero za Łososną, po wyminięciu grenadyerskich obozów i gdy zdradziecki księżyc przepadł w chmurach, łódź chlusnęła wartko na środek rzeki i poleciała jakby na skrzydłach.

Poniósł ją bowiem bystry prąd, rwały naprzód wiosła i popędzał wiatr, który był wstał, dmąc im niezgorzej w plecy.

Skrzypiały dulki, bryzgały wyrzucane piany i wiosła, niby długie pletwy, biły raz po raz, w takt pochylań się przewoźników, nie szczędzących gnatów.

Wpadli w lasy, schodzące z obu stron do samej wody, jakby na dno czarnej łyskotliwej rozpadliny, nakrytej szarą, wzburzoną płachtą obłoków.

Lecieli wskróś jakichś łąk, potrząśniętych biała-

wym kożuchem mgieł i wrzących od skrzeczeń derkaczów, huczenia bąków i kwilących zawodzeń czajek.

Lecieli wskróś pól omglonych, pachnących gryką i dymami, gdzie od wiosek, niedojrzanych w nocy, naszczekiwały psy i drżały jakby ciężkie westchnienia śpiących.

Było już blizko trzeciej i na wschodzie zaczynało się przecierać, gdy dobili pod wysokie wzgórze, pokryte lasem i wysiedli.

— A jakże powrócicie? — troskał się Zaręba, przeciągając strudzone kości.

— My już, nibyto wyjechawszy jeszcze rano na połów, mamy poświarczenie mostowego, to wrócim przezpiecznie, choćby i z pustemi sieciami.

Chciał im wetknąć po dukacie, nie wzięli jednak, a starszy rzekł z godnością:

— Nie dla grosza stawiwszy głowy. Ociec Serafin wpisał nas do polskiego bractwa, to służym z dobrej woli a powinności.

— Bym znał, komu winien jestem wdzięczność!

— Trojakowski Szymon jestem, rybak, a to mój syn, Wojciech.

Gorąco uścisnął im spracowane ręce, wzruszony tem szczerem oddaniem się sprawie i poszedł za Kacprem w górę, niezmiernie stromą i ślizką ścieżyną. Bór ich ogarnął nieprzeniknioną ciemnością, szli omackiem, natykając się co chwila na pnie, stojące zwartym gąszczem; dopiero na szczycie zrobiło się nieco jaśniej i przez rozchwiane, szumiące konary widniało niebo.

— Kto idzie? — rozległ się nagle groźny szept i zgrzyt odwodzonego kurka.

— Wolność! — odszepnął Kacper, przystając.

— Kto idzie? — powtórzył ten sam głos, tylko łagodniej.

— Równość!

— Kto idzie? — padło po raz trzeci. Otoczyli ich zbrojni ludzie.

— Braterstwo!

— Swoi. Idźcież z Bogiem! Deptuch, prowadź do obozu.

Ale mieli jeszcze przed sobą kawał drogi przez dzikie wertepy wzgórz, poręb, dolinek i bagien. Szli w milczeniu, tylko Deptuch co pewien czas gwizdał przeciągle, rozglądając się na strony i potem zwracał się do porucznika:

— Pokornie melduję, jako wedety na swoich miejscach.

— Dobrze rozstawione — pochwalił, nie mogąc jednak dojrzeć nawet cienia.

— To nie kantonisty, ani towarzysze z kawaleryi Narodowej — mruknął Kacper.

— Nie czepiaj się — odrzekł, trzymając się wytężonym słuchem kroków przewodnika, gdyż w gęstwie i mrokach nie było nic widać, że tylko z rzadka tu i owdzie zamajaczyły ściżbione cienie pni.

— Zalatuje dymem — zauważył w jakiemś miejscu.

— To z bud smolarskich, bo dym ciągnie z prawa — objaśnił Deptuch, wyprowadzając nad brzeg jakowychś

bagien, zarośniętych krzakami, z których gdzieniegdzie błyskały czarne, poślepłe wody, zmętniałe niebo wisiało brudną, pogurbioną płachtą. Droga była ciężka i niebezpieczna, szli jakby po wiśnych rzemieniach, pękających co parę kroków, aż błoto tryskało im w twarze i zapadali po kolana; przegniły zapach wiercił w nozdrzach, jakieś wielkie ptaki zrywały się z ciężkim łopotem, krążąc nad bajorami, niby czarne chusty porwane przez wicher.

— Ostatnia górka — meldował Deptuch, ciągnąc pod wzgórze tak pełne jam, wykrotów, korzeni, że, potykając się na każdym kroku, już w głos klęli.

Ale ze szczytu roztoczył się przed nimi wielce malowniczy aspekt.

W ciasnej i głębokiej kotlinie, obrośniętej niebotycznemi drzewami, gorzało parę ognisk. Płomienie buchały czerwonymi chlustami, rzucając krwawy brzask na całe obozowisko, dymy napełniały kotlinę postrzępionym, sinym obłokiem, w którym mrowili się ludzie ledwie dojrzanymi zarysami.

— Nie alarmuj! — wstrzymał Deptucha i zeszedłszy na dół, przystanął za jakiemś drzewem.

Obóz był liczny, ale jakiś niemrawy i wielce osowiały; dużo ludzi spało porozciąganych prosto na ziemi, drudzy coś majstrowali koło przyodziewków, zaś insi, obnażeni do pasa, wyprażali nad ogniem koszule, niektórzy zapamiętale rzucali kości lub grali w chapankę, jacyś z lulkami w zębach łazili dokoła, nie mogąc nigdzie zagrzać miejsca; przy któremś z ognisk jakiś stary żołnierz, przesuwając ziarna różańca, patrzył tępo

w płomienie i ciągle się żegnał i bił w piersi; to znowu szewczyna, z gębą pełną kołków, prał młotkiem w bucisko, aż się rozlegało; pobok kwitnęły przysadziste baby; młodsza iskała tęgiego chłopaka, który wydzierał konopiastą głowę z rąk matczynych, wierzgając gołemi nożętami, zaś druga pilnie robiła pończochę. Paru ludzi, całkiem już na stronie, sprawiało grzecznego świntucha, dyndającego u gałęzi; wychudzone psy cisnęły się, skomląc żałośnie i gryząc między sobą.

Dwa wozy nakryte budami stały nieco w głębi, a przy nich mizerne szkapiny ze łbami w opałkach, zawieszonych u dyszlów.

Stadko owiec, z ogromnym, rudym prowodyrem na czele, bieliło się między drzewami, niby gęsi. Żołnierskie »cielęciuki«, torby, pasy, patrontasze i kociełki wisiały na sękach i leżały porozrzucane przy ogniskach.

Kudłaty, bury kundel łaził trop w trop za ojcem Serafinem, który to komuś podtykał tabakierkę, to wspomagał szczyptą tiutuniu, albo prawił coś uciesznego, że często gęsto parskały śmiechy i setne kichania.

Ale przy tem wszystkiem było dziwnie cicho, mówiono bowiem tylko szeptem, trwoga zdała się unosić nad obozem i co chwila ktoś przysłaniał oczy dłonią i patrzył w las, psy też jakoś często i groźnie warczały.

— Barłóg dziadowski, ale gęby zbójeckie! — mruknął Zaręba, ruszając z miejsca.

— Żołnierz to nie od parady, ni od rozwożenia kresów! — bronił dotknięty Kacper.

Deptuch dał sygnał i wszyscy porwali się na nogi, sprawnie formując szereg wzdłuż ognisk, nawet baby stanęły w powinnym ordynku.

— Jak się macie, chłopcy! — rzucił, stając przed rozwiniętym frontem.

— Życzymy dobrego zdrowia! — gruchnęli, wbijając w niego oczy i tężąc się w słupy.

W blaskach smolistych szczap, niesionych przez dwóch wyrostków, Kacper jął z tabeli wyczytywać nazwiska: przy niektórych ojciec Serafin, idący z boku, czynił ciche uwagi, a Zaręba w surowem skupieniu lustrował surowe a wynędzniałe twarze, wychudłe postury i ten ich dziadowski moderunek, byli bowiem w strzępach i łachmanach jakowychś kapot wojskowych, upstrzonych resztkami najrozmaitszych obszlegów, a wielu zgoła tylko w lejbikach, parcianych portkach i boso. Głowy też mieli przybrane cale grzecznie w zrudziałe baranice, żydowskie aksamitne jarmułki, trójkątne kapelusze i kozackie szkopki, a nawet jeden z gębą jak donica, paradował w księżym birecie. Aż śmierdziało od nich długą, żołnierską nędzą. Zgoniny to były różnych pułków i rodzajów broni, oraz i różnego wieku: pucołowate jeszcze lactansy i deresze kute na cztery nogi, ale wszystko chłopy jakby wybrane, rosłe, żylaste, zawiędłe i w biedach zahartowane. Juści, jako gęby mieli ultajów i obwiesiów, lecz ani jednej nie uwidział bez godnego plejzeru, zaś niektóre aż się pręgowały od nacięć, niby brzozy, z których co wiosna sok wypuszczają.

Stali mocno zaparci w ziemię, patrząc się w niego

hardo i śmiało, a ze ślepiów wyzierały im żelazne dusze i dzikie, nieustraszone męstwo.

I chociaż powagę trzymał w twarzy, a obmacywał ich srogiemi oczyma, jak sztuki na rzeź wybrane, aż ręce zacierał, tak mu się bardzo podobali. I bez Kacprowej tabeli rozpoznawał z pierwszego rzutu oka, jako ci patrzący wilkiem, z podełba i robiący biedrami, niby dziewki w tańcu, to naród od harmat; zaś drudzy, w pasie przegięci, o pałąkowatych nogach i kaczych ruchach, to pocztowi; a reszta, z piersiami wystawionemi jak bębny, prosta, strojna i w sobie zwarta, to piechota snadź już w tęgim egzercerunku wyćwiczona.

— Żołnierzyki kochane! Żołnierzyki! — dyszał radośnie. — Moderunku wam jeno, podpaść was jeno a karabiny w garście dać i hajda z wami choćby na cały świat!

Strasznie mu się udały te obwiesie, deptał też niby koło panienek i rozglądając każdego z osobna, w oczy im łaskawie patrzył i poczciwych słów nie szczędził.

Naraz wyrwał się z szeregu jakiś drągal w zielonym lejbiku, czerwonych portach i łapciach, trzasnął dłonią w daszek artyleryjskiego kaszkietu, sprężył się i wyrecytował jednym tchem:

— Melduję pokornie panu porucznikowi: sto dziesięć luda, dwie markietany, dziesięć pistoletów, dwóch fajfrów, taraban i...

— Jak się masz, Furdzik — przerwał mu z uśmiechem. — No dobrze, stary, dobrze.

— Wedle rozkazu! — zamruczał skonfundowany, cofając się do szeregu.

Kacper spiorunował go oczyma, a skończywszy tabelę, huknął donośnie:

— Odstąp, spocznij!

Szereg się połamał i rozsypał na wszystkie strony.

A kiedy Zaręba zasiadł przy ognisku, pogarnęła się wiara do niego, gdyż rad z każdym rozmawiał. Ujmował ich za serce swoją szczerą, jasną twarzą i żołnierską sprawnością, jaką widzieli w każdym jego ruchu. Spenetrowali to w mig starzy wyjadacze, czyniąc o tem ciche między sobą uwagi:

— On nie z tych, co szarżę dostali jeszcze w kolebce, kadet przecie.

— Sierdzisty, taki od ręki grzmi w pysk, ale srogi nie bywa.

— Są, którzy go znają rodzonym ojcem dla żołnierzów, dobrodziejem.

— Pod Zieleńcami przodkary razem z nami dygował, aż mu gnaty trzeszczały.

— I charakternik. Drugi tak deszczu nie wytrzyma, jak on stał pod kulami.

— A swojemu Kacprowi dał wolność i ziemię.

— I śliczny, kieby ten Jezusek, a przylepny! — unosiła się markietanka z chłopcem.

— Pocałujże go kuma gdzieś i obacz, czy taki przylepny!

Gruchnęli śmiechem, aż zwrócił się do nich i ujrzawszy chłopaka, kazał go sobie podać i pohuśtywał na kolanach.

— Jakże mu na imię?

Odchylił głowę, bo chłopak sięgał mu już do nosa.

— Pietruś! — pisknęła matka radośnie, a po chwili dodała chełpliwie: — Trzymał go do chrztu sam p. pułkownik König z panienką Terenią.

— Toście z Kozienic? A cóż was za licho przyniosło aż tutaj?

— Nieszczęście! — odparła cicho, podnosząc oczy błyszczące łzami. — Mojego pan komendant Orłowski wypisał do Kamieńca, że to mieli przelewać harmaty, a mąż był majster od tego i w Kozienicach fabryka szła jego głową. I pojechalim w tyli świat na naszą biedę. A nim się zabrał na dobre do roboty, przyjechał generał Złotnicki i fortecę sprzedał nieprzyjacielowi. Sprzedał nas wszystkich, mój Boże!

Zapłakała głośno, niezmierny ból widniał w jej wynędzniałej twarzy, pierś się szarpała rozrywana łkaniem.

— A teraz jestem sierota! Sierota! — ciągnęła, pochlipując. — Mój był Polak szczery i za królewskie pieniądze za granicą edukowany na majstra, to jak się dowiedział, aż głową bił o ścianę i chciał mordować tego piekielnika! Ledwiem powstrzymała, gdyż nie sposób było dosięgnąć zdrajcy, już obcy żołnierz zalał fortece i nasze kwatery ogrodzili kordonami. Ale zaraz pierwszej nocy mój zrobił co był powinien ojczyźnie: wygniótł, które mu broniły i zagwoździł co najlepsze harmaty. Tak, on to śmiał i dokonał.

sośniną i zapalonemi świecami, fajfry służyli za ministrantów.

Żołnierze przyklękli wielkiem półkolem, Zaręba nieco z boku, a tylko Łaski nagle się gdzieś zapodział.

Posypały się szepty pacierzów wraz ze szmerem okapującej rosy i głosami przebudzonych borów. Dzień się już bowiem podnosił niemały, przez zwarte gałęzie drzew sączyły się modrawe światłości, z głębin pociągał chłód, nabrany jędrnym, grzybnym zapachem, niekiedy zaś wiatr uderzał o wierzchoły, aż drgały ciżby sosen czerwonych gasły światła na ołtarzu i sypało się postrącane igliwie.

Ksiądz śpieszył z nabożeństwem, niby przed bitwą, i słowa jego modlitw padały twardym głosem komendy, a czynił znak krzyża, jakby rąbał szablą lub sięgał po krócicę, lecz biło mu przytem z twarzy takie żarliwe uniesienie, że kiedy się odwracał, rozkładając ramiona, to zdał się tym ruchem przygarniać do serca te wszystkie pochylone głowy i błogosławić im.

Msza juści szła cicha, tylko czasami dzwonki buchały brzękliwym jazgotem, rwał się z szeregów jakiś szloch przytłumiony, jęk gorący, to długie, nabrzmiałe wiarą westchnienie i łzy też kapały po niejednej srogiej twarzy, a rozgorzałe oczy wlekły się z żebrzącą pokorą do stóp krzyża, widnego na ołtarzu.

Bory gwarzyły cicho, jakby do wtóru pacierzom, wysoko nad nimi krzyczało przelatujące ptactwo, a niby gdzieś z pod ziemi dobywały się głuche, przeciągłe, dalekie ryki dzikiego zwierza, zaś dymy ognisk i mgły po-

ranne zasnuwały wszystko błękitnawą, kadzielną kurzawą.

Po podniesieniu wielu żołnierzy wraz z kobietami przystąpiło do komunii.

Tarkowska z dzieckiem przy piersi, wzięła przy ołtarzu pierwsze miejsce, a za nią czołgała się z wniebowziętemi oczyma markietanka, nie przestając ani na chwilę robić pończochy.

— Robotnica od siedmiu boleści! — fuknął ksiądz, cofając gwałtownie twarz przed rozmigotanymi drutami, niby przed jeżem.

Babina aż się popłakała ze wstydu i konsternacyi

Po mszy ojciec Serafin stanął przy ołtarzu z krzyżem w ręku.

— Żołnierze! — zawołał z mocą. — Przysięgliście bronić ojczyzny do ostatniego tchu?

— Przysięglim! — runął odzew ze wszystkich gardzieli.

— To idźcież w bożą godzinę, dokąd was poprowadzą. A któren w duszy nie żywi zdrady, niech całuje Jezusowe nóżki.

Podawał krzyż do całowania i każdego z osobna błogosławił, każdemu coś poczciwego rzekł i za głowę ściskał.

— Na wielką potrzebę idziesz, żołnierzu, na świętą i zapamiętaj: trzeba bić, jeszcze raz bić i pobić! — wołał ogromnym głosem. — A któż to winien, żeś głodny żołnierzu? żeś w łachmanach? żeś tropiony gorzej wściekłego psa? żeś jako ten Łazarz wzgardzony? Wróg tego sprawcą! To mówię: bij go bez miłosierdzia, bij

bez pardonu, bij na śmierć! Nie żałuj krwi serdecznej, żołnierzu, nie szczędź żywota, bo wolność i ziemia czeka cię w nagrodzie! Wspomnisz, coć mówię, żołnierzu, kiedy po latach zasiędziesz otoczon wnukami, a prawić im zaczniesz, jakeś to wojował, wroga bijał i wolność, a ziemię z pazurów mu wydzierał. A padniesz w polu, żołnierzu, to ci zagrochocą tarabany, znaki się pokłonią, towarzysze łzami pożegnają — zaś święty Piotr na takie larum żałosne rozewrze szeroko niebieskie wierzeje, wyjdzie naprzeciw, a słodko ci rzeknie:

— A chodźże, duszo sprawiedliwa, chodźże, żołnierzu świętej sprawy!

Anieli w trąby zagrają, całe niebo się rozweseli, święci sformują szeregi i powiodą cię, żołnierzyku, między najznaczniejsze persony, między same hetmany posadzą, boś im równy, boś okupił swoją szarżę niebieską krwią, wylaną za ojczyznę, to zażywał będziesz chwały i szczęśliwości aż po wieki wieków! — prawił ojciec Serafin.

Tak im do serca przypadła ta mowa, że raz po raz ktoś go całował w rękę, ktoś chociaż w łokieć, albo w połę habitu, ktoś nawet obłapił za kolana, wszyscy zaś słuchali w dziwnie radosnem skupieniu. Jakoby miody lał im w dusze, a dymy kadzielne przejmowały lubością, zatwardziałe w poniewierkach i nędzach serca nabrzmiewały weselem, niby pąki pod dżdżem wiosennym, strzelając tu i owdzie kwiatem nadziei, że co tkliwszemu zdradna łza uciekała z pod powiek, drugi tylko wzdychał z uciechy, cisnąc się bliżej księdza, a już poniektóry wąsa junacko pokręcał, nabzdyczał się, za-

padły brzuch wypinał i hardo ślepiami toczył, gdy skądciś wydarło się przeraźliwe gdakanie, czem wystrachane owce uderzyły w żałosny bek, a psy jęły dociérać do jednego z wozów i naszczekiwać zajadle.

— Głośno się chwali, że niesie żołnierzowi jajko — zaśmiał się któryś.

— Moja kokoszka! — jęknęła markietanka. — Za łeb zedrę, kto ją wypuścił! Kucusia! kucu, kucu! — nawoływała pieściwie, uganiając się za kwoką.

— I baranki proszą się wędrować z nami.

— Chude, nawet wilkby na nich nie ugryzł.

— Kurę se, jucho, macaj, ale od moich owiec zasię! — groził Bernardyn i skoczył do nich, by się nie rozleciały po lesie, ale już rudy prowodyr tęgo je trykał rogami, zganiając do kupy, zaś ksiądz zawrócił do wozu. Po chwili księży chłopak wydobył z niego niezgorszą beczułkę i postawił niedaleko ognia. Skoczył do niej zapalczywie Łaski, dno sprawnie wyłupał i wziąwszy od pacholika kwartę, zaczerpnął do pełna, podniósł ją lewą ręką w górę i zasalutowawszy, wydeklamował z tkliwością:

»Gorzałeczko, gul, gul, gul!
Panieneczko, tul, tul, tul!
Szynkareczko, lej, lej, lej!
Żołnierzyku, pij, pij, pij!«

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Przytknął kwartę do warg i zadzierając zwolna głowę, a robiąc grdyką, wypił do ostatniej kropli, poczem wyrzekł uroczyście:

— Kiep, komu śmierdziucha nie zastąpi małmazyi!

— Pij złe — dopijesz się lepszego. Ale waszmość masz kiszki za długie! — zauważył szydliwie kwestarz, odbierając mu kwartę i sam zabierając się do rozlewania gorzałki w podstawione manierki. — Jeno bacz, jeden z drugim — zwrócił się do żołnierzy: — kto siła pije, rad się pobije. Po ździebełku, bratkowie i nie na pusty brzuch — ostrzegał.

Tak skwapnie jednak przypinali się do gorzałki, aż Kacper krzyknął:

— Wara! Zostaw na potem, a teraz sam do mnie.

Przysiadł na widnem miejscu wypłacać każdemu, co było obiecane.

— Jeśli zdążą jeszcze uwarzyć, to śniadanie im wydam? — spytał ksiądz.

— Dzień, jak wół, nie wyruszym przed zmierzchem.

Znalazły się w bryce kwestarskiej bochny, niby koła, krupy, zwoje kiełbas i nawet spory boczek, że w mig zaroiło się przy ogniskach, stanęły kociełki, rynki, sagany i zaczęło się prażyć, gotować i skwierczeć, aż w nozdrzach wierciło od lubych zapachów. Tarkowska z wiwandyerką przysmaczały po swojemu, a Bernardyn czuwał, aby przy podziale nikt pokrzywdzony nie został, sam też dopiero na końcu zasiadł do kociełka wraz z Kacprem i Łaskim. Zaś wygłodniałe bractwo rzuciło się na jadło, niby na wroga, pałaszując zaciekle. aż rozdzwoniły się naczynia i zaskomlały pieski, niecierpliwie wyczekując swojej kolei.

— Porucznik, widzę, suszy dzisiaj? — zagadnął Łaski.

— Robi, co mu się spodoba! — odmruknął niechętnie Kacper.

Zaręba bowiem siedział zdala, pogrążony w jakowychś dumaniach.

A wkoło stawał się cud święty jasności, cud dnia, cud wschodzącego słońca! Już tu i owdzie zapłonęły czerwone pnie, mroczne głębie zamigotały od strzał świetlistych i zaiskrzyły się oroszone mchy. Bór stanął w niemem zachwyceniu, ptaki wybuchnęły wrzaskliwem śpiewaniem, a wszelaki stwór podnosił radosny głos dziękczynień. Opadły mgły, wiatr ustał i przez gałęzie widniało lśniące, błękitne niebo, jak oczy miłościwie patrzące.

Dzień się już wyniósł na cały świat, gdy Kacper zameldował:

— Zwołam dziesiętników i zaraz będzie mógł pan porucznik odjechać — a dojrzawszy potakujące skinienie, jął wyczytywać donośnym głosem;

— Pierwszy szwadron brygady Dzierżka, wachmistrz Mateusz Ryś. Wystąp!

Wystąpił sążnisty chłop z twarzą pochlastaną na zrazy, wbił świdrujące oczy w porucznika i sprężony jak struna, czekał z dłonią przy czole.

— Drugi batalion regimentu Lubomirskiego, kapral Tomasz Kwak. Wystąp.

Wystąpił przygarbiony frant, rudy, jak wiewiórka i srodze piegowaty.

— Brygada Jerlicza, pierwszy szwadron, pocztowy Antoni Pyza. Wystąp!

Wystąpił ogromny młodziak z gębą niby księżyc w pełni, przybrany w księży biret, granatową kurtę, łataną płótnem i żydowskie patynki na nogach.

— Regiment przedniej straży Karwickiego, trzeci batalion, druga kompania, szeregowy Jan Finczek. Wystąp!

Wystąpił szpakowaty człowiek z przeciętym nosem i krótką, drapieżną twarzą.

— Brygada kawaleryi Narodowej Szwejkowskiego, towarzysz Borejsza!

Wystąpił smukły chłopak, różowy i śliczny, niby panna; włosy miał jasne, oczy lodowate, wilcze szczęki, a przyśmiech zatruty beznadziejnym smutkiem.

— Pierwsza kompania kamienieckiej artyleryi Gębarzewskiego, bombardyer Furdzik. Wystąp!

— Pułk przybocznych kozaków Poniatowskiego, pocztowy Semen Wystąp!

— Trzecia kompania artyleryi Łuczyńskiego, fajerwerker Kiryluk. Wystąp!

— Drugi szwadron brygady Jerlicza, pocztowy Deptuch. Wystąp!

— Pierwszy szwadron brygady Mokronowskiego, pocztowy Pośladek. Wystąp!

Stanęli wszyscy dziesięciu zwartym szeregiem przed porucznikiem, który jął pytać o różne okoliczności służby, życia i ucieczki, próbując pociągać za języki, gdyż wielu z nich mieniło się być z wojsk jeszcze niedezarmowanych ni zagarniętych przez nie-

przyjaciela, lecz wszyscy wyznawali się dezerterami z wrogich szeregów, prawiąc na ten tenor duby smalone. Jeśli łgali, to tak wprawnie, że nie miał sposobu domacania się prawdy. A zresztą i po co? Żołnierz był w rzemiośle wojennem zaprawny, na wszystko zdeterminowany i dla sprawy potrzebny. Dał więc spokój dociekaniom i raptownie zwrócił się do Kwaka z pułku Lubomirskiego:

— Toś z takich zuchów, którzy uciekali pod Zieleńcami?

Żołnierz zadygotał pod jego wzrokiem, ale odparł krotochwilnie:

— Nasz komendant kłaniał się w pas każdej kuli, to i gemeinom zmierziło się stać pod ogniem.

— A waść skąd się tu wziąłeś? — spytał Borejszy.

— Z pod przemocy, aby wziąć zemstę i zginąć — odparł górnie a ponuro.

— Słyszałeś, co mówił Bernardyn? Trzeba się bić, jeszcze raz bić i pobić! To hasło generała Kościuszki. Nie pomsty waść szukaj ni śmierci pragnij, lecz zwycięstwa.

— A ty — zwrócił się do Semena — czemuś opuścił Matuszkę?

— Bom jest powinien matce rodzonej, Rzeczypospolitej.

— Prawyś syn, bracie, ale reszta twoich zdradne pasierby.

Kozakowi poczerwieniała blizna na policzku i wyszeptał lękliwie:

— Niech pany oddadzą wolność, a naród kozacki opowie się przy Polszcze.

Smutnie uśmiechnął się Zaręba i stanął przed Furdzikiem, dawnym znajomym.

— Dawnoś wyszedł z Kamieńca?

— Temu trzy miesiące. Musiałem czekać sposobnej pory. Taka forteca zatracona, mój Boże, tyle harmat i wszystkiego. Nasz komendant już od jesieni opatrywał mury i reduty, z własnego worka ekspensował na proch, kanonierów egzercyrował całymi dniami, harmaty chciał przelewać. Że i rok moglim się bronić choćby przeciwko wszystkim dyabłom!...

— To czemuście ją wydali? — rzucił nieopatrznie pod wpływem nagłego żalu.

— Wydały ją oficyery i panowie! — ryknął bez namysłu. — Mogliśmy to nie pozwolić? Toświa jak psy warowali o chłodzie i głodzie! A wielu to pomarło pod kijami, że nie chciało przysięgać, a wielu to pognali w Sybir, a wielu to gnije po kazamatach! A zdrajce patrzyły na taką marnacyę żołnierzów suchem okiem! Wedle rozkazu! — urwał nagle, dojrzawszy mękę w jego oczach.

Zaręba nikogo już więcej nie zagadywał, tylko przemówił twardym głosem:

— Każdy z was powiedzie dziesięciu gemeinów A to wasz dowódca — wskazał na Kacpra — on wam wyznaczy trakty i postoje; każda partya musi się przemknąć innym szlakiem. Który swoją komendę w całości doprowadzi do Białegostoku, zaawansuje. Tam wszyst-

kich wyekwipują i zapłacą zaległe lenungi. Ruszajcie o pierwszym zmierzchu. Odstąp!

Żołnierze się rozpierzchli, ale przystąpił Łaski z jakimś cierpkim uśmiechem.

— Może i ja byłbym zdatny do jakowejś funkcyi?

— Waść zaopiekuje się kobietami: drogi niepewne, pełne maroderów.

— Anim imaginował kiedy o awansie na wojskiego! — poczerwieniał z alternacyi.

— Jużem pod siedzenie wstawił pełniuśką półgarncówkę — dobruchał go ksiądz.

— Dobrodzieju mój i zbawco! — rozczulił się nagle — prawda, przystojniej dla mojej szarży jechać, niźli z chamstwem tłuc się po wertepach. Szkoda tylko, że te moje kokoszki już wypierzone! — Podkręcił zabójczo wąsy i tak strzelił oczyma, aż parsknęli śmiechem, a on jął prawić konfidencyonalnie:

— Parol kawalerski, ale właśnie za przyczyną amorów musiałem powędrować z ultajstwem. Jak człowiek ma szanse u podwik, to już dyabeł nie opuści go do śmierci. Nawet w drodze zdarzyła mi się okoliczność poprostu nie do wiary...

— Jabym uwierzył, ale czas nam w drogę — przerwał Bernardyn, ruszając w las. Zaręba podał mu rękę, poszeptał z Kacprem i uściskawszy go cale po bratersku, poszedł śpiesznie za księdzem.

— Łże szelma jak najęty i pewny, że mu zawierzą.

— Ma już takie reguły, mam go jednak za coś gorszego i kazałem mieć na oku.

Wyszli długim wąwozem na drogę, gdzie już czekała bryka kwestarska.

Pachołek rzęsiście kropił mizerne chabety, ale jechali wolno, gdyż głęboki, sypki piach aż się przelewał przez szprychy, a przed końmi, w tumanach kurzawy, wlekło się kilka baranów z prowodyrem na czele, zaś kundel, wesoło naszczekując, obganiał je ze wszystkich stron.

— Dobrodzieje nie nazbyt się wyekspensowali — zaczął porucznik, wskazując stadko.

— Wstępowałem tylko po drodze i więcej dla zamydlenia oczów, nie w głowie mi była kwesta. Ale werbunek udały, hę? Sam cymes, każdy wart dziesięciu kantonistów. Żeby z takich żbików uciułać jakąś grzeczniejszą watahę, dopieroby to można zalewać wrogowi gorącego sadła za skórę. Takie zbóje gotowe z gołemi pięściami na harmaty. A waszmości dałbym komendę.

— A jabym wziął — zaśmiał się szeroko. — Utytłałbym obwiesów po szyję we krwi, a pasłbym żywem, wrażem mięsem. Ale gdzie mnie chudopachołkowi marzyć o jakiejś wyższej szarży! — westchnął ze szczerą modestyą.

— Małe stopnie się dostaje — największe bierze się samemu.

— Jać to wiem, Cezar pierwszym przykładem, a Cromwell, a drudzy...

— Sami się wypromowali na pierwszych w swoim narodzie. Dziwi mnie, że u nas jeszcze się taki nie znalazł, nawet dla zbawienia ojczyzny!

— Bo szlachta-by zaprotestowała i trybunały wyjęłyby go z pod prawa.

— Trafnie ktoś wyrzekł, jako w Polszcze dlatego szanują Pana Boga, że to Pan nieobieralny i nie można go przekreskować! Na pluchę idzie: rwie mnie po łystach.

— Myślałem, że gościec omija kwestarskie gnaty.

— To nie gościec. Kiedyś obżarły mi kajdany mięso do kości, że teraz lepiej kalendarza przepowiadam każdą odmianę powietrza.

— Kajdany? Cóż to za krotochwila.

— Bowiem w młodości przytrafił mi się takowy casus, że mnie złowili werbowniki i zaprzedali kaselskiemu landgrafowi, ten mnie odprzedał Angielczykom, ci zaś powlekli aż do Ameryki, bym się za nich bił z Francuzami. Więc rada nie rada, zjadła baba prosię. Dłuższa to historya, niźli mój pacierz — zaśmiał się i przesuwając w palcach ziarnka różańca, zaszeptał poranne pacierze.

Nie ważył się mu przerywać Zaręba, lecz poglądał z niedowierzaniem.

— Wiadomo światu, że niemieckie książątka handlują mięsem człowieczem, jak nasi wielmoże ojczyzną — wyrzekł po chwili Bernardyn i na jego chudej twarzy zagrały błyskawice gniewów i nienawiści. — I mną handlowali, niby jucznem bydlęciem. Łacińskie przysłowie powiada: Contra vim non valet ius, ale to cuchnie rezygnacyą. Na siłę bowiem potrzeba nie prawa — jeno siły! Każdy ma prawo, kto ma pięść mocniejszą. Tak się dzieje na świecie między oświeco-

nemi nacyami. Tylem doświadczył przemocy i podłości, że w prawo ni w sumienia królów nie wierzę. Boże, bądź miłościw duszy mojej, ale Ty panujesz na niebie, zaś na ziemi dyabeł profity zbiera! — uderzył się w piersi.

— U nas lepiej, niźli indziej, bo jeszcze ludzi na wywóz nie przedają.

— Bo są potrzebni szlachcie do roboty. Ale żołnierzem już kupczą. Słyszałeś waszmość, że Zabiełło i Złotnicki przedawali Kreczetnikowowi gemeinów na sztuki?

— Mam te wieści za zmyślenia niegodne wiary.

— Nie byłem jużci przy tej facyendzie, nie przysięgnę, ale cóż to jest świętego dla wielmożów? Małoż przykładów, jako przedają żony, córki własne i ojczyznę, wszystko, za co tylko mogą capnąć dukaty? Polska nierządem stoi, Polska ginie, Polskę krucy rozdrapują! A jakoż ma być, kiedy chłop w niewoli, szlachcic głupi, a wielmoża nikczemny? Strach, co się wyprawia w tej Rzeczypospolitej.

— Wyrzekaniem złego nie naprawi ni choroby nie zleczy.

— Że tylko Bóg miłosierny zdolen nas wyratować — westchnął frasobliwie.

— I on trzyma z mocniejszymi.

— Nie bluźnij waszmość! Franek! — huknął na pachołka — śpisz, ultaju, czy co? A skropno kobyłę po portkach, bo się leni.

Zabrał się żarliwie do brewiarza.

— Nie pora już na wyrzekania! — wyrzekł Za-

ręba, lecz dojrzawszy, jako kwestarz siedzi z nosem w brewiarzu, zaziewał przeciągle i oddał się drzemce.

Bór się niebawem skończył, wyjechali na płowe ugory, porosłe zrzadka jałowcem i pełne wydm piaszczystych; droga staczała się łagodnie do zielonej doliny, gdzie modrzały wody Niemnowe; za niemi podnosił się kraj pagórkowaty, poprzecinany głębokimi jarami, którymi ciekły lśniące przędziwa potoków.

Słońce już szło wysoko nad światem i niezgorzej przypiekało, że szkapiny ciągnęły coraz wolniej, nawet barany ustawały z gorąca i prowodyr raz po raz odwracał rogaty łeb i pobekiwał żałośnie, ale ojciec Serafin przynaglał nieustannie i co trochę wołał:

— Franek, popędzaj, odpoczniemy za rzeką.

— Ojciec wie, że wszystkie przewozy na Niemnie są obsadzone przez kozaków?

— Wiem, właśnie dla zmylenia musimy wrócić do Grodna traktem Kowieńskim. Waszmość wozisz żydy, aż miło! — zauważył, podsuwając mu tabakierkę. — Kładź się i śpij, ja będę czuwał.

Nie pozwolił się prosić i w parę minut już chrapał, aż się rozlegało.

Obudził się dopiero w Grodnie; właśnie zegarek wydzwaniał czwartą z południa.

— Jak ojciec przewiózł mnie przez kordon rogatkowy?

— Meldowałem pijanego i oficyer uszanował taką okoliczność.

— Z księdzem idzie wszystko jak po maśle. Bóg zapłać.

Uściskał go serdecznie.

— Jak zając bębna, tak rad tego słucham! — rzekł kwestarz wielce usatysfakcyonowany. — Z bratem kijem sylabizowałem w życiu niejedno, to eksperyencya jest. Pójdę ździebłko przyłożyć ucha i od jutra jestem znowu na rozkazy pana porucznika.

— Roboty nam nie zbraknie. A, Staszek! Jakież przynosisz awizy?

Stâszek podał jakieś bilety wizytowe i radośnie przypadł mu do ręki.

— Wszystko w porządku, panie poruczniku.

Stanął w powinnej pozycyi.

— »Książę Cycyanow, pułkownik grenadyerów«. »Von Blum, kapitan« — czytał Zaręba, nie mogąc skryć zdumienia i pewnej obawy. — Cóżeś im powiedział?

— Że pan kapitan poszedł na obiad właśnie. Byli w samo południe.

— Mili goście. Cycyanow oddał wizytę, ale czego szuka Blum? Muszę się zaraz pokazać między ludźmi. Może się ojciec dowie, kogo wczoraj wywieźli z Grodna?

— Wywożą pod zmyślonemi nazwiskami, a dla zatarcia tropów, na każdej pocztowej stacyi zmieniają nazwiska wywożonych, że i dyabeł za nimi nie trafi. Spróbuję jednak. Mówiła chuda, jako się uda!

Zaśmiał się i wyszedł.

— Czeka tu jakiś markietan Powiada się być znajomym pana porucznika.

— Tak powiada? Nim go zawołasz, daj mi co jeść.

— Przewidziane — zaczął wyliczać na palcach: —

— Wierzą wszystkim podszeptom, byle tylko nie słuchać głosu sumienia i obowiązków!

— Ale, wyznał mi się Jeziorkowski, sekretarz sejmowy, jako Załuski-Sendomirski ma już sobie konferowane podskarbstwo koronne nadworne.

— Ona wysłużyła je u Igelströma, wszak to jego gamratka.

— A Miączyński-Lubelski dostał pisarstwo polne koronne.

— Szubieniczna para: rajfur i łotrzyk z gościńca.

— Ambasadorowi potrzeba na sejmie więcej dygnitarskich głosów i każe swoich zauszników nominować. Król się przecie nie oprze.

— Już mnie nie zdumieje, nawet gdyby hetmanem wielkim koronnym został sam arcyłotr i rakarz Lubowidzki.

— A propos, Branicki zrezygnował z buławy. Poszeptują, że hetman »z woli powszechności«, Kossakowski, zabiega o nią w Petersburgu dla siebie. Król zaś z Sieversem forytują Ożarowskiego, ale są jeszcze, którzyby chcieli widzieć hetmanem koronnym Pułaskiego-Wołyńskiego.

— Chyba, za cnoty i zasługi jego brata, ś. p. Kazimierza.

— Właśnie Trębicki przyniósł mi takowe zamysły względem niego. Rozumiem je tylko jako kabałę dla poróżnienia generalności. Pułaski bowiem już narzeka na targowickich socyuszów, na ich nienasyconą chciwość i przedajność.

— Aktualnie innego zgoła nam potrzeba wodza.

— Jać wiem nawet kogo, lecz, nim co nastąpi, Pułaski przydałby się naszym zamysłom: to człowiek o gorącym sentymencie dla ojczyzny.

— Czyżby z tego sentymentu marszałkował Targowicy?

— Powstał też projekt — ciągnął, nie zważając na przycinek — żeby na sejmie zalecić go do wielkiej buławy królowi i Stanom. Mikorski już się zdeterminował przemawiać za nim. Jakże się to widzi waszmości?

— Żadnej dywersyi nie zgłoszę, bom w takich materyach ciemny, jak tabaka w rogu — wykręcił się z niemiłej rozmowy i wstał, sięgając po kapelusz.

— To pójdźmyż teraz, dobrodziejaszku złocisty, na podkurek, czekają tam na nas. Poznasz paru żarliwych zelantów i kapitana Żukowskiego.

— Z reguły nie przestaję z patryotami, aby nie ściągać na siebie uwagi szpiegunów. W Grodnie każdy cnotliwy jest podejrzany i pod baczną obserwacyą. Powinienem więc dla przezpieczności brać pozór jarmarcznego gapia lub hulaki — tłumaczył poważnie, ale musiał obiecać przyjść na jutrzejszy obiad, za co uściskał go serdecznie podkomorzy i rzekł przy pożegnaniu:

— Traktuj waść mój dom w każdej potrzebie, jak swój.

Zaręba konie odesłał i prawie bezwiednie znalazł się przed mieszkaniem szambelanowej i to w chwili, gdy zajeżdżał Blum, a żołnierz wynosił za nim z powozu ogromny kosz róż.

Przywitali się cale przyjaźnie i oficyer protekcyjnym gestem zapraszał do wejścia.

— Niestety, nie mam czasu, chciałem tylko zasięgnąć języka o kasztelanie.

— Przyjeżdża jutro. Tak mówiła przy obiedzie panna Terenia. Idziemy dzisiaj na teatr, nie wybierze się pan z nami?

— Licznaż będzie kompania?

— Sami domowi: pani szambelanowa, panna Terenia, ja, no i szambelan.

— A książę? — nie mógł powstrzymać tego pytania.

— Zjawi się na koniec spektaklu, gdyż teraz ma na głowie młodszego Zubowa, który przyjechał z Petersburga, więc tylko ograbił z róż ambasadora i polecił je złożyć pani szambelanowej. On już w stanie szczęśliwości, odzyskał bowiem utracone łaski — szeptał z głupowatym uśmiechem.

— Bardzo się cieszę — wykrztusił, zmuszając się potem do paru słów usprawiedliwienia, że go nie zastali w domu.

— Książę tego żałował, bo jechał do pana z podziękowaniem.

Zaręba pokazał twarz szczerze zdziwioną.

— Zwierzył mi się, jako za pańską przyczyną uzyskał przebaczenie.

— Za moją przyczyną? Ach, tak, tak! — zaśmiał się dziwnie i rozstawszy się z nim, poszedł wolno, bardzo wolno, jakby uginając się pod niezmiernym ciężarem.

— Za moją przyczyną! — powtórzył z niedającem się wyrazić uczuciem. — Zemściła się! jak ordynaryjna dziewka! — wybuchnął na mgnienie, lecz przybrawszy maskę obojętności, przystanął pod kafenhauzem, gdzie, jak co dnia o tej porze, gromadziła się modna młodzież, lustrująca promenujące się damy. Był tam i Marcin Zakrzewski, ale jakiś skwaszony, mrukliwy, a w takiej kłótliwej dyspozycyi, jakby szukał okazyi do zrobienia burdy.

— Cierpkiś, jakby ci podkomorzyna dała abszyt— szepnął Zaręba.

— Nieco chybiłeś, ale ktoś mi u niej szyje buty.— Spojrzał na niego podejrzliwie.

— Suspicye zgoła fałszywe, szukaj innego tropu.

— Bym wiedział, kto mnie tam dysgraduje! — zawarczał, szarpiąc wąsiki.

— Pilnowałbyś, aby cię nie odsadzono od Tereni.

— Afrontujesz mnie, czy ostrzegasz? — przysunął się groźnie.

— Pragnę tylko, byś zobaczył, kto ci szyje buty i gdzie...

Zakrzewski pobladł, jego łagodna twarz stężała na kamień.

— Rozumiem cię przyjacielem, więc mnie nie szczędź.

— Przekonaj się sam! Panie będą dzisiaj w teatrze, naturalnie w asyście... Pamiętaj tylko, że oficyerom Sieversowym nie wolno się pojedynkować.

— Ale mnie wolno każdemu z nich pomacać boki choćby kijem.

— I przejechać się za to do Kalugi. Licha satysfakcya i nie prowadząca do celu.

— Nie wyprawiaj awantur, trzeba poszukać skuteczniejszych sposobów.

— Czekaj tatka latka, aż kobyłkę wilcy zjedzą — mruknął wzgardliwie i poleciał.

Zaręba również miał już odejść, gdy naraz z kafenhauzu wytoczył się jakiś pijany olbrzym i runął na niego całym ciężarem, bełkocząc rozkazująco:

— Prowadź mnie asan — i czknął mu w samą twarz.

— Nie jestem twoim pachołkiem. — Odepchnął go z obrzydzeniem, aż tamten potoczył się na ścianę i czepiwszy się jej kurczowo, zaczął wrzeszczeć płaczliwie:

— Pomóżcież, psie syny! Nuże, chłystki! Zawołać mi powóz!

Nikt się jakoś nie kwapił z pomocą, natomiast posypały się drwiny.

— Położy się pod kafenhauzem i sprzątną go marszałkowscy.

— Obmierzłe bydlę! Zaraz on tu przyozdobi ścianę.

— Oddać go patrolowi. Prześpi się w kordegardzie i sam już trafi do Massalskiego.

— Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy — rzekł jakiś przechodzień.

— Sic transit gloria mundi! — dodał drugi, spluwając w stronę opoja.

— Panowie — wtrącił jakiś kontuszowy, poważny jegomość — jak wam nie wstyd natrząsać się z pijanego i dawać go na śmiech pospólstwu. Osłońcie go przynajmniej, a ja polecę po jaki powóz.

Radzi nie radzi zasłonili go sobą przed oczyma gawiedzi, powstrzymując od upadku.

— Cóż to za jeden? — pytał Zaręba, wskazując pijanego.

— Poniński, bywszy podskarbi, aktualnie ostatni pijaczyna.

Jakoż był to osławiony książę Adam Poniński, swojego czasu najpierwsza i najpodlejsza persona w Rzeczypospolitej, którego sąd sejmowy odsądził jako nieprzyjaciela ojczyzny od czci, szlachectwa, tytułów, nazwiska i urzędów i skazał na wieczną banicyę. Miał nawet być oprowadzony po mieście przy odgłosie trąb i obwołany zdrajcą.

— Z najgorszych, ale nie jedyny! — myślał Zaręba, patrząc z pewnem politowaniem na jego twarz plugawą, jakby ociekającą błotem i nikczemnością.

— Targowica przywróciła mu prawa, lecz stronią od niego, niby od zarazy.

— Któż możen zdjąć z niego hańbę! — rozmawiali obok Zaręby.

— Wypierają się go nawet dawni socyusze. Jeden biskup Massalski daje mu przytułek i czasem rzuci parę dukatów. Imaginuję, jak go żre sumienie.

— Sumienie i Poniński! Ha! ha! nie znasz go, widzę, nawet z reputacyi.

— Za to wie coś o nim motłoch. Patrzcie, ile się tu zbiera tałałajstwa.

— Bowiem nie przebiera w kompanii, pije, z kim się zdarzy okazya.

Zajechał wreszcie powóz, wsadzono go z trudem i gdy konie ruszyły, chmara pospólstwa popędziła za nim, podnosząc przeraźliwe świsty i wrzaski.

— Rakarz! Złodziej! Zdrajca! — sypały się krzyki wraz z kamieniami i błotem.

Paru grenadyerskich oficerów, stojących na uboczu, zaklaskało rzęsiście, śmiejąc się przytem do rozpuku.

— By to widzieli aktualni ministrowie! — rzucił któryś z młodzieży.

Zaręba odwrócił się śpiesznie od tej sceny i poszedł do domu.

Było już po zachodzie, niebo pokrywało się jakby łuską z rozżarzonej purpury, zaś od ziemi wstawał modrawy zmierzch, przesycony pyłem i głosami zamierającego dnia. Po placach i rogach ulic zmieniano warty przy głuchym warkocie bębnów i wrzaskach dzieci. Na ulice wyległy tłumy mieszkańców, obsiadając wszystkie schody i progi. Uprzątano już kramy i zawierano kafenhauzy i karczmy, bo pachołkowie grodowi, trzaskając halabardami, wołali przeciągle:

— Zawierać! Gasić ognie! Zawierać!

Zaręba chciał się rozmówić z kwestarzem wzglę-

dem transportu karabinów, lecz nie odszukawszy go w klasztorze, wstąpił do celi przeora i stanął osłupiały.

Cela była zalana światłem zórz, a pod oknem, na brzoskwiniowem dnie zachodu, klęczał przeor, jakby w migotliwej chmurze roztrzepotanych skrzydeł ptactwa, które mu obsiadało głowę, ramiona i nawet ręce złożone do modlitwy. A w tej świętej i słodkiej cichości zmierzchów rozkwitały tylko ptasie świegoty i słowa litanii.

— »Ucieczko grzesznych!« — podnosił się w bezmiary uskrzydlony szept miłości. — »Módl się za nami!« — zdał się odpowiadać rytmiczny wybuch ptasich szczebiotów i milknął nagle, że jeno migotały skrzydła przelatujących z miejsca na miejsce.

— »Pocieszycielko strapionych!«

I znowu żarliwy świegot i milczenie jakby kwiatów, dyszących aromatami w upalne, ciche zmierzchy letnie.

— »Wspomożenie wiernych!« — ciągnął przeor, nie dosłyszawszy otwierania drzwi.

Zaręba cofnął się na palcach i długo stał pod oknem w ogrodzie, sycąc duszę zbożnem rozmarzeniem, aż wspominki domu, matki, dzieciństwa zagrały mu żywemi farbami w pamięci. Tamte lata, tamte marzenia, tamte nadzieje! Ponosił, go do nich pachnący wicher i doniósł nieubłaganą koleją do pierwszej i jedynej miłości, do Izy. Wzdrygnął się, żelazna ręka bólu szarpnęła mu sercem.

— Czemuś ty taka? — zajęczał, bo oto cudny

kwiat marzenia osypał mu się w dłoni, konał i leciał w ohydne, grzązkie błota i błotem się stawał.

Ale po jakimś czasie powlókł się znowu do miasta, w kierunku Sapieżyńskiego pałacu, w którym dzisiaj grano teatr francuski.

## VI.

Kasztelan czule przycisnął go do piersi.

— Bardzo rad cię widzę. Jakże się miewasz?

— Jak groch przy drodze — odparł wesoło Zaręba, całując go w rękę.

— Straciłeś na cyrkumferencyi, zeszkapiałeś.

— Abszytowany żołnierz lenieje z pierza, niby kwocha po kwoczętach.

— Słuszna konkluzya. Terenia mi trajkotała, jako pragniesz perfekcyonować swoje wojskowe talenta — uśmiechnął się pobłażliwie.

— Już podałem suplikę i żywię niepłonną nadzieję dobrej rezolucyi.

— Na takim fundamencie nie zakładaj fortuny, boć redukcya być będzie i z wojsk zostaną zaledwie strzępy.

— Jak z całej Rzeczypospolitej — wtrącił cichutko.

— Jeszcze wystarczy pod stopy Najjaśniejszemu. Żali to nie on sam wyrzekł, jako dotąd korony nie złoży, dopóki mu ziemi starczy pod nogami?

— Byle mu jej nie zbrakło pod trumnę.

— Rzekłeś — zastanowił się głęboko. Któż jutro przewidzi? Takowe terminy przychodzą na nas, że gdybym nie wierzył we wspaniałomyślne gwarancye Imperatorowej...

Zaręba wpił się oczyma w jego twarz i szepnął:

— A jeśli nas zawiodą?

Kasztelan zażył tabaki, pokrywając nagle zaniepokojenie.

— Ta wiara to nasz ratunek. Niema innego wyjścia z tej matni, niema innego ocalenia. Chyba, gdyby się konjunktury szczęśliwie ułożyły.

— Nim słońce wzejdzie, oczy rosa wyje.

— To radź-że, mój ty statysto — żachnął się przykro dotknięty.

— Moja rzecz bić się, a w potrzebie dać głowę za ojczyznę.

— Wybrałeś najłatwiejszą cząstkę — mruknął, patrząc przez okno na szambelana, który spowinięty w szale, wygrzewał się pod drzewami.

Westchnął frasobliwie i, zażywając raz po raz tabakę, jął spacerować po komnacie. Mąż to był lat dojrzałych, lecz jeszcze krzepki w sobie i wspaniałej postawy; twarz miał piękną, wygoloną, nos rzymski, wielkie piwne oczy, uśmiech wabny, głos rozkazujący i senatorską dostojność w ruchach; nosił się po francusku i siwe, trefione włosy odgarniał na tył głowy, jak Ignacy Potocki, do którego był niezmiernie podobny. Człowiek to był chytry, wyziębły z pasyi, wytrwały, ostrożny i zawsze dopinający swego. Zaciekły aktualnie króla anta-

gonista, lecz niegdyś jego najzaufańszy konfident, bowiem w młodości razem wojażowali, dobijając się w Petersburgu znaczenia i fortuny.

Ożenił się był po raz drugi z damą ze znacznej familii, ale o której szeptano, jako o bywszej faworytce królewskiej i wziął za nią prócz koligacyi, wielkich majątków i jakąś drążkową kasztelanię na odczepne. Wyznawał się być wolteryaninem i człowiekiem bez przesądów, ale dla cale poziomych względów, głosił się zawziętym przeciwnikiem konstytucyi 3-go maja, stał się filarem Targowicy, był żarliwym obrońcą przywilejów szlacheckich i srogim ciemiężcą swoich poddanych. A przytem nie zaniedbywał pomnażać fortuny i piąć się coraz wyżej.

— Jakże ci się podoba szambelan? — spytał naraz, przysiadając.

— Ledwiem go widział, ale wydaje mi się jakby już nieco ochwacony.

— Sflaczałe bałwanisko — wybuchnął gwałtownie — toć on już ledwie włóczy kopytami za sobą. Pan Bóg mnie skarał takim zięciem.

— Pono wiele po świecie wojażował — uśmiechał się zjadliwie.

— I z tych wojażów przywiózł w kościach takie suweniry, że go z nich już żaden doktór nie wyprowadzi. Obmierzły dziad.

— Powiadają, jako ma dostać od Imperatorowej tytuł hrabiowski?

— Sam o to zabiegałem i gorzko teraz żałuję. Nawet nie imaginujesz, jaki to sknera, liczykrupa i ty-

ran domowy. Zamęcza Izę scenami zazdrości, groził jej nawet skandalem, juści bez najmniejszej przyczyny, przez złość tylko. Iza stanowczo żąda rozwodu.

— Zmiana paszy raduje bydło — szepnął, ledwie kryjąc przedziwną radość.

— Dałbyś pokój kpinom. Prawdziwy to dramat dla Izy.

— Nikt jej przecież nie zmuszał wyjść za niego...— Spojrzał mu w oczy.

— Naturalnie, juścić — wił się skłopotany — widoki zdały się najpomyślniejsze, zrobił zapis, obiecywał złote góry, a teraz odmawia jej na pierwsze potrzeby. I jeszcze te sceny zazdrości, wprost niepojęte... śmiesznie...

— A Izie uśmiecha się zupełna wolność. Taka młoda i piękna!

— Widziałeś-że kobietę, rozwodzącą się dla nowego kochanka? One tak sobie ważą wolność, jak pies gramatykę. Trafia się jej świetna partya w całem tego słowa znaczeniu.

Zaręba pobladł, lecz skrywając wzruszenie, rzucił na chybił trafił:

— Czyżby książę już się zdeklarował?

— Wielki to jeszcze sekret, zatrzymaj go przy sobie — uśmiechnął się porozumiewawczo — aktualnie czekam na konsystorskich jurystów Sprawa będzie drażliwa i przychodzi mi cale nie w porę. Przytem nie lubię pieni, a szambelan do kompromisu nie pójdzie, zechce sprofitować z okoliczności.

— Wuj ma już ten zamysł uformowany? A zna wuj dobrze ksiecia?

— Tylko z opinii Sieversa i listów Izy; juści wiem, że jest pułkownikiem grenadyerów, przyjacielem Zubowa i faworytem petersburskiej socyety. Substancyę ma pono znaczną, kilkadziesiąt tysięcy dusz, no i tytuł.

— Ta jego krymska książęca mość cuchnie baraniemi skórami, czabańskiem.

— Taki już świat, że dosyć ma pozorów dla estymacyi. Zasięgałem o nim tu i owdzie języka: renomowany to kawaler i cieszy się uwielbieniem powszechności.

— Bo nikomu nie szczędzi komplimentów i złoto rozrzuca garściami.

— Masz do niego jakowąś awersyę?

— Mówię sine titulo, bom nawet z nim w pewnej komitywie, jeno, że to człowiek obcy, choćby i najgodniejszy, obcy wiarą i obyczajem.

— Ludzie oświeceni wszędzie są jednej wiary — w rozum i naturę. Zostawmy takie przesądy pospólstwu — począł się niecierpliwić.

— Ależ on służy przeciwko nam!

Ledwie się już wstrzymywał.

— Tum cię właśnie czekał. Otóż to jedna z największych racyi, aby wydać za niego Izę. Sievers mi szepnął, że on zostanie gubernatorem wszystkich oderwanych województw. Zważ tylko rozumem, jakie z tego dla nas mogą być następstwa, jakie splendory i jakie korzyści. Zawierzę ci na ucho, jako w Petersburgu wzmaga się z dnia na dzień partya Następcy, z którym Cycyanow jest w tajnej i zażyłej komitywie. Imperatorowa jest w latach i przy jej burzliwych pasyach

trzeba być przygotowanym na wszelaką okoliczność. Rozumieją to już drudzy. Ks. M. Czetwertyński, który pojechał do Petersburga w homagialnej deputacyi imieniem oderwanych województw, już zabiega koło Pawła i robi pakty z Naryszkinami o swoją śliczną córkę. Wiele naszych domów zamyśla podobnie. A pocóż kazał się wybrać do tejże delegacyi ks. Sanguszko? i ks. A. Lubomirski i M. Sobański i Rzewuski kasztelan witebski, i Grocholski i Wyleżyński? Składać hołd powinny Imperatorowej, ale i zabiegać o swoje partikularne sprawy.

— Pojechali łowić panem bene merentium.

— Stawiam głowę, jako z pustemi rękami nie wrócą. I słuszna to rzecz, aby, co odebrano Rzeczypospolitej, wróciło chociaż w cząstce do rąk obywatelów.

— Obyczaj szakalów karmić się trupami — szepnął zdławionym głosem.

— A jeśli mi się z Izą nie uda — ciągnął, nie zważając na jego słowa — to mojego Stasia umieszczę w pułku Następcy: niechaj się chłopiec szlifuje i dorabia fortuny i znaczenia.

— Gdzież on aktualnie przebywa?

— W Sieniawie u księcia generała ziem podolskich.

Zdumiał się Zaręba, gdyż kasztelan był antagonistą »Familii«.

— Pogodziłem się z konieczności — mrugnął przebiegle. — Książę generał jedyny to w Polsce wielki pan i chociaż rozdyma go pycha, że nawet o królu pruskim wyrzekł, jako ma lepszych od niego szlachciców do podawania lulki, człowiek to wielce oświecony, wspa-

nawet gemeinów ściąga i kompletuje swoje szeregi i to teraz, kiedy ogólna redukcya wojsk prawie jakby już postanowiona na sejmie.

— Jakże to sobie wuj imaginuje? — spytał z bijącem sercem.

— I Haumana skaptował do siebie na pułkownika.

— Rozumie się bowiem na wojskowem rzemiośle, a ludzi rycerskich kocha, zaś Hauman w bywszej wojnie stawał mężnie na podziw.

— Przysiągłbym jednak, że coś się gotuje; w województwach, objętych kordonem, latają pisma burzące, wierszyki zjadliwe na generalność, szlachta zwłaszcza drobniejsza burzy się i odgraża. Ktoś musi podżegać owe nieszczęsne sentymenta, lecz kto?

— Niechybnie tylko poczciwa troska o przyszłość ojczyzny.

— Powiadają, jako abszytowani oficyerowie zamyślają o konfederacyi, ale tybyś coś wiedział? — Bystro spojrzał mu w oczy.

— Nic a nic nie wiem. Wszak za podanie supliki o powrót do szarży moi dawni towarzysze teraz bij zabij na mnie, nie poznają mnie na ulicy i mają za przeniewiercę — zapewniał gorąco.

— Wżdy postponują każdego, kto innych opinii. I mnie głoszą zdrajcą i jurgieltnikiem, że wedle swego rozumienia pracuję dla ojczyzny.

Byłby się dłużej wyżalał nad ludzką niewdzięcznością, ale wszedł Klotze, jego wiernik, a za nim wpełzło bez szelestu dwóch jurystów z twarzami psów zgłodnia-

łych; mieli lisie uśmiechy, przygięte grzbiety w czarnych kontuszach, łby podgolone, długie drapieżne ręce i pliki papierów pod pachami. Kasztelan przywitał się z nimi kordyalnie i usadziwszy za długim stołem, wziął na stronie coś szeptać z Klotzem, który co chwila wybuchał rubasznym śmiechem, obcierał spoconą twarz i tłuste, jakby napuchłe ręce. Był to człowieczek o pokaźnej cyrkumferencyi, rumiany niby bułka świeżo upieczona, siwy, cały w dygach i podskokach. Kasztelan przepadał za nim, gdyż był niezmiernie czynny, wesoły, sypał anegdotami, zawsze pełen nowinek, znał wszystkich, wiedział o wszystkiem, był sposobny do wszystkiego, a jedyny do sekretu. Wywodził się ze starej rodziny niemieckiej, ale miał się za Polaka i wielce się pysznił indygenatem, jaki dostał z przyczyny dukatów i kasztelana, którego był prawą ręką i najzaufańszym konfidentem.

Zaręba wyszedł niepostrzeżenie, gdyż tak był zgnębiony, że ledwie się trzymał na nogach. Na szczęście w salonie było pusto, mógł więc dać folgę wzburzeniu, powstrzymywanemu tylko niezmiernym wysiłkiem. Jakże ten wuj czczony przez całą rodzinę, jej splendor i duma, ten senator nieugięty w cnocie i sentymentach dla ojczyzny — wyjawił się w prawdziwym kształcie duszy! O Boże, co za gorzki posmak hańby i zawodu! Rodzic nauczał mieć go za człowieka wyższego rozumu i oświecenia, za niezłomnego w cnocie obywatelskiej męża. A znalazł podłego egoistę, którego jedynym celem było własne wywyższenie i bogactwa. Nie lepszy od tych, którym stryczek poprzysięgał, nie inny. Wspomniał jego

maximy i jęły mu się wić przez mózg niby płazy plugawem kłębowiskiem. Cóż teraz począć? Pójść za jego radą, uczepić się biskupa, zostać delatorem i szpiegunem? — Każda droga prowadzi do Rzymu — wygłosił kasztelan. A czyż każdą iść wolno do świętego celu? — szarpnęło nim sumienie. — Byłbym u źródła wszelkich machinacyi przeciwko ojczyźnie — zabrzmiał w nim głos rozsądku. — Tambym rozpoznał jej przyczajonych wrogów, tam byłbym okiem i uchem ku pożytkowi sprawy! — Szarpał się, deliberował i chwiał, targany sprzecznemi uczuciami. Ale w jakiejś chwili nakazał sobie surowo: Spełnię, com powinien ojczyźnie — i poczuwszy po tem nieodwołalnem postanowieniu niemałą ulgę, poszedł do apartamentów kasztelanowej.

Lokaj w białej peruce wprowadził go do wielkiej, przyciemnionej komnaty; zapalone kasolety biły wdzięczną wonią, słoniącą rudawemi mgiełkami wszystek kształt wspaniałych sprzętów, że nawet zwierciadła lśniły ze ścian oczami zasnutemi bielmem; pachniało również woskiem i przywiędłemi ziołami, jak w kościele po nabożeństwie. Fioletowe obicia w złote ornamenta na ścianach, cisza drgająca okwiatem westchnień i ścichłej przed chwilą muzyki, jeszcze bardziej dawała pozór kaplicy.

Kasztelanowa, uniósłszy się z markizy wysłanej poduszkami, witała go bardzo życzliwie, podając śliczną rękę do pocałowania.

Siedzący obok niej Dominikanin o surowej, ascetycznej twarzy, odstawił wiolę i usunąwszy się pod okno, zabawiał papugę, rozkołysaną w złotej obręczy.

Zaręba zajął jego miejsce i słuchając kasztelanowej, wodził roztargnionemi oczyma po komnacie, przenosząc je niekiedy a ukradkowo na jej twarz piękną jeszcze, mimo lat, matowo białą i jakby zastygłą w marmur; tylko pełne usta znaczyły się ostro, jak żywa, krwią opłynięta rana i czarne oczy o ciężkich powiekach i rzęsach, niby skrzydła jaskółcze, świeciły promieniście. Była przybrana w czarny dezabil, zapięty pod szyję, a doskonale uwydatniający jej szczupłą i bardzo foremną figurę. Siwe, gładko przyczesane włosy tworzyły nad jej nizkiem czołem majestatyczną koronę. Nie miała na sobie ani jednego klejnotu.

Szeptała z omdlewającym wdziękiem, głosem pełnym dziwnych modulowań, nieoczekiwanych spadków i cudacznych zwrotów francusko-polskich. Melancholijny smętek sączył się z jej słów, niby słodka woń kwiatów wiednących, ale w każdem zdaniu zdradzała żywy dowcip i wielką znajomość spraw i ludzi. Zdumiewał się temu, znajdując ją zgoła niepodobną do wyobrażenia, jakie miał o niej od dzieciństwa, słuchał też z rosnącą uwagą i nieskrywanym podziwem. W jakiejś chwili natrafiwszy oczyma na królewską miniaturę, stojącą obok na pękatej szyfonierce, przeniósł badawczy wzrok na kasztelanową.

Snadź przeczuła wagę spojrzenia bo jakis cień przewionął po jej bladościach, zatrzepotały trwożliwie jaskółcze rzęsy, na czole zawisła chmura i po ustach zalsnił prześmiech niby to tęsknot nagle zbudzonych, niby żalów i niby gorzkich politowań.

— Nieszczęśliwy człowiek! — westchnęła, wskazując portret.

Nie odrzekł, nie śmiał jej czemś urazić, ona zaś, jakby nie pomnąc wyrzeczonego słowa, zaczęła się wyżalać na polskie barbarzyństwo, upadek ducha, nierząd, zanik cnoty, a ze szczególnym naciskiem na rozwiązłość kobiet i przedajność mężczyzn. Mówiła mądrze i powściągliwie, jak statysta, z czułością jednak serca pełnego sentymentów i troski o przyszłość ojczyzny i powszechności. Ujęła go tem niezmiernie, aż z uwielbieniem ucałował jej przecudne. prawie przeźroczyste ręce. Orzeźwiwszy się wonnością ze złotej balsaminki wyrzekła cicho:

— Wiem, co zamierzacie, i niech was Bóg błogosławi. Ratujcie ojczyznę i tego nieszczęsnego króla, póki jeszcze pora, ratujcie! — Głos jej obwisł i załamał się pod nawałą łez tryskających cienkim sznurem pereł.

Zaręba, nie wierząc własnym uszom, siedział w oniemiałej konsternacyi.

— Bóg ponad wszystko! — zakrzyczała naraz papuga.

Obejrzał się i napotkawszy błyszczące oczy mnicha, poruszył się niespokojnie.

— To Hiszpan, nie rozumie ani jednego polskiego słowa — uprzedziła. — Nie zawierzaj tylko w niczem kasztelanowi, ani Izie — ostrzegła z naciskiem. — Wiem, jakoś całą duszą przylgnął do sprawy ratowania ojczyzny i gdyby mój Staś miał wiek odpowiedni, oddałabym ci go bez jęku: niechby poszedł, gdzie wszystkich po-

czciwych wzywa powinność i honor. Wczoraj wieczorem był u mnie ojciec z księciem Karolem i hetmanem..

— Wojewoda! Książę »Panie Kochanku« i hetman Branicki — powtarzał w zdumieniu najwyższem imiona dawno pomarłych.

— Tak — potwierdziła spokojnym, szczerym głosem. — Niekiedy mnie odwiedzają. Otóż wczoraj nakazał mi ojciec przyczyniać się do dobrego skutku waszych zamierzań. Gotowych pieniędzy nie mam, gdyż dużo uwięzło w banku p. Prota Potockiego, zaś nad resztą kasztelan roztoczył swoją kuratelę, ale mam jeszcze swoje klejnoty, niechaj więc usłużą przeciw nieprzyjaciołom — wyjęła z szyfonierki pękaty worek z zielonego zamszu, zawiązany starannie i pod pieczęcią. — Miałam je posłać do Częstochowy — uśmiechnęła się, sypiąc sobie na kolana grad, jakby uczyniony ze stężałej tęczy. — Kapostas potrafi je dobrze sprzedać — przegarniała je końcem palców, lecz ze źle skrywaną lubością. Były tam w tej rosie różnobarwnej pierścienie w starożytnych oprawach, sznury pereł, zausznice, manele obsypane kamieniami, spięcia, guzy od kontuszów, szlify, pieczątki rznięte w rubinach, wysokie grzebienie ze złota, sadzone perłami, łańcuchy, balsamiki drążone w koralach i ametystach; było też sporo nieoprawnych kamieni. Nie bylejaka fortuna leżała w tej kupie złota i kamieni, połśniewającej cudnemi farbami.

— A możeby graf Moszyński kupił? On się lubuje w klejnotach — szepnęła, zsypując z powrotem. — Błyskotki to czcze i dziecinne. Jakże się ojciec ucieszy, kiedy mu zdam relacyę — dodała, wręczając mu worek.

Zdumienie Sewera sięgało już granic trwogi; patrzył w nią z lękiem, ale siedziała, jak przedtem, spokojna, piękna, władnąca rozumem i jakby z bólem zaczajonym w kątach ust. Żart-li czy też chora imaginacya?

— Co jednemu prawda, drugi ma za szaleństwo! — wyrzekła jakby w odpowiedzi jego zatrwożeniom i oczom badającym. Zmieszał się okropnie i tłómaczył tak zawile, że mu przerwała z pobłażliwym uśmiechem:

— A zaglądaj do mnie, zawsze będę ci rada. Weź-że te klejnoty i schowaj.

Pozwoliła mu łaskawie ręki do pocałowania i czule pożegnała.

Skwapliwie juści pochował kosztowności po kieszeniach, ale był tak pomieszany i wzruszony tem wszystkiem, że wszedł do salonu, jak pijany.

W sąsiednim buduarze słychać było podniesione głosy Izy i szambelana. Kłócili się zawzięcie. Przez słabo przymknięte drzwi roznosiły się ordynaryjne i brutalne wyzwiska. Złe, okrutne i mściwe słowa Izy świstały, niby bicz zacinający nieubłaganie. Szło im naturalnie o pieniądze i kochanków, a skończyło się płaczem i spazmami Izy i chrapliwym wrzaskiem szambelana i łomotem przewracanych sprzętów.

Zaręba już chciał wyjść, gdy z buduaru wypadł szambelan i zakrzyczał na swojego Kubusia, by mu podawał lekarstwo, nim się jednak zjawił famulus, przychwycił Zarębę i zaczął mu skrzekliwie kłaść w uszy.

— Nie żeń się waśćpan z modną panną; lepiej się obwieś, niźli miałbyś później paść się zgryzotą i pośmiewiskiem. — I nie czekając responsu, jął utykać po sali, wspierając się na grubej trzcinie i wyrzekał na kobiety.

Był wystrojony w paradny fijołkowy frak, suto zahaftowany, w białych pończochach na pałąkowatych nogach i w peruce z harcapem, omotanej złotą siatką, przygarbiony, schorzały, istny grat ludzki, lecz z twarzą wielce rozumną i bystremi oczyma.

Zaręba poczuł do niego jakąś litościwą czułość i właśnie był z nim zawiązał dyskurs, gdy weszła Iza z książką w ręku, piękna jak zwykle, wystrojona i zasiadła pod oknem w głębokim wolterze. Zdała się pokrywać wrzącą jeszcze złość wysilonym uśmiechem i lekceważącem skrzywieniem ust, skinęła głową Zarębie i jej orzechowe oczy ślizgały się po nim obojętne i niewidzące. Odczuł to boleśnie, odpłacając się wzgardliwemi spojrzeniami i głośniejszą rozmową z szambelanem. Jakby jeszcze niedość było w powietrzu wiszących swarów, wpadła Terenia, cała w rumieńcach, łzach i wzburzeniu, rzuciła się do Izy i buchnęła spazmatycznym płaczem, a za nią wleciał Marcin i nie witając się z nikim, szarpał wąsiki, potoczył groźnie oczyma i zwrocił się do Sewera.

— Wyjdź ze mną, mam do ciebie ważną sprawę — szeptał ponuro.

— Nie mogę teraz, czekam na kasztelana. O zmierzchu będę w handlu Dalkowskiego, to poczekaj na mnie.

— Jedziesz na bal dla Zubowa?

— To dzisiaj? Jeśli wydolę pilnym sprawom, zajrzę na chwilę.

— Wszyscy się wybierają na te festy, nawet Terenia.

— Nic tam po niej — wyrzekł z rozmysłem bardzo głośno.

— Terenia ze mną jedzie — odbiła Iza, przeszywając go spojrzeniem.

— Terenia zostanie w domu — zawrzał porywczo Marcin, czerwony z alteracyi.

— Waćpan przywłaszcza sobie prawo, co ona ma robić?

— Przecież to moja narzeczona, przecież jakoweś prawa mam.

— I dlatego chcesz praktyki tyrańskiwa na niej odprawować! Waćpan coś zawcześnie pokazuje rogi! — uśmiechnęła się z miażdżącą wyniosłością. — Biorę Terenię pod swoją opiekę, czy waćpanu to nie wystarcza?

— Wielce sobie szacuję ten zaszczyt, ale trwam przy swoich opiniach.

— Trwajże waćpan przy swoich przekornych opiniach, a ja Terenię zabieram — zwróciła się do Zaręby. — Nie będziemy tam przecież same, jedzie z nami cała socyeta. Zabawa obiecuje się być wspaniała i urozmaicona siurpryzami. Wszak jedziesz z nami?

— Nie mniemam jednak, aby to było odpowiednie dla panny Tereni — odrzekł zimno, wpierając w nią wyzywające oczy.

— Więc dla kogoż znajdujesz ją tylko godną? -

złość ją targnęła i podrażniona jego tonem, stanęła przed nim w groźnem wyczekiwaniu.

Nie ścierpiał jej lekceważącego głosu i rąbnął na odlew, bez namysłu:

— Jedynie tylko dla tak zwanej wyższej socyety, lecz nie dla cnotliwych panienek.

— Katon! — bluznęła ironicznie, mszcząc zarazem niedzielny zawód.

— Tylko bywszy porucznik artyleryi Sewer Zaręba, mościa pani szambelanowo — gruchnął szydliwie z zuchwałą impertynencyą, skłonił się i odszedł na stronę.

— Grubianin! — posłyszał za sobą jadowity syk

Weszło parę osób, gdyż u szambelanowej był punkt zborny całej socyety, fetującej Zubowa, skąd mieli wyruszyć do Stanisławowa na podwieczorek, zaś następnie do Sapieżyńskiego pałacu na teatr i bal.

Zjawił się też Cycyanow w otoczeniu swoich oficyerów i już nie odstępował Izy ani na chwilę, tak przez nią awansowany, że szambelan, pieniąc się z bezsilnej wściekłości, szeptał do ucha Zarębie:

— Ten książę ma maniery zgoła kozackie... Guza tu znać szuka... ja mu zrobię afrontacyę — mamrotał groźnie, nie ruszając się jednak.

— Vae victis przez kobiety! Snadź damy podobają sobie w jego parobczańskich manierach i dziobatym pysku — odparł drwiąco, lecz był rad, gdy mu Klotze oznajmił, że kasztelan czeka na niego.

Marcin, chmurny niby noc jesienna, zastąpił mu drogę i szepnął:

— Tak mnie damy obligują za Terenią, że nie wiem co począć?

— Bądź na prośby nieczuły i nie pozwalaj.

Kasztelan już czekał w powozie i zwrócił się do Klotzego:

— Ale, kupiłeś aspan woły?

— Kupiłem w Zelwie trzysta. Sto zaraz popędzili kozacy do obozu generała Dunina, resztę zaś spędzą do Grodna, popłyną do Prus. Jarmark był drogi, bo jakaś kompania skupowała i agent pana Starzeńskiego też podbijał ceny. Na szczęście miałem pod ręką konwojowych kozaków i trochę musiałem rekwirować. Tylko do koni nie można się było docisnąć, bo co było wybrańsze, wykupili jacyś oficyerowie, podobno dla brygady Madalińskiego i artyleryi Jasińskiego.

Zaręba nastawił uszu, domyślając się, jako mowa o Kaczanowskim i Hłasce, lecz odezwał się dopiero w drodze.

— Nie wiedziałem, że wuj zabawia się handlem.

— Jeśli ksiądz Kołłątaj może przedawać płótna i kartuny, to czemuż ja nie mam handlować zbożem i wołami! — zaśmiał się z jego miny. — Klotze mnie namówił i źle na tem nie wychodzę. Wziąłem nawet w arendę śpichlerz w Gdańsku; Klotze skupuje flotę i jesienią pchnę już ze dwieście szkut i komieg ze zbożem. Wprawdzie król pruski ścisnął nasz handel paskudnemi cłami, na komorach robią przeróżne utrudnienia, ale moim statkom obiecali pofolgować. Kasztelanowa jest przeciwna temu, respektuje bowiem Swedenborga, Martiniego i uczone dyskursa o nieśmiertel-

ności, ja zaś uwielbiam zdrowe zasady ekonomii, dającej całe grzeczne prowenty.

— Będzie wuj na balu dla Zubowa?

— Powinienem, tyle mam jednak spraw na głowie! — westchnął, zagłębiając się w rozmyślania i dopiero gdy powóz stanął przed pałacem, zaszeptał: — Polecę cię biskupowi, musisz jednak się podrożyć i wziąć czas do namysłu, żeby nie zwąchał ukartowanej kabały.

Pałac Kossakowskich był nie nazbyt obszerny i miernej architektury, lecz urządzony z gustem i niemałym przepychem. W antyszambrze na pierwszem piętrze stały rzędy hajduków w herbowych liberyach i jakiś chudy ksiądz w okularach rogowych, przyjmujący gości, zaś w salach czyniły honory domu bratowe biskupa, on zaś sam, powłócząc nieco nogami, przechadzał się łaskawie uśmiechnięty. Co chwila w innej stronie widniała jego głowa, pokryta siwymi, podwiniętymi dokoła puklami i blada dziobata twarz. Przewijał się między grupami, nie szczędząc pochlebnych słówek, przyjacielskich skinień, tajemniczych szeptań i błogosławiących spojrzeń. Zdał się być samą dobrocią i dostojnością, którą wszystkich porówno obdzielał. Nawet z chudopachołkiem rad się zadawał, suponując mu, jako uważa go ponad drugich, gdyż każdego umiał zażywać dla swoich celów. Był wysokiego mniemania o sobie, ale pychę pokrywał niewolącą uprzejmością, bystrym dowcipem i nauką, chciwość poczciwą troską o szczęście powszechności, egoizm głębokiemi racyami polityki, nienawiść słusznym gniewem poniżonej moralności.

Konfidentów wynagradzał szczodrze, zaś nieprzyjaciołom wybaczał głośno, lecz przez zaprzedane sobie ręce gniótł ich bez miłosierdzia, obdzierał z majątków i słodkimi, bolejącymi szeptami podawał na wzgardę. Pokazywał się być księdzem wielce dbałym o służbę bożą, nawet msze odprawiał prawie codziennie, lecz jeszcze żarliwiej zabiegał o tłuste beneficya i jak kazała okoliczność, zagarniał je zbrojną ręką.

Człowiek był przytem oświecony, górnych manier, opinii miarkowanych rozsądkiem i okolicznościami, podstępny, intrygant nie przebierający w środkach i wiecznie głodny dla siebie i swojej rodziny dostojeństw, władzy, bogactw i znaczenia.

Wszak-ci to on czasu Wielkiego Sejmu najżarliwiej intrygował przeciwko reformom i konstytucyi.

Płaciła mu za to Imperatorowa.

Wszak-ci to on stał się później duszą Targowicy i wszelakich machinacyi. na zgubę Rzeczypospolitej uformowanych.

Brał za to szczodre w rublach jurgielty.

Wszak i aktualnie przewodził na sejmie potężnej fakcyi, powolnej na każde życzenie Petersburga, za co wciąż otrzymywał sute łaski w beneficyach, biskupich krzyżach, kamieniami sadzonych i dukatach.

Takim był ten obywatel, biskup i człowiek, nad którego mogli się należć jeszcze gorsi, lecz nie było szkodliwszego dla Rzeczypospolitej.

Kasztelan przedstawił mu Zarębę. Biskup obrzucił go bystremi oczyma, a wielce łaskawie przywitawszy, pociągnął kasztelana na stronę.

Zaręba, rad z osamotnienia, chociaż obciążony klejnotami kasztelanowej, a bardziej jeszcze gniewem łzy, jął się rozglądać pomiędzy ludźmi.

W głównej sali, obciągniętej amarantem i pełnej kosztownych sprzętów, zwierciadeł, bronzów i złoconych mebli, a nakrytej sufitem uczynionym z pozłocistej sztukateryi na dnie czerwonem, siedział biskup wileński, Massalski, ze swoim godnym socyuszem, biskupem chełmskim, Skarszewskim. Obaj byli zaciętymi antagonistami Kossakowskiego; zwłaszcza Massalski, gracz, utracyusz i pijak. mimo potężnej cyrkumferencyi i lat sędziwych, nienawidził go całą duszą i posępnym, złym wzrokiem chodził za nim, poszeptując coś zgryźliwie, na co Skarszewski prześmiechał się jadowicie, przytakując wyłysiałą, szpiczastą głową.

W bliskości prześlizgiwał się wężowymi skrętami, a z przyczajonym wzrokiem ksiądz Ghigiotti, czarny, suchy Włoch, króla partikularny sekretarz, lecz i zarazem powolne Sieversowi instrumentum. Węszył też między ludźmi osławiony Boscamp i Friese rad częstował tabaką, wyciągając przytem na słówka i wielu podobnych żarliwie pełniło swoje rzemiosło, gdyż na przyjęciach biskupich zbierała się liczna i przeróżnego autoramentu socyeta.

Za biskupami, na czerwonych ławach, obiegających ściany, drzemały wybrane dostojne ciemięgi, omszałe damy, pachnące woskiem i święconą wodą, niby stare kropielnice, zatabaczeni profesorowie w wyświechtanych sutannach i frakach, nieco staroświeckich kontuszów i poczciwych rupieci z zapadłych powiatów Litwy. Cza-

sem pokazał się na głównej sali jakiś mąż głośnej cnoty, jakby jeno dla ornamentu prezentowany lub modny cudzoziemiec. Resztę zaś komnat, biegnących amfiladą i bogato przystrojonych, przepełniał różnobarwny, strojny tłum: modne franty z nastroszonemi czuprynami, z gałkami lasek w zębach, pobrzękując pękami pieczątek i wisiorków, podpierały kominy; nie brakowało pomiędzy nimi alianckich oficyerów, ni pieczeniarzy, bywających wszędzie, gdzie się tylko kurzyło z komina, ni polowaczów nowinek, ni person zgoła zagadkowym procederem żyjących; sporo wiecznych suplikantów krążyło w cieniu znacznych osób, wyczekując okoliczności. Większość jednak zebranych była złożona z posłów sejmowych, konfidentów i powinowatych biskupa. cała zgraja zaprzedanych mu socyuszów, która żarliwie stawiała się bić czołem wszechmocnemu patronowi, brać instrukcyę działań, wyżebrywać łaski, chełpić się przewagami na sejmie i składać relacye co się dzieje u króla, co u Siewersa, co u Buchholtza i co u wszystkich dygnitarzów. Co chwila bowiem ktoś długo nakładał w biskupie uszy, lub wsuwał mu w rękę nikłe karteluszki. Musiała się obocznie formować jakowaś tajna narada, bo co znaczniejsze figury, jak Zabiełłowie, Giełgud, Narbutt, kasztelan, paru sejmowych jurgieltników biskupich, a nawet i Nowakowski, wyniosło się niepostrzeżenie w głąb pałacu.

Właśnie deliberował nad tem Zaręba, gdy stanął przy nim Srokowski, którego był poznał u Nowakowskiego i szczerze unikał i jął mu pleść niestworzone banialuki o politycznych konjunkturach i upadku ojczy-

— I Petersburg policzy to w zasłudze nie nam, jeno Sieversowi — zauważył biskup i zwrócił się do Bielińskiego. — Wiele mamy swoich głosów?

— Czterdzieści, ale żeby uzyskać w pełnej izbie większość, potrzebujemy junctim affirmative mieć wotów ośmdziesiąt, wraz z głosami senatu.

— Srogi ekspens! — westchnął biskup — okoliczność żąda przerzedzenia opozycyi.

— Można, lecz zawsze ktoś zostanie, któren podniesie wrzask, zaprotestuje na sejmie i zmusi króla do solwowania sesyi — wtrącił Wołłowicz.

— A Skarzyńskich i Szydłowskich nie nakryje czapką, jak wróbli; potem wzburzą całą opinię przeciwko nam, a sami się przybiorą w postacie Katonów i prawdziwych patryotów — ostrzegał kasztelan.

— Niepotrzebne zgoła ceregiele — zabrał głos hetman — Sievers jest mocen całą opozycyę wysłać choćby na Sybir: starczy mu kozaków i nahajek.

— Ale niechby to zrobił z własnego rozumienia i bez naszej supozycyi...

— Będzie się wahał, jest bowiem czuły na głos powszechności, a rządzi się regułą: Panu Bogu świeczkę i dyabłu ogarek. Gdybyś, mości starosto — zwrócił się biskup do Ankwicza — przedstawił mu polityczne racye pozbycia się ich ze sejmu przed ratyfikacyjnemi deliberacyami, suponując sub secreto, że takowe racye uznał już za słuszne Markow?

— Zaś sejm zawotuje, czego żąda Imperatorowa, to można ich powrócić stęsknionym familiom i społeczności — poddał szydliwie Narbutt.

— Spróbuję. Będzie cierpiał, będzie przysięgał na ludzkość i swoje wnuczęta, rozchoruje się z alteracyi na żołądek, ale może się zgodzi.

— Przeczytam waszmość panom spis, a nie sprzeciwię się, jeśli kto dołoży do niego jakiego przyjaciela — uśmiechnął się jadowicie.

— Gdybym tam mógł pomieścić moich kredytorów! — westchnął Bieliński.

— I bez tego nie zostaną usatysfakcyonowani — mruknął jakoś żałośnie kasztelan.

Bieliński okrył się obłokiem dymów, a biskup jął odczytywać nazwiska tych cnotliwych, którzy się żarliwie opowiadali za ojczyzną, tych, którzy jej wszystką mocą bronili na sejmie przeciwko drapieżności ościenных potencyi i przeciwko zbrodniczej powolności zdrajców.

Zarębę ogarnęła gorączka i powstrzymywał się całą mocą, by się nie rzucić na te nikczemne Judasze. Przemógł się jednak i słuchał dalej biskupa, który, oddawszy listę proskrypcyjną Ankwiczowi, szeroko rozwiódł się o szkodliwości egzulantów siedzących w Dreznie i Lipsku.

I znowu padły jakby wydane pod topór nazwiska najszlachetniejszych.

— I. Potocki, bywszy marszałek, X. Kołłątaj, bywszy podkanclerzy, J. Weyssenhoff, bywszy poseł Inflancki, J. U. Niemcewicz, St. Sołtan — czytał prędko — pominę mniejszych, ale ci to są prawi hersztowie i wichrzyciele, podżegający kraj do buntów, ci to są posiewcy przewrotnych maxim jakobińskich, nieprzyja-

cioły Boga i ojczyzny — syczał, ledwie się już miarkując w nienawiści. — To zarzewie za blizko naszych granic, trzeba je zadeptać w porę. Już zimą podałem notę do kolegium spraw zagranicznych, aby zażądano wypędzenia ich z granic saskich. Markow obiecał i notę wysłano, a oni spiskują tam najspokojniej i w dalszym ciągu miotają na nas i naszych aliantów najpodlejszemi oszczerstwami. Kołłątajowska kuźnica, jak i w czas bywszego sejmu, zasypuje powszechność paszkwilami; burzy to publiczną spokojność, roznieca waśnie i nieufność, przeszkadza skuteczności zabiegów naszych o dobro ojczyzny, a najważniejsze, że osłabia naszą sytuacyę w Petersburgu: z tego płyną nieobliczalne dla nas szkody.

— Sievers powinien żądać ponowienia noty do dworu saskiego — zabrał głos hetman — wszak w Dreznie zrobiła się ekspozytura paryskich bezeceństw i stamtąd rozszerza się ta zaraza na całą Rzeczpospolitą.

— I do tego już doszło, że nawet w Grodnie, pomimo wart licznych, prawie co dnia znajdują na murach nalepione paszkwile — skarżył się Nowakowski.

— Ba, dzisiaj czytano jeden z takich nawet w moim domu — szepnął biskup, podając sekstern, odebrany od Woyny. Szare karty obleciały socyetę. Czytano je z uwagą i gniewną awersyą, tylko Ankwicz zaczął się śmiać.

— Ależ Szczęsny pęknie ze złości. Splantowali go nadzwyczajnie. Ha! ha! ha!

— Prawie każda poczta przynosi takie smakołyki.

— Sartoryusz ma nakazaną konfiskatę podobnych pism.

— Niepodobna mu przezierać wszystkich listów, otwierają tylko podejrzane, a i temu ledwie podołają— objaśnił Ankwicz. — Wczoraj dostałem pocztę warszawską, zaś w niej spory rulon, na którym jest wyobrażona szubienica. Zgadnijcie, mości panowie, kto na niej powieszony in effigie?

— Zawsze i wszędzie pierwsze miejsce biorą króle — zaśmiał się kasztelan.

— Niestety, nam oddano pierwszeństwo: dyndamy tam, niby drozdy złowione w sidła. Uśmiałem się do łez z tego konceptu i pokazałem rysunek biskupowi Massalskiemu. Srodze się zgniewał na swój konterfekt nadzwyczajnie utrafiony, wisi bowiem wespół z ulubioną charciczką, kartami w rękach i butelkami borgońskiego pod pachą. Nieporównany aspekt!

— Panie hrabio, mamy jeszcze pilne materye na deliberacye i dla Zubowa bal, a godzina dosyć późna — prosił z uprzejmym uśmiechem biskup.

— Słucham, dodam jeno, że wisimy tam in gremio, całem ministeryum, z odpowiednimi emblematami, a w pozycyach tak nieprzystojnych i krotochwilnie oddanych, iż można umrzeć ze śmiechu. Słucham, mości panowie.

— Względem redukcyi wojsk i prorogacyi sejmu — przeczytał biskup w seryarzu.

— Głównie zaś względem odstąpienia części wojsk naszych Imperatorowej.

— Jest taki zamiar? Któż go podaje? — pytał kasztelan poruszony do żywego.

— Powstał, by ulżyć Rzeczypospolitej w kłopotach finansowych — odparł hetman — boć kasy wojskowe puste, a żołnierz zdawna nieopłacony.

— I drugie racye, nawet ważniejsze wpłynęły na uformowanie tego projektu — wsparł biskup brata, wyjmując gruby sekstern z pod sukna.

— Pocóż odstępować, kiedy i tak wojsko się rozłazi, miasta są już pełne maruderów, a przytem generalność pozwoliła je trzebić obcym werbownikom.

— Nie pozwoliła, lecz, nie mogąc się przeciwić, musi o tem nie wiedzieć.

— Redukcyi żąda Petersburg i wymaga jej konieczność; kraj znacznie uszczuplony w ludności i zasobach, więc pocóż nam aż tyle wojska? Pod protekcyą wspaniałomyślnej monarchini Rzeczpospolita nie będzie miała okazyi prowadzenia wojen, zakwitnie błogi spokój i ludność będzie mogła oddać się owocnej pracy— wykładał hetman. — Jest pewna okoliczność godna rozważenia, płynąca z projektów redukcyjnych: oto jeśli się zdezarmują wojska, konsystujące jeszcze w kordonie rosyjskim i na Litwie, to słuszność nakazuje zapłacić im zaległe lenungi. A skądże Rzeczpospolita weźmie na ich opatrzenie? Ale jest jeszcze ważniejsza okoliczność, że tysiące zwolnionych ze służby i z pod dyscypliny rozlecą się po kraju śladami jakby wilków zgłodniałych. Wszak do swoich panów i pracy dobrowolnie nie powrócą, boć żywioł to burzliwy, rozswawolony żołnierką, spróżniaczony i przeto gotowy na

każdy buntowniczy podszept. Klubowcy już na to rachują, gdyż widziano ich emisaryuszów po obozach. Jakby ogień rzucał niebacznie na prochy. Któż przewidzi, co się może wydarzyć? Jedni mogą się porwać przeciwko aliantom, lecz drudzy, uwiedzeni jakobińskiemi maksimami, spróbują, jak we Francyi, podnieść taką rebelię, że nie ostoi się ani jeden dwór i ni jedna szlachecka głowa. Naszą powinnością przewidywane nieszczęścia odwrócić od ojczyzny. Mniemam więc, jako jednym ze skuteczniejszych sposobów jest odstąpienie Rosyi chociażby całego korpusu wojska. Profit aż nadto widoczny: kraj pozbędzie się przyszłych terorystów i zarobi na wdzięczność monarchini — zażył tabaki, włócząc przytem martwemi oczyma po twarzach.

— Po ileż otaksowani z głowy? — Kasztelan miał w głosie cierpkość.

— Sto pięćdziesiąt rublów wraz z całym materyałem wojennym. I Rosya odniesie z tego niemałą korzyść, gdyż ekwipacya żołnierza kosztuje prawie czterysta rubli, no i o cały gotowy korpus wzmaga swoją armię.

Zapadło głuche milczenie. Hetman żuł bezzębnemi szczękami, tępo patrząc w podbladłe twarze, biskup coś pilnie obliczał na papierze, a reszta, jakby pod wpływem wstydu i wyrzutów sumienia, nie śmiała podnieść oczów. Kasztelan drżącemi rękoma jął nakręcać pektoralik.

— Za naszą przyczyną wzmaga się polski handel — przerwał milczenie Ankwicz, podnosząc się z miejsca. — Potąd sprzedawaliśmy jeno województwa

i prowincye, zaś aktualnie już i gemeinów. Niemała progresya. Czy nie korzystniej byłoby wyprzedać wszystką ludność z bebechami? — głos mu brzmiał drwiącym sarkazmem, lecz i zatajonem cierpieniem.

— Projekt był powzięty u Igelströma, rozpatrywany przez Sieversa, brany na deliberacye w Petersburgu, a nam zalecony do przeprowadzenia na sejmie i królewskiej konfirmacyi — podjął zimno biskup, przeszywając go sępiemi spojrzeniami. — Kto sprawuje rządy, winien powodować się racyami stanu i rozumem a nie czułościami. Pracujemy nad ratowaniem ojczyzny wedle sił i rozumienia; pracujemy dla przyszłości, więc dopiero potomność przyłoży sprawiedliwą miarę do naszych zabiegów. Zaś kto mniema...

— Wszystko da się wybielić, niby płótno na rosie — przerwał mu dość szorstko — ale pocóż mamy się obełgiwać górnie i pompatycznie? Chcecie sprzedać wojsko? Sprzedajcie, nie sprzeciwię się, jeśli tylko płacą gotowym groszem. Właśnie dzisiejszej nocy zgrałem się do Zubowa i na gwałt potrzebuję paru tysięcy dukatów. Marszałek jest w podobnej sytuacyi, nieprawdaż?

Bieliński wyjął z ust lulkę i rzekł z powagą:

— I głosuję za odstąpieniem choćby wszystkiego wojska.

— To mowa prawdziwego męża — zawołał Ankwicz z emfazą i nie dopuszczając nikogo do głosu, gadał prędko: — Nie mamy już nic do stracenia, więc zagrajmy otwarcie va banque! Wygramy, to wprawdzie ojczyznę rozdrapią sąsiedzi, ale biskup pocieszy

się prymasostwem, hetmana Imperatorowa ukontentuje wielkorządztwem Litwy, Zabielle pozwolą złupić choćby całą koronę, kasztelana uhrabią wraz z jego zięciem, drugim też nie pożałują słusznego panis bene merentium. A zawiedzie karta, podyndamy na konopnych szarfach, jak to nam z cicha profetują zelanci. Bo i w Polsce może się wzbudzić sumienie. Patrzycie mości panowie, jakbym miał w głowie roksolany? — roześmiał się swobodnie. — Mam przytomną imaginacyę, ale czasem brzydną własne i cudze gałgaństwa, że człowiek rad pluje sam sobie w twarz. Wracajmy jednak do deliberacyi nad ratowaniem ojczyzny! Mamy mówić o prorogacyi sejmu?

— Konkluzya z tego, że Bachus i Wenera sił nie krzepią — szepnął biskup.

— Nie krzepią też podłe praktyki — wybuchnął niespodzianie. — Muszę wyjść, duszno mi od tych łajdackich fetorów, Zubow na mnie czeka.

Biskup zagrodził mu drogę i coś długo a gorąco przekładał.

Zaręba już nie mógł dłużej wytrzymać, musiał uciekać, aby nie paść trupem z gniewu lub nie oszaleć. Jak się wydostał z pałacu i jakim sposobem przeszedł swobodnie przez gęste patrole, krążące po mieście, nie umiał później powiedzieć. Poniósł go jakiś huragan wzburzenia i przeprowadził.

Kacper czekał w domu z relacyą o nowych werbunkach, Staszek przekładał szczegółowe rozłożenie bateryi dokoła Grodna, ojciec Serafin zjawił się z jakimś karteluszkiem, który trzeba było odczytać za pomocą

klucza, poczta wileńska przyniosła list Jasińskiego, ale Zaręba zbył się wszystkiego skinieniem ręki i zamknąwszy się w stancyi, dopiero pofolgował wzburzonej do dna duszy. Wiedział bowiem o nikczemnych machinacyach tych ojczymów ojczyzny, lecz tego, co usłyszał, ani mógł imaginować podobnem do wiary.

— Wojska sprzedają, ostatnią oporę i nadzieję, by łacniej podać ojczyznę na łup wrogom! — Włosy mu powstały wobec takiego świętokradztwa i nikczemności. — I natura wydaje takie potwory! Więc niema już granic podłości ludzkiej — jęknął uderzony niespodzianem zrozumieniem.

I długo się męczył w ponurych medytacyach, co mu teraz począć?

Bo żeby przy nim miano formować zdrady i spiskować na zgubę Rzeczypospolitej, a on miałby te puszczać płazem i tylko tem składać powinne relacye! Na samą myśl o czemś podobnem, już mu ręka szukała szabli, krew biła do głowy, a całego przejmował war srogiego wzburzenia. Nie, nie zdał się na biskupiego adlatusa i konfidenta zdrajców, za nic, za nic... Ale wymogi sprawy, ale dobrowolne podjęcie się służby dla niej, ale wprost słuszna konieczność zasięgnięcia języka we wrażym obozie — oto, co mu znowu stanęło w myślach z nieubłaganą jasnością.

Jak sprządz i pogodzić jedno z drugiem?

Więc jakby uciekając przed powzięciem decyzyi, kazał Maciusiowi zaprzęgać i chociaż dochodziła północ, pojechał na bal.

Pałac Sapieżyński już zdala bił łunami, muzyką

i gwarem, a dokoła błyszczały bagnety jegierskich kordonów i stały chmary kozactwa.

Na sali ogromnej, piętrowej, przybranej w kwiaty i zalanej jarzącem światłem kryształowych pająków, uprzątano po wieczerzy do tańców, że tylko w pomniejszych pokojach wykrytych kobiercami, a zastawionych kosztownym sprzętem, wypożyczonym na ten wieczór, zabawiała się świetna socyeta. Całe bowiem Grodno stawiło się uczcić Zubowa: nie brakowało ni ambasadorów, ni dygnitarzów Rzeczypospolitej, ni dam najznaczniejszych, ni nawet nuncyusza z biskupami Massalskim i Skarszewskim.

Zaręba na samym wstępie wpadł w ręce Nowakowskiego, który go prezentował damom i najznaczniejszym personom, a w końcu rzekł:

— Po całym pałacu szukał cię biskup z kasztelanem.

— Sądziłem się być niepotrzebnym i wyszedłem.

— Taka protekcya może cię doprowadzić do fortuny... winszuję ci...

Zaręba, wykręciwszy się od dalszej rozmowy i jego towarzystwa, z rozmysłem brał w sali najwidniejsze miejsca i pchał się na oczy. Rychło też zwrócił uwagę dam swoją urodą, galantuomią pełną czarującego wdzięku, dowcipem i szaloną werwą w tańcach. Zwłaszcza anglezy i menuety tańcował tak nadzwyczajnie, że damy okrywały go rzęsistymi aplauzami, nie szczędząc przytem słówek uwielbienia i czułych spojrzeń. Nawet Iza, szczególnie wyróżniana przez Zubowa z całego wieńca

najpiękniejszych kobiet, jakie go nieodstępnie otaczały, często podnosiła na niego zamglone oczy.

W jakiejś chwili porwał go Cycyanow, by wyżalić się na podłą zmienność kobiet, żarła go bowiem zazdrość i bezsilna wściekłość na Zubowa.

— Każda potrafi psu oczy sprzedać! — przytwierdził, goniąc oczyma Terenię, tańcującą zapamiętale z von Blumem i poszedł do bokówek, gdzie już niepodzielnie panował faraon i hulaszcza, wrzaskliwa pijatyka.

Już na świtaniu pochwyciła go podkomorzyna.

— Odwieź mnie waszmość do domu, czeka tam Działyński z Prozorem.

Uradowany niezmiernie podał jej rękę i wdzięcząc się, a prawiąc modne dusery, powiódł do wyjścia.

Właśnie wybuchnęły srogie wrzaski, podpita młodzież porwała Zubowa na ręce i obnosiła po sali wśród wiwatowań i grzmiących fanfar muzyki.

Zaręba obejrzał się z politowaniem i wyszedł powolnym krokiem.

## VII.

Któregoś dnia rano pod Sapieżyńskim pałacem jęło się zbierać pospólstwo, jakowyś bowiem niebieskawy papier grubo zadrukowany, a widniejący na czarnej desce, gdzie zwyczajnie przylepiano ogłoszenia, ściągał powszechną ciekawość. Próbowano go odczytywać, ale czy był umieszczony za wysoko, czy też brali się do tego nie nazbyt biegli w tej sztuce, dość, że naprożno ten i ów mozolnie składał litera po literze i bąkał, nic z tego nie wychodziło; tylko drwiny a śmiechy wybuchały w ciżbie z czytającego.

— Takie papiery wyrażają, jako przyjeżdża heca — zabrał głos jakiś aspan w zielonym fartuchu. — Jak generalność zjechała do Grodna, tak...

— Stoi jak wół: »za pozwoleniem«... — Czytaj dalej, Trojakowski.

— Na książce do nabożeństwa wyczytam co do litery, ale tu coś inaczej...

— Nie przy tobie napisali — zadrwił drągal w białym, kosmatym surducie i z gębą franta. — A pies ich jechał z famielią i jeich drukowanem!

— Łacniej ci ozorem zbierać sopory z pańskich półmisków...

— A może tu wydrukowane naprzeciw generalności?

— Tyla nalepiają, że ktoby to wszystko wyrozumiał i zapamiętał.

— I generalność tego wzbrania. Sam widziałem, jak pod Dominikanami marszałkowscy zdybali na czytaniu starego Krygiera, zamesznika z ulicy Wileńskiej i powiedli. Rozpowiadano, jako dostał kije.

— Panowie się kłócą, a naród w skórę bierze.

— Wczoraj rozlepiali kartelusze, gdzie było na króla pruskiego, jako jest zdrajca, krzywoprzysiężca i najgorszy zbój.

— Nie lepsi ci, co pozór przyjaciół biorą i pod harmatami miasto trzymają — podniósł się z ciżby znaczący głos.

Obejrzeli się trwożnie w stronę Horodnicy, a ten sam głos dorzucił:

— Ale w Bogu nadzieja, że ich jeszcze naszatkują na psi bigos.

— Odstąp! — zagrzmiał naraz rozkazujący głos Staszka, który, wystrojony na warszawskiego franta, z lulką w zębach i trzciną w ręku, przepychał się zuchwale.

— Co to, przemówił dziad do obrazu, a obraz ani razu? — zaczął drwiąco. — Citoyeny wytrzeszczają ślepie na afisz, niby krowy na wrota kościelne i ani me, ani be! Hi! hi! ja wam w puste pały naleję oleju. Podsadźcie mnie, chłopcy, bo przez moje okulary nie

dojrzę! — spojrzał w dłoń zwiniętą w trąbkę, wykrzywił się dla śmiechu, zarżał, udał szczekanie małego pieska, że zaczęli się odsuwać i dawszy się podnieść na ramionach, zawołał:

— Trzymajcież delikatnie, czułe sankiuloty, gdyż mam hajdawery świeżo zaaftowane przez pewną wojewodziankę, a iżby ściegi puściły, uczyniłby się prospectus zgoła dla dam nieprzystojny i sanctitami generalności wzbroniony.

Zatoczył oczyma, czy gdzie nie widne szpice kozackie i jął odczytywać afisz łobuzowskim i po warszawsku spieszczonym akcentem.

»Za pozwoleniem konfederacyi obojga Narodów«.

Pospólstwo cisnęło się z zapartym tchem i w skupieniu słuchało.

»Entrepryza austryacka, pruska i moskiewska będzie miała honor dać w tych dniach przed świetnem publicum Grodna i okolic reprezentacyę komedyi we trzech aktach, oryginalnie przez Imć Króla pruskiego ułożoną, a od roku 1772 nie przedstawianą, pod tytułem:

Rozbiór Polski.

Akt pierwszy poprzedzi trio: Wolność, Równość i Niepodległość, odśpiewane przez JW. ambasadorów ościennych potencyi i nahajki.

Akt drugi: Jak nie przyzwolą to i tak rozdrapiemy.

Przed aktem trzecim nastąpi balet p. t.: »*Ucieszne igraszki Trifolium*«, w którym Szczęsny Potocki, Rzewuski i Branicki tańcować będą tryumfalnego poloneza

przy rzęsistym biciu z harmat i pożarach wsiów i miast, zaś ku ich usatysfakcyonowaniu, na zakończenie nastąpi ogólna rzeź nieskonfederowanych obywatelów.

Biletów po miernej cenie, albo i zgoła na borg, dostanie u J. de Sieversa, de Buchholtza i u poniektórych dygnitarzów koronnych i litewskich.

Jakby powiał lodowaty wicher, tak zwarzyły się twarze i zamgliły oczy.

Ból rodził się w tych prostackich duszach i głęboka troska osępiła czoła. Spoglądali na siebie w poczuciu bezsilności, ale snadź dobrze zrozumieli treść ogłoszenia, gdyż ktoś zaczął kląć i wytrząsać pięścią:

— Psia ich sobacza mać, psia ich sobacza mać!

— Do czego to przywiedli ci jaśnie wielmożni, do czego! — westchnął drugi.

— A to ci wykoncypowali facecye! niechże ich pierogi ruszą, hi! hi! — zaśmiał się udanie Staszek, by wzbudzić jakowyś sprzeciw.

— To całkiem nie do śmiechu — zgromił go aspan w zielonym fartuchu, że Staszek dał nura w ciżbę, ale skwapliwie powiódł ją pod Dominikanów, gdzie przy wejściu do kruchty wisiał kartelusz z takiem ogłoszeniem:

»Podaje się do wiadomości publiczności, jako na Nowym Zamku, na pokojach Króla Jegomości, odbywa się nieustająca aukcya za gotowe pieniądze na pozostałe jeszcze przy Rzeczypospolitej województwa i ziemie; oraz różne zbędne już efekta, jak korony, berła, królewskie przysięgi, wojska i wszelki sprzęt wojenny. Tamże sprzedają za pomierną cene tytuły i dygnitar-

»Wszystkie twoje czyny, Najjaśniejszy Panie, zapisane są na czarnej karcie dziejów, jedna ci tylko pozostała karta złota, jeślibyś nie dopuścił innym i sam nie ściągnął ręki do potwierdzenia zaboru pruskiego«.

— Cnotliwy głos i słuszny!

— Słuszny! Słuszny! — podniosły się wołania i na przypomnienie króla pruskiego zdrad i przeniewierstw, zawrzał srogi gniew, aż ten i ów trzaskał w szable.

— Podam jeszcze waszmościom ostatni a najprzedniejszy antypast. — »Winieneś, Miłościwy Panie — czytał dobitnie Sieradzanin — coś znakomitszego narodowi poświęcić, niźli tylko traktatów rozbiorowych podpisy«.

Snadź mocno dojęła żywa, krwawiąca rana, bo uczyniła się chwila złowrogiej ciszy, aż ktoś jęknął posępnie:

— Jedna klęska to nieszczęsne panowanie.

Zakrzyczeli go jednak królewscy adherenci, a któryś zawołał gniewnie:

— Magnaci, oto sprawcy wszystkiego, oto najwinniejsi...

— Święta prawda — popierał go chudy jegomość w wytartej kontusinie. — Wszak już Gosławski wołał na sejmie: »Któż żebrał pomocy obcego oręża przeciw współrodakom, jeśli nie możni? Któż przeszkadzał w naprawie Rzeczypospolitej, jeśli nie oni?«

— Wszyscy są winni grzechów przeciwko ojczyźnie — zagrzmiał uroczyście siwy jegomość, któremu

kredencerz obwiązywał serwetę pod obwisłymi podbródkami. — Nasza pycha ją gubi, nasza swawola, nasza niezgoda i brak ludzkości. — Przeżegnał się i jął łakomie chlipać zupę.

— A któryż to bierze pozór Skargi? — pytał z ciżby szydliwy głos.

— Sędzia Nowogródzki, Woyniłowicz; on przed zupą rad napomina bliźnich, lecz...

Reszta przepadła w rozgwarze zapalczywych dyskursów i w pobrzękach farfurów i łyżek, gdyż wszyscy zasiadali do obiadu.

Kaczanowski siedział samotnie w małej izdebce, mającej wyjście na podwórze, którą był Zaręba zaarendował na wyłączny użytek wtajemniczonych, spojrzał radośnie na wchodzącego, ale się nie odezwał.

Staszek, stojący za krzesłem, zabawiał się łowieniem much nad jego głową.

— Nie imaginowałem, że kapitan wytrzyma w solitudzie choćby jedno zdrowaś.

— Wiele może, kto musi. Rezonuje tam jeszcze szlachcic w sieradzkim kontuszu?

— Właśniem słuchał, jak odczytywał przymówienie Ciemniewskiego.

— To abszytowany porucznik z brygady Biernackiego, Tarnowski, sławny rębacz sieradzki, cale oświecony i grzeczny kawaler, ale ma u mnie od wczoraj piętnaście dukatów, ja zaś nie śmierdzę ani szelągiem.

— Znać to, masz bowiem waszmość minę, jakby po occie siedmiu złodziejów.

— Jakże, od samego rana ciągnę na borg tę po

dłą lurę i nie mogę się doczekać, ktoby mnie wykupił. Staszek, każ dać temu szelmie prawdziwego wina.

— Cóż za ewenty wysupłały mieszek i popsowały humory?

— Wiadomo; zła karta i nieszczęśliwe amory. Primo: zgrałem się do nitki. Secundo: dostałem w pysk od sułtanki Ożarowskiego, co nie czyni dyshonoru i może się jeszcze nieraz zdarzyć. A tertio: deliberuję nad wielce ryzykownem przedsięwzięciem o grubym wagomiarze. Możesz mi waszmość dać ludzi, koni i pieniędzy?

— Jeśli okoliczności wymagają, dać powinienem. Cóż to za przedsięwzięcie?

— Dowiedziałem się, jako kozacy prowadzą od Warszawy całą kupę zwerbowanych gemeinów, ciągną nie traktem na Białystok, ale kluczą lewym flankiem i Niemen mają przejść pod Mereczem, cyrkulują na Wilno. Prowadzą też i konie wielkiej ceny i wozy srodze wypchane łubami. Łakomy transporcik!

— Waszmość masz na niego apetyt. Prawdziwy azard, można zapłacić głową.

— Jeszcze ją mocno czuję na karku. Żebym miał pewnych ludzi, a odbiłbym jak Bóg na niebie. Okazya zgoła wybrana.

O ludzi łatwo, trudniej o konie potrzebne do tego przedsięwzięcia.

— Żebym był przeczuł... Nie dalej jak onegdaj wyprawiłem całą partyę do Madalińskiego, przeszło czterdzieści koni, jakie tylko zdobyłem w Zelwie.

— Melduję pokornie — Staszek wystąpił w po-

winnej pozycyi — Mirowscy mają konie na paszy, właśnie nad Niemnem gdzieś przy trakcie kowieńskim, możnaby od nich pożyczyć konie, jak smoki.

— To jest przednia myśl, ha! ha! Spaniały fortel! Cały szwadron! Ha! ha!

— Tak, ale trzeba nad całem przedsięwzięciem dobrze podeliberować.

— Poco tu deliberacye? Wsadzić ludzi na koniki i jazda choćby dzisiaj na noc! Toby była sztuka! Gwardyackie konie, na królewskich obrokach wypasione, w sam raz przydałyby się nam dla sztabu. Koniuchom łby poskręcać i wszystko zwalić na aliantów! Proste, jakby strzelił. Jakbym ożył na nowo! Staszek, golnij sobie gorzałki, a nam każ dawać jeść i parę flach. Porucznik płaci.

— Przypuśćmy udanie, co waszmość pocznie z całym transportem?

— Bylem jeno Niemen miał za plecami, a dam sobie radę. Kraj tamten znam, jak swoją kieszeń. Pociągnę do moich Kurpików, a tam nawet dyabeł mnie nie wyszpera! Boże, jakżebyś nie pomagał Kaczanowskiemu! Boże! — gorączkował się, nie mogąc wysiedzieć na miejscu.

— Konwój może dać opór.

— Jeśli się nie pozwolą zażyć z mańki, to karabiny zrobią swoje, ceckał się z nimi nie będę. Właśnie resztak wypadnie im w Mereczu na przyszłą środę, t. j. 19 augusta. Zawierzył mi to sub sigillo mój serdeczny konfident, Iwan Iwanowicz Iwanow. Biedny oficyerek, płakał mi w żupan z rozpaczy, że musi opuścić swoją

»duszeńkę«, bo mə nakaz transport z Merecza powieźć dalej. Kobyla jego mać, dwa dni przestawałem z nim za pan brat i piłem jak z równym, a za własne dukaty. Takeśmy się pokochali, aż mnie namawiał do służby Imperatorowej, nawet rzęsiście oblewaliśmy przyszłe braterstwo broni. Dzisiaj wieczorem mamy się znowu spotkać, a ekspens to niemały! Mam podejrzenie, iż z Grodna wywiedzie też niemało zwerbowanych gemeinów. Coś mi już o tem napomykał.

— To i konwój powiększą. Uprzedzam, jako przewozy na Niemnie aż do Kowna są obsadzone przez kozaków, brody strzeżone również, a po większych stacyach pocztowych stoją załogi.

— Lepiej za wiele nie przewidywać. Okoliczności zdarzone wskażą najskuteczniejsze rady i sposoby. Nie mów tylko waszmość o tem Działyńskiemu, bo jakby zaczął kalkulować a rozważać, toby sposobna pora minęła. Możemy tę sprawę poczynać i bez niego, dowie się post factum.

Chętnie się na to zgodził Zaręba, w którym żyłka do azardów przemogła powinną ostrożność i porwała.

Przy obiedzie ułożyli z gruba plan działania, wtajemniczając w niego Staszka. Napierał się też, aby mógł spenetrować gwardyackie pastwiska i porozumieć się z ludźmi. Zgodzili się, bo nikt tego sprawniej uczynićby nie potrafił, upraszał tylko o sutszą culagę na poczęstunek.

Rozmowa zeszła na materye aktualne i Zaręba spytał o Hłaskę.

— Był w Chojnikach u Prozora i wróci lada

dzień, bo szef niespokoi się, a i ja radbym go miał pod ręką, człowiek to bowiem mężny i zarazem przebiegły.

— Pchnę dzisiaj Kacpra na zrekognoskowanie okolic Merecza Jakby się jednak nie udało waszmości?— zasępił się tem przypuszczeniem.

— To ojcu Serafinowi daj waść na mszę i zmów pacierz za moją duszę — żartował.

— Proszę pana porucznika — wtrącił Staszek wielce poważnie — my nie mamy czasu na umieranie, niech to zrobią od nas znaczniejsi.

Zaręba wyszedł zgorączkowany tym azardowym projektem i gdyby nie misya, jaką miał do spełnienia, i powinna subordynacya względem szefa, z radością wziąłby udział w tej wyprawie. Rwało mu się serce do rozpraw wojennych i przygód. Grodno bowiem już mu do cna obmierzło, zaś to podwójne, wytężone życie, jakie musiał pędzić, wyczerpywało mu siły. Dusił się po prostu w tem powietrzu przejętem nikczemnością. Po tysiąc razy chciał przymówić podłości po imieniu, a musiał milczeć i trzymać na wodzy cnotliwe wzburzenie. Musiał wdziać maskę i dawać pozór obojętnego, lub, co mu było jeszcze ciężej, takiego samego, jaką była większość socyety. Że chwilami uczuwał awersyę nawet do samego siebie. A jakby na dopełnienie udręki, Iza bolała go, niby cierń wiecznie tkwiący w ranie. Nie kochał jej, ale że niegdyś kochał, zapomnieć jeszcze nie potrafił. Kiedy bowiem myślał o niej, serce wzbierało mu wzgardą, lecz na jej widok bladł i dźwięk jej głosu lał mu trującą słodycz. Uciekał od niej, a uczęszczał

na wszystkie asamble i zabawy, by się przekonać, jako pożąda widoku choćby jej foremnej postaci. Znał cenę jej serca i duszy a tęsknił. Więc też z gryzącą zazdrością pomyślał o Kaczanowskim:

— Taki w karczemnej dziewce upatrzy Wenerę i radość w byle przygodzie.

— Właśnie szukam pana porucznika — wołał mu nad uchem Klotze.

— Cóż się stało?

Z niechęcią podał mu rękę.

— Nic szczególnego, mam tylko polecenie zawieźć waszmość pana na obiad do Sieversa, racye wyłuszczy sam kasztelan.

— Za wysokie progi na moje nogi, a przytem już obiadowałem.

— Tem lepiej, bo tyle się tam ciśnie, że często głodni wstają od stołów. Ambasador coraz bardziej skąpi ekspensów na traktamenta dla przyjaciół.

— Snadź mu już są zbędni! — mruknął, wsiadając do wysokiej karyolki.

W drodze Klotze, rozumiejąc go nietylko siostrzeńcem ale i najzaufańszym kasztelana, jął się zwierzać z tarapatów, jakie mieli z przyczyny szambelana, który ani chciał słyszeć o rozwodzie, ni nawet separacyi.

— I co takiemu przyjdzie z pięknej żony? Drudzy cieszą się jej łaskami, a on ślinkę łyka! — zaśmiał się cynicznie. — Cała ta sprawa jest zgoła niedorzeczna! Rozwodzić się z jednym, kiedy drugi jeszcze niepewny i odkłada stanowczą deklaracyę na później. Juści

Zubow jest tego przyczyną, całe dnie przesiaduje przy szambelanowej, a książę wścieka się z zazdrości za drzwiami. Wczoraj skopał hajduka, że mu się znalazł na drodze. Ach, te kobietki, te kobietki! — cmoknął lubieżnie i zaśmiał się, aż mu brzuch drgał spazmatycznie i zabrzęczały łańcuszki i pieczątki. — Szambelanowa radaby, wzorem wielkich dam, mieć amanta na codzień, drugiego od święta, innych jeszcze na przerwy, a męża od ponoszenia ekspensów! — gruchnął serdecznym rechotem z własnego konceptu, nie bacząc, że Zaręba kurczowo zaciska zęby. — Mamy i cięższą turbacyę — westchnął i kładł mu w samo ucho. — Kasztelanowa odmówiła swojego podpisu na generalnej plenipotencyi. Tyle lat była powolną, a teraz, kiedy mamy ciężką okoliczność, stanęła okoniem. Kasztelan aż dostał palpitacyi ze zmartwienia i widzi w odmowie niecne supozycye Kapostasa, jej bankiera z Warszawy, który właśnie przyjechał i zabawia ją iluminanckiemi praktykami a stawianiem astrologicznych horoskopów. Prawdziwa to kabała, gdyż aktualnie po kabritowskich bankructwach złoto jakby się zapadło pod ziemię i niepodobna go niczem wydobyć, nawet najzasobniejszym brakuje gotowego grosza. Kasztelan ma próbować u Sieversa. Odradzałem, bo on sam często ratuje się u Meissnera, nawet nierzadko Boscamp łapie dla niego u Żydów po parę tysięcy. Tylko jeden Buchholtz mógłby wygodzić.

— Buchholtz? — nie wierzył własnym uszom — poseł imć króla pruskiego?

— On jedenby pożyczył i pod niezbyt uciążliwymi warunkami.

— To mi waść prawi nowiny!

— Wszak materye pruskie muszą lada dzień przyjść na sejmie ad deliberandum — szeptał pochylając się ku niemu — i muszą przejść affirmative, muszą — dołożył gorąco — zaś tymczasem przeciwi się temu srogo opozycya! I nie tylko zelanci, warchoły i sejmowi szczekacze stają nam w poprzek, lecz nawet niektórzy ministrowie i adherenci Rosyi. Zawziętość przeciw Prusom rośnie z dnia na dzień, zwraca się już nawet do osoby posła, że nie waży się pokazywać na ulicy, jak w zbrojnej asyście. Wiemy, jako Sievers podżega do sporu i z cicha całe odium powszechności zwraca w pruską stronę. Otóż kasztelan mógłby wiele zdziałać dla uformowania przychylnej większości na sejmie, ale kasztelan ani chce o tem słuchać dla jakowychś dziecinnych sentymentów, jakby dukaty same się trzęsły z nieba. Gotówem wymówić swoje służby, jeśli nie mamy korzystać z takich okoliczności...

— Więc tenor waści wywodów? — zawrzał zniecierpliwieniem.

— Że kasztelan przegrał do Zubowa dwadzieścia tysięcy i winien je zapłacić.

— To i wujaszek dobrodziej puszcza się na burzliwe flukta faraona?

— Nie z pasyi, a jeno dla dalszych widoków — uśmiechnął się z drażniącą tajemniczością — bywa, jako i przegrane dawają sute prowenty...

— Nie wątpię. Ale dlaczego ja mam obiadować u Sieversa? — spytał nagle.

— Racye wyłoży kasztelan, moja rola kończy się przy tym progu.

Jakoż wysiedli przed pałacem Ekonomii na Horodnicy, w którym rezydował Sievers i szerokimi schodami dosięgli pierwszego piętra.

Ogromny pokój stołowy, urządzony z przesadnym przepychem, już był pełen; właśnie tłoczono się przy bocznym stole, zastawionym smakowitymi antypastami, ambasadorska zaś liberya skwapliwie podawała pękate flachy gorzałek. Łobarzewski, major rosyjski oraz poseł na sejm i zaufany konfident Sieversa, ruszył do wchodzących z kordyalnem powitaniem i pełnym kieliszkiem, a przepiwszy do nich, powiódł do stołu i jął zachwalać świeże angielskie śledzie i jakoweś tłuczeńce, obsypane imbierem.

Socyeta była liczna, gwarna i swobodna; brał każdy miejsce, gdzie chciał i robił, co mu się spodobało, ambasador bowiem cale nie często prezydował na tych obiadach; częściej bywał Bühler, pierwszy jego doradca, lecz już codziennie brał postać amfitryona Łobarzewski, czuwając żarliwie, aby najmilsi goście podjedli do syta i by zwłaszcza napitku nie brakowało nikomu. Nie ladajaka to była rzecz, gdyż do stołów zasiadała codziennie cała fakcya zaprzedana Rosyi, person ze sześćdziesiąt, nie biorąc pod cyfrę przygodnych, ni też przeróżnych pieczeniarzów.

Wniesiono dymiące wazy i wraz obsiedli skwa-

pliwie stoły, a w cichości, że tylko szedł po sali pobrzęk farfurów i łapczywe chlipania.

Zaręba miał za sąsiada z prawej strony Srokowskiego, ku niemałej irytacyi, a z lewej rozpierał się opasły personat w granatowej kurcie, który przedstawił się jako Antoni Czarnecki, rotmistrz kawaleryi narodowej, juści z takich, jacy nigdy nie wąchali prochu, ale z feldcechem przy szabli, a ze Stanisławem na piersiach.

Rotmistrz miał kark byczy, włosy szpakowate, brzuch wysadzony, niby bochen, twarz zaś gapiowatą i dziwnie drobną, prawie chłopięcą, powleczoną rumieńczykami, a krwiste lubieżnie wargi; przypinał się do jadła z animuszem, ale, podnosząc raz po raz twarz unurzaną w sosach, bełkotał zgorszony:

— Przepodłe! Żarcie dla trzody! A może tamto będzie smakowitsze! — I bez ceremonii zgarniał całe góry mięsiw, ku niemałej żałości najbliższych. Tylko Nowakowski, siedzący przy nim, zabawiał się expedite, biorąc go na fundusz.

— Spróbuj waszmość baraniny: specyał nad specyały. Ma wprawdzie akuratnie fetorek zgniłego kożucha, lecz przyrządzona wedle przepisu sułtańskiego kuchmistrza. Podlewa z kobylej śmietany, prawdziwy rarytas! — kładł mu w uszy, mrugając oczyma ku Zarębie. — Wszak o tych sławnych obiadach układają wielbiące wierszyki, exemplum: »sztuka mięsa ze szczapy, sosy z jalapy, na pieczyste padło — ambasadorskie jadło!« Sievers nie szczędzi ekspensów dla przyjaciół!«

— Ja mu ta nie konfident. Powiedzieli: »dobrze dają« — przyszedłem spróbować.

— Nie zawsze płaci się chorobą za takie próby!— szepnął z powagą.

— Nie może być! — odsunął nagle talerz — kiedy i w traktyerniach dają jeść podle, a takie marne porcyjki, że jeszcze człowiek nie zazna smaku, a już zobaczył dno miski! — uskarżał się głęboko zmartwiony. — Naprzykład wczoraj u Dalkowskiego... Te, drabie, podaj mi półmisek — zwrócił się nagle do lokaja, wystraszony, że go pomija z daniem. Więc wczoraj u Dalkowskiego...

Zaręba nie dosłyszał więcej, gdyż Srokowski zaczął mu szeptać do ucha:

— Błogosławię nieba za zdarzoną okoliczność spotkania i skwapliwie suplikuję porucznika o protekcyę. Wiem od Nowakowskiego o możnych związkach...

Parsknął śmiechem na ten pompatyczny wstęp o protekcyę.

— ...waszmość pana, o wielkich koneksyach...

— To słucham — odparł z rezygnacyą — prosiłbym jeno o ścisły konspekt sprawy.

— Da się to łacno zrobić. Jakoś in anno 1772 — zaczął wielce uroczyście, nie, jakoś czasu sejmu konwokacyjnego po śmierci ostatniego Sasa ś. p. rodzic mój, stolnik przemyski, że był to mąż oświecony i cale czuły na dobro ojczyzny, wszedł w związki z przyjacielską potencyą celem forytowania na tron najmiłościwiej nam panującego. On to po województwach ruskich formował przychylne dla pretendenta opinie, on to na

sejmikach, nie szczędząc ekspensów ni zdrowia... — wyliczał jego zasług szereg długi, że Zaręba, setnie znudzony, spoglądał rozpaczliwie na Jasińskiego, któremu Podhorski również coś nudnie klarował, to przezierał twarze zebranych i nasłuchiwał coraz żywszych gawęd, a z nieskończonego powiadania Srokowskiego to jeno wymiarkowawszy, jako rząd rosyjski winien mu znaczne sumy, rzucił żartobliwie:

— Podaj waść do sądu Imć Imperatorową i zatraduj.

— Może przyjść i do tego, boć zobowiązanie Repnina, własnoręczne, mam za wystarczający dowód. Każdy sąd odda mi słuszną racyę.

— Repnina? bywszego ambasadora w Polsce?

— Właśnie. Mam jego listy, pisane w tych materyach do ś. p. rodzica mojego.

Pilnie nastawił uszu, gdyż tenor całej sprawy mieścił się w tem, jako ś. p. stolnik przemyski był oddanem instrumentum Repnina i moskiewskim jurgieltnikiem, synaczek zaś żarliwie zabiegał o rewindykacye judaszowych srebrników, niedopłaconych rodzicowi. Zajrzał mu przeto z blizka w twarz, ale ta facies, wytarta niby trzygrośniak czasów saskich, dawała pozór rozbrajającej bezmyślności: ani mogło w niej błysnąć rozumienie hańby, płynącej z takich zabiegów.

Więc mu Zaręba rzekł w jakiemś miejscu z gryzącym przekąsem:

— Snadź rodzic waści oddawał Repninowi ważne posługi...

— Skaptował mu powolność całych województw —

potwierdził chełpliwie — i tak mu się wdzięcznie wypłacił. Ale krzywda nie zna przedawnienia. Ja też swojego nie daruję. Mam dowody na słuszność pretensyi, a w ostateczności gotówem z żałobą paść do stóp wspaniałomyślnej monarchini. Trzydzieści tysięcy, toć nie byle substancya. Mamże je darować wrogowi?

Zaręba, zatopiony w gorzkie medytacye, już go więcej nie pytał, ni mu odpowiadał.

Czarnecki, jakby spęczniały z nadmiaru jadła i napitków, jął głosić z namaszczeniem:

— »Po zwierzynie utop smak w węgrzynie. Po szpinaku dawaj pontaku« — tu głos mu rozbrzmiał uroczyście, jak gdyby mówił wszystkiej społeczności: — »A po cieście zmyj buzię w szumiącym Francuzie«. Oto maksimy niewzruszone, jak amen w pacierzu. Troskam się jednak, że ten obiad mi zaszkodzi, jeśli się go nie zaleje tokajem. Obrzydliwość! ambasadorski kucharz wart pięćdziesiąt bizunów za podlewę do baraniny i kurczęta.

— Zaiste godzien — dogadywał Nowakowski — to były parciane sakwy, nadziane sieczką.

Nieco dalej dwóch posłów coraz zapalczywiej spierało się o konie.

— Ha! ha! jeśli waszmość folbluta nazywa koniem! Panie, bądź miłościw mnie grzesznemu, ale waść winieneś płonąć na stosie za takie bluźnierstwa. Koń o jednej kiszce, niby glista, z konopnym ogonem, z grzywą z grochowin, z girami z klepek, a bokami, jakby je bednarz powprawiał, ma się zwać koniem! Ha! ha! cu-

gant jucha godny pod morągowatą małpę albo dla rakarza.

— Jak pragnę szczęścia ojczyzny — replikował ktoś rozdrażnionym głosem — ależ waszmości arabczyki więcej przypominają cielne krowy, niźli konie, a ze łbów możnaby je brać za osły, uszy im przy łbach wiewają, niby chusteczki do nosa.

— Waszmość postponuje moje araby! Panie, bądź miłościw mnie grzesznemu...

Naraz ogromny śmiech wybuchnął, ktoś bowiem w drugim końcu stołu opowiadał tak trefne anegdoty, że co chwila zrywały się ryki i aż tupano z uciechy.

Jeden tylko Zaręba, gorzko nastrojony wynurzeniami Srokowskiego, siedział zatopiony w dumaniach, że przecież prawie cała socyeta, wypasająca się tutaj na ambasadorskim chlebie, to jurgieltnicy Moskwy. Powlókł smutnemi oczyma po twarzach spromienionych nasyceniem i osunął się, jakby jeszcze głębiej w serdeczne udręki. Oto już strzelają koncepty, już tłuste żarty, już bezmyślna wesołość się podnosi, już oblicza się śmieją, błogość dosytu rozpiera serca zadowoleniem i błyska w oczach.

Przecież Rzeczpospolita się wali, sądny dzień nastaje, a oni przy zastawionych stołach baraszkują z bezmyślnym śmiechem, przedają wolność za obiad, za dukaty, za ambasadorski uśmiech, za protekcyę w sprawie granicznej, za order, przez złość do poczciwszego sąsiada, często z obrażonej pychy, częściej z żądzy wyniesienia się nad drugich i chciwości, a zawsze przez

podnoszą burzę i wszyscy zapisują się do głosu. Marszałek skonsternowany brakiem większości, opozycya górą.

Zaklaskał w dłonie i szepnął coś starszemu nad liberyą.

Za chwilę zjawił się Łobarzewski z wielce wystraszoną twarzą.

— Czemu waść jeszcze nie na sejmie? — pytał surowo ambasador.

— Właśnie piją zdrowie waszej ekscelencyi — bełkotał pijanym głosem.

— Każ wszystkim posłom ruszać natychmiast: w sejmie pilna okoliczność. Hr. Ankwicz wyda dyspozycye względem głosowania. Mości majorze, proszę mi rychło wyzbyć się chmielu! — Był już groźny, uśmiech gdzieś się zapodział z wązkich, zaciętych warg, oczy błyskały gniewem, sprężył się cały, głos mu świszczał niby brzeszczot, stał sie naraz władczy, rozkazujący i nieubłagany. Relacyę marszałkowską schował i odprawiwszy oficyera i Łobarzewskiego, szepnął: — Ach, ci zelanci zmuszają mnie do postąpień wbrew życzeniom serca. Protestacye zgubne dla kraju fanfaronady! — Mości majorze — zawołał nagle za oddalającym się — w dni sejmowe nie przetrzymuj kompanii przy stołach, niechże na sejmie wypełniają swoją powinność! Chodźmy, kasztelanie, do róż, jakie mi dzisiaj ofiarowała księżna Radziwiłłowa. Zobaczysz cuda.

W końcu tarasu różany gaj, podobien do gorejących krwawo płomieni, dyszał odurzającymi zapachami: były w nim róże, niby stężałe płaty krwi, były jak ta-

jemniczo lśniące karbunkuły, jak rozkoszą spalone tchnienia, jak usta nienasycone pożądaniem i uśmiechy anielskich obietnic, wtulone w pąki warg dziewczęcych, były jak krzyk mdlejący w pustce i jak rozpacznie daremne wyzwania; były krwawe, jak rany wiecznie żywe, były okrutne wyniosłością i w tragicznej urodzie jedyne; lecz były też czarem nocy czerwcowych opite, zapachów pełne i takiej piękności, że jeno sennym zjawom podobne.

Purpurowa pieśń zdała się dobywać z onego gaju i bić w niebo, w słońce, we wszystek świat śpiewać tryumfalną gloryę upojenia.

Sievers całą istotnością zanurzał się w ten wonny, purpurowy obłok, obchodząc dokoła, tykał wyschłymi palcami chłodnawych płatków i tak satysfakcyonował rozmodloną duszę, aż mu oczy zachodziły bielmem rozkoszy i wstrząsał się z lubości. Napawał się barwami, brał je w pamięć zmysłów, odchodził z żalem i powracał jeszcze, nie mogąc się oderwać, ni dostatecznie nasycić.

Popiero lokaj, oznajmiający podany podwieczorek, wyrwał go z lubych kontemplacyi i zwrócił do stołu, gdzie już sadowiła się rozbawiona dzieciarnia pod okiem matek, wziął pierwsze miejsce pomiędzy nimi i niby dziadek najczulszy, sam rozdawał łakocie i pilnie łagodził wybuchające co chwila spory.

Kasztelan z Zarębą, zepchnięci na szary koniec, siedzieli obok siebie.

— Czy byłbyś gotów na dalszy wojaż? — zapytał cicho.

— Jesli ważne okolicznosci a wujaszek dobrodziej rozkaże...

— Pojechałbyś do Petersburga, jako towarzysz tego, który powiezie traktat...

Oniemiałe oczy podniósł na kasztelana i znowu posłyszał:

— Bądź gotowy na każdy wypadek... wielu już zabiega o ten zaszczyt, ja pragnę go dla ciebie. Ani pary z ust o tem! Staraj sobie ująć ambasadora...

Powstały nagle rumory, liberya bowiem wnosiła spore łuby, z których Sievers jął wydobywać kosztowne suweniry i rozdawać je dzieciom wśród szalonych wybuchów radości; damy rozczulały się do łez jego wspaniałomyślną dobrocią.

— Chodźmy na promenadę — zaproponowała Iza — nie znoszę wrzasków.

Zaręba podniósł się posłusznie i poszli drożyną pod szpalerami.

Boguwole gwizdały im nad głowami, przelatując z drzewa na drzewo, cierpki zapach świeżo ciętych bukszpanów drażnił nozdrza; słońce było już nizko i chłód zawiewał od pól. Szli w milczeniu, często podnosząc na siebie oczy, czegoś niepewni oboje, wzruszeni oboje, z rozkołatanemi sercami oboje. Coś nagle stawało się pomiędzy niemi, jeszcze nikłe, niby pajęczyny, jeszcze łamliwe i trwożne, ale już obmotujące ich jakby w kokon przeczuwań tego, co ma przyjść za chwilę. Zaręba poczuł, jako coś musi się stać niechybnie: powiedziały to jej oczy dziwnie świecące, a zarazem nieprzytomne, jej zadumana twarz, jej usta roz-

drgane i jakby z trudem powstrzymujące jakiś krzyk. Szła nieco pochylona, skupiona w sobie, jakby szła naprzeciw czegoś dawno wyczekiwanego. Jakieś wichry ją szarpały, jakieś myśli kłębiły się pod czaszką i pierś rozpierały czucia gwałtowne, gdyz bił od niej gorączkowy niepokój. Szła coraz prędzej, obtulając się nerwowo w złoty szal, spadający jej co chwila z ramion.

— Pamiętasz nasze spacery w Górach? — spytała, przystając nagle.

— Radbym o nich zapomniał — padła odpowiedź, nie poradził jej powstrzymać.

— Dlaczego? — rzuciła krótko, blednąc straszliwie.

Mróz przeszył mu serce, lecz zlitowawszy się jej bladości, rzekł śpiesznie:

— Wydajesz się być zmęczoną, usiądźmy...

— Dlaczego?—powtórzyła, jakby wywołując cios, na który już oczekiwała z pochyloną głową i zamierającem sercem.

— Aby nie pamiętać twoich zdrad — uderzył kamiennym głosem.

Osunęła się na ławę, ukrytą w niszy szpaleru, łzawy żal wyjrzał z jej rozgorzałych oczu i czoło osnuwało się palącym cieniem wstydu.

— Chciałaś, tom ci rzekł. Zdradziłaś mnie, byłaś moją wobec Boga i przysiąg, ufałem ci, a poszłaś za innego! Zniewoliła cię przynęta bogactw i swawoli — ciągnął nieubłaganie. — Czy ty rozumiesz mowę nieszczęścia? Prawda, ciągłe bale, asamble i amuretki nie

dały ci sposobnego do zastanowienia czasu — szydził uniesiony gwałtownym przypływem żalów. — Nie kochałaś mnie nigdy i kłamliwemi były twoje przysięgi, kłamliwymi twoje całunki, kłamliwem wszystko. Ćwiczyłaś się tylko na mnie, przymierzałaś na mojem sercu swoje zaloty, niby stroiki na kukle, dla zabawy jeno i wprawy!

— Sewer! — jęknęła — Sewer, menażuj mnie.

— Sponiewierałaś mnie, ale i sponiewierałaś siebie — syczał i ogarnięty szałem mściwego okrucieństwa, jął wymawiać wszystkie jej przewiny. Nie darował jej niczego, a cale niedobieranemi słowy smagał dziką, kąśliwą wzgardą. Przyszła mu nareszcie ta upragniona chwila zapłaty za wszystkie udręczenia i rozpacze. Oto siedziała przed nim z twarzą zalaną łzami, wystawiona jakby pod pręgierz, ledwie już żywa z bólu, lecz zarazem taka bezbronna, męczeńska i smutna, że naraz chwyciła go litość. Nie było już bowiem tamtej, pięknej i wyniosłej szambelanowej, damy królewskich salonów, nie było nawet tamtej, dawnej Izy z Gór, a jeno jakaś nieszczęsna dusza, bijąca się w męce, targana szponami zgryzot i rozpaczy.

Uląkł się własnego dzieła, nie wiedząc teraz, co począć, gdy ona podniosła na niego przełzawione oczy i przez błyskający tkliwością uśmiech szepnęła:

— Kocham cię, kocham cię zawsze!

Porwał się precz, jakby odtrącony strachem, tak jej niespodziewane słowa wydały się obłędne i zgoła niepodobne do wiary. Jakiś zawrotny dur go pochwycił, że stał, nic nie pojmując i wszystek w lodowatym

dreszczu, patrzył w jej oczy rozwarte szeroko, jak w złowrogie przepaści. Naraz piorunowy błysk przeszył mu serce, omroczone trwogą i zalał ślepiącą radością — oto zrozumiał prawdę jej słów i uwierzył w cud. Porwany płomienistym wichrem, rzucił się do jej stóp, w jej objęcia rozchylone, niby wrota rajów. Co mu było wieczną tęsknotą, spłynęło teraz świętą łaską szczęścia, słonecznym hymnem miłości. Ogarnął ją żarem uniesień i miłowania, zcałował wszystkie łzy i taką mocą uczucia przejął, że spragnionemi usty szukała jego ust, że każde jej spojrzenie było pocałunkiem, a każdy pocałunek wyznaniem, przysięgą i ognistem oddawaniem się na śmierć i życie. Jej szepty, sycone namiętnym warem, przesłodką litanią osnuły mu duszę, iż wszystką rozkosz kochania poczuł i szczęście wszystkiego żywota.

— Daj ust, daj jeszcze! — bełkotał, pijąc z nich nienasycenie.

— Lituj się, zamrę... — szepnęła mdlejąco, aż wypuścił ją z ramion, sam również nieprzytomny i ślepy od żarów. Lecz nim nabrał tchu i zdołał powiązać rozpierzchłe myśli, poczuł znowu na ustach jej palące usta, i nowe fale warów grążyły go na dno niewypowiedzianej rozkoszy.

Od tarasu zabrzmiały wrzaski dzieci, więc powstali śpiesznie i trzymając się za ręce, jak niegdyś w Górach, przemknęli się w park, za szpalery.

Objęła ich cisza, chłód i zieleń, przesiana czerwonawym brzaskiem zachodzącego słońca, wyniosłe brzozy

bieliły się bez ruchu, a tylko mdły narod krzaków szemrał i trząsł się lękliwie.

Poszli jakąś drożyną, nie wiedząc gdzie i po co, lecz już jedni czuciem i jedni szczęśliwością. Milczeli: starczył im uścisk dłoni, głębokie zajrzenie sobie w oczy, czasem szept, spływający wraz z pocałunkiem. Dusze ich brały w siebie uciszenie tych drzew, ekstatyczną cichość zapominań i przebaczenia.

Czasem patrzyli w słońce widne między pniami, to zaczynali uciekać, niby spłoszone dzieci, kryć się po gęstwach i cieniach: niekiedy przysiadali na darniowych ławkach, obsadzonych leszczyną, by się skrzepić pocałunkami, szeptać w sekrecie tkliwe słówka, śmiać się z byle czego i pierzchać za lada przyczyną, jak niegdyś w Górach.

Wyszli do jakiegoś sadu i zagrodziły im drogę gałęzie ciężarne jabłkami, spodem słał się zielony kobierzec traw, gęsto przetkanych kwiatami, kręta ścieżyna prowadziła w głąb. Poszli za nią bez wahania. Po drodze zerwała jabłko, nadgryzła i podała mu ze śmiechem.

— I Adam zjadł i został wypędzony z raju. O Ewo kusicielko, Ewo! — śmiał się radośnie.

— To Adam, ale Sewer zjadł i został wpuszczony do raju. Posłuchaj, a wejdziesz.

Jakoż wnet wyszli na łączkę przerzniętą srebrzystym strumykiem i pełną niezapominajek; pasło się na niej stadko białych owiec i swawoliły jagnięta w niebieskich obrożach. Jakiś paysan, wsparty malowniczo

na zakrzywionym kiju, z piszczałką przy wargach, przybrany cudacznie we wstęgi, stał niby na straży.

— Jakby zywcem przeniesione z francuskiego kopersztychu! — dziwował się, ale zdumienie jeszcze wzrosło, gdy go wprowadziła do maleńkiej zagrody, za wyplatany łoziną płotek, gdzie stała nizka chata, pokryta słomą, z boku tuliła się obórka, przy której wesoło machał ogonem srogi bryś na łańcuchu i krzekotało stadko kur. Przyzbę chaty wysłano darniną, pod progiem żółcił się piasek, przytrząśnięty sosnowem igliwiem, na dachu sprośnie gruchały gołębie, zaś nade drzwiami, wywartemi na rozcież, pucołowate amorki dźwigały białą tablicę, gdzie w otoku bluszczów czerwieniły się słowa Vergila:

»Amor omnia vincit et nos cedamus amori«.

W progu stała hoża pasterka, przystrojona w kwiaty i wstęgi, zaplecione w loki kunsztownie pozawijane i pochylając się im do nóg, zapraszała w gościnę do ośmiokątnej izby, udającej chłopską, zastawionej prostym sprzętem, ale obwieszonej gobelinami, wyrażającymi tkliwe, pasterskie historye.

— Chloe w zjawionej postaci, zgoła jakby na teatrum! — wołał żartobliwie.

— Tutaj miał się odprawiać dzisiejszy podwieczorek, ale z przyczyny rannego deszczu ambasador wybrał taras. Ależ tu ślicznie! — unosiła się zachwytem.

Jakieś wrzawy buchnęły z głębi chaty wraz z przytłumionymi brzękami mandolin.

Zaręba pobiegł zobaczyć co to za brewerye.

— Oficyerskie sielanki — objaśniał po chwili — grenadyerscy pasterze pląsają ze swojemi pasterkami pod wtór bałabajek i tłuczonych flach. Wyjdźmy stąd.— Miała jakieś pytanie na ustach, ale, poniechawszy, szepnęła ze szczerym żalem: — Marzyłam słodką solitudę wraz z tobą, tymczasem musimy iść precz...

Przysiedli jednak pod chatą, gdyż we wrotniach zagrody ukazał się pasterz otoczony owcami, przygrywał na fujarce, a jagnięta, pobrzękując dzwoneczkami, czyniły dokoła niego ucieszne skoki.

Iza rozpływała się w uwielbieniach nad tym czułym aspektem, nie szczędząc przy tem pięknemu pasterzowi łaskawych słów, a i srebrem brzękających uznań.

I gdy się tak ciesząc wdzięcznym obrazem, przeplatali zabawę lubemi pieszczoty i całunkami, zjawił się nagle, jakby z pod ziemi, jej wierny kozaczek i jął coś szeptać w sekrecie.

Ściągnięciem brwi pokryła jakoweś zakłopotanie i odezwała się głośno:

— Powiedz, że zaraz przyjadę. Ruszaj! Szambelan ciężko zaniemógł i nie wypada mi pozostawiać go samym w takim stanie — objaśniała wielce zafrasowana.

Ta niespodziewana troskliwość o męża targnęła nim cichą zazdrością.

— A może to tylko kabała! — podjęła. — Bywało, wzywa mnie pod pretekstem nagłego pogorszenia, przychodzę, a on szydzi, bo jeno pragnął mi popsuć zabawę. On jest pełen takich niegodziwych forte-

lów. Nawet nie imaginujesz, co ja z nim wycierpię — westchnęła, podnosząc chusteczkę do suchych oczu.

Wracali już do pałacu. Zachodnia strona nieba stała w krwawych łunach, że cały park zrumienił się od pożogi, a białe gzła brzóz polśniewały purpurą.

Z gąszczów szemrały świergoty zasypiających ptaków i rozpływały się duszące zapachy. Modrawe przysłony zmierzchów spływały zwolna na świat.

Szli przytuleni do siebie, splątani ramionami, jakby wrośnięci w siebie. Iza żałośnie, zmęczonym głosem wyskarżała się na swoją dolę nieszczęsną i męża.

— Zawsze pora do wyrzucenia go za drzwi i separacyi — przerwał porywczo.

— Papa już się radził jurystów. Znajdują jakieś trudności, a przytem szambelan nie chce się zgodzić. Boże, czemu mnie przyniewolili do małżeństwa?

Miał już na ustach pytanie o rzekomej deklaracyi Cycyanowa, lecz się powstrzymał i tylko szepnął posępnie:

— Mszczą się na tobie złamane przysięgi! — Wzdrygnął się cały.

Zamknęła mu usta pocałunkami, oplotła sobą, wpiła się w niego, że, porwany nową falą żarów. zdał się na łaskę jej szczodrobliwej miłości, nie pomnąc już o niczem, nawet i o sobie.

Spłoszyły ich dopiero jakieś śpiewy i brzęki klawecynu.

— Niechaj nie czekam nadaremnie — szepnęła z ostatnim pocałunkiem.

Próbował się usprawiedliwiać, wskazała blizkość pałacu i rzuciła:

— Kocham cię! Ostanie okno na ogrody, pamiętaj...

Na pałacowym tarasie pląsały dzieci dokoła arlekina, usadzonego na wysokim taborecie i śpiewały. Chór srebrzystych głosików podzwaniał, niby radosny chór ptasząt i niby rój motylów czy kwietnych płatków wirował w cichem, modrawem od zmierzchów powietrzu. Hr. Camelli przygrywała dyskretnie, a ten krąg zrumienionych twarzyczek, roziskrzonych oczów i powiewających włosów i strojów kołysał się rytmicznie i zawodził z uniesieniem:

»Arlequin tient sa boutique
»Sur les marches du Palais,
»Il ensegne la musique
»A touts les petits valets«.

I teraz każde z osobna podchodziło do arlekina, dygało przed nim z wdzięcznym grymasem, a reszta śpiewała wesoło:

»Oui, Monsieur Po-
»Oui, Monsieur Li-
»Oui, Monsieur Chi-
»Oui, Monsieur Polichinel!«

Wybuchnęły burzą śmiechów, rzucając się na niego i szarpiąc na wsze strony.

Socyeta również zabawiała się wybornie, Sievers

zaś, rozrzewniony do łez, pierwszy gorąco aplauzował, nawet wtórując dalszym zwrotkom.

Iza wymknęła się niepostrzeżenie, tylko Zaręba, posłyszawszy turkoty jej pojazdu, coraz niecierpliwiej wyczekiwał końca zabawy, nudziła go bowiem setnie, a że przytem był jakby upity szczęściem i zgorączkowany, jął dość obcesowo poczynać sobie z damami ku ich widocznej kontentacyi.

Mrok już był zupełny, gdy się nareszcie znalazł na wolności i nie bacząc na wuja, który go chciał wieść do biskupa i tam szerzej rozważyć wszelakie ewenta wojażu do Petersburga, uciekł mu z przed pałacu, tak strasznie pragnął pozostać sam na sam z marzeniami o Izie.

Wieczór zapadał ciemny i chociaż na zachodzie jeszcze tliły się krwawe rozlewy zórz, niebo zaciągało się posępnie, chwilami zrywał się wiatr, drzewami szarpał i prześwistywał w ciemnych i pustych uliczkach, bowiem kamienice i dworki stały już czarne i szczelnie pozawierane, świeciło się tylko tu i owdzie w pałacach i na rogach ważniejszych ulic, gdzie kolebały się na sznurach latarnie, zaprowadzone dopiero czasu teraźniejszego sejmu, pod niemi zaś gęstem igliwiem bagnetów połśniewały ronty, pilnie bacące za powozami, a pieszych, jeśliby się nie wykazali pozwoleniem komendanta, obowiązane dostawiać na hauptwachę. Albowiem Grodno zostało podzielone na cztery kwartały i oddane pieczy czterech jegierskich batalionów, które każdej nocy gęstymi kordony, niby sieciami, obstawiały wyloty ulic, przejścia i domy, zamieszkane przez zna-

czniejszych zelantów. Szpice kozackie również patrolowały, wałęsając się po zaułkach i myszkując na swoją rękę.

Zasię, przy tak żarliwej trosce aliantów o spokojny sen powszechności, Grodno już o dziewiątej godzinie z wieczora brało pozór jakby wymarłego miasta, bo jeno z rzadka i to snadź z przymusu okoliczności, jeśli się przemykał jakiś człowiek, częściej natomiast szpieguny węszyły pod okiennicami, na podjazdach oświetlonych pałaców, lub przy kafenhauzach pozornie tylko zamkniętych.

Zarębie tak wrychle obmierzły sołdackie indagacye, że, spostrzegłszy pod pałacem Ogińskich jakiś powóz, zbliżył się z pewną propozycyą, lecz jakże się zdziwił, poznając służbę szambelana.

— Co wy tu robicie? Kto przyjechał?

Dowiedział się, jako szambelan był na wizycie u starej pani hetmanowej.

— Dawno jesteście? — spytał prawie bezwiednie.

— Przyjechalim prawie o piątej.

Odszedł bez słowa i stanąwszy w cieniu, jakby się zapatrzył w konie i ludzi.

— To dziwne, zachorzał ciężko i siedzi tyle godzin na wizycie. Co to znaczy? Od piątej! — snuły mu się niepokojące myśli. — Od piątej! A była już prawie ósma, jak ją wzywał do siebie. W tem jakaś kabała. Prawda, żaliła się, że jej niekiedy to urządza. Zupełnie w jego smaku. Bezsilne truchło, mści się szpilkowemi ukłuciami. Dziecinne zgoła sposoby. Naturalnie, wyrządził jej żakowskiego psikusa.

Wzruszył ramionami i poszedł ku domowi, grążąc się znowu w przypomnieniu niedawnych rozkoszy. Wszystko stało się tak nagle, a zwłaszcza tak nieoczekiwanie, że jeszcze nie wyzbył się oszołomienia, jeszcze nie mógł zebrać myśli.

— Zali to podobne do wiary? — pytał w zdumieniu — więc ona mnie kocha? — I odpowiedź czuł jeszcze na ustach spalonych jej całunkami, w tętnach lubością wzburzonego serca, w przejmujących dźwiękach jej przysiąg i zaklęć, a jednak zdało mu się to więcej snem, jakich już tyle prześnił, niżli prawdą.

Zapukał w umówiony sposób do swojej kwatery, gdy nagle wstrząsnęła nim myśl:

— A jeśli zmyśliła jego chorobę?

Kacper otworzył drzwi, stając w oczekującej pozycyi.

— Wrócę za chwilę, poczekaj — zaszeptał i nim tamten zdołał się odezwać, już go nie było, przepadł w nocy, jakby porwany huraganem.

— Ostatnie okno od sadu — powtarzał obłędnie, a z takiem uczuciem, jakby śpieszył na schadzkę upragnioną od wieków. Władał sobą doskonale, a zarazem duszę miał pełną dziwnego lęku i omroczony mózg.

Dom szambelana jeszcze świecił paru oknami; w kącie bramy, wywartej na rozcież, przy jakimś mdłym kaganku, służba grała tak zajadle w chapankę, że nikt go nie zauważył; na schodach było pusto i ciemno, w przedpokoju zaś pierwszego piętra, wciśnięty w kąt, chrapał jakiś żołnierz i ani drgnął na jego wejście.

— Patrzy na czyjegoś ordynansa! — oślizgłe po-

dejrzenie przeszyło go na wskroś. W sali paliła się olejna lampka, w sąsiednim pokoju było ciemno, jak również i w następnym, dopiero w ostatnim, właśnie tam, gdzie było »ostatnie okno od sadu«, cisnęło się światło przez przywarte zaledwie drzwi.

Kobierce tłumiły kroki. Szedł, nie bacząc już na nic, niezdolny do powstrzymania się ni odwrotu, jak w ataku, jeno że szedł coraz wolniej i ciężej się dźwigał na stromy szaniec, gdzie nań czekało zwycięstwo lub śmierć.

Naraz sperlony śmiech rozprysnął się kaskadą i jakieś namiętne szepty. Zatrząsł się i bezwiednie zmacawszy rękojeść szpady, pchnął drzwi.

W szerokiej, nizkiej markizie siedziała Iza z Zubowem. Byli splątani uściskiem, zwarci, jakby stopieni ze sobą w ognistych pocałunkach. Kandelabr, świecący z boku, straszliwie uwidoczniał tę całą scenę

Na skrzyp drzwi, Iza, wyrwawszy się z objęć kochanka, stanęła w skamienieniu.

— Nie przeszkadzam, baw się dalej — rzucił z galantuomnym ukłonem, cofając się za próg. Postąpiła za nim parę kroków, jakby pragnąc przemówić.

Wyszedł wolno, automatycznym krokiem stracenca.

W owych to chwilach, najkrwawszym z wysiłków wyszarpał ją ze swojego serca na zawsze. Umarła w nim nagle ta śniona od dzieciństwa, więc ją pogrzebał wraz ze swojemi marzeniami młodości i przywalił ciężkim kamieniem wzgardy. Ta zaś, jaką później spotykał na świecie, była mu już zgoła obcą i obojętną, widział ją tylko gamratką, jakich nie brakowało w ów-

odrzucił zuchwale, aż Narbutt poczerwieniał i syknął w alteracyi:

— Snadź edukacyę brałeś za trzodą, kiedyś grubianin!

— Co kogo boli, o tem mówić woli! — odciął kwestarz, pokornie schylając głowę, a podnosząc skarbonę.

Młodzież zaczęła się uśmiechać, Narbutt zaś, już do żywego dojęty, stuknął gałką laski w jego tonsurę i rzekł wymuszenie:

— Próżno tu czego szukać, kiedy huczy, jak w pustej stodole.

— Fronti nulla fides! — szepnął skromnie. — Zresztą, bitemu milczeć przystoi, bo jak mój przeor powiada: »szkoda balsamu do kapusty, a różanego olejku na buty«.

Tu już gruchnął śmiech powszechny, że aż się brali za boki, z czego korzystając, Bernardyn przysunął się do Zaręby i trzęsąc skarboną, szepnął:

— Kacper nie wrócił. Markietan czeka! — i odszedł zwolna, potrząsając skarboną i nie bacząc na kpiny, ni nawet dość przykre szturchańce.

Zaręba, pomimo zaniepokojenia o losy Kacpra, wysłanego do spenetrowania Merecza na okoliczność wyprawy Kaczanowskiego, pozostał jeszcze pod Kafenhauzem, przyglądając się nieskończonej defiladzie pojazdów, pora bowiem była przedwieczorna i wszystka socyeta wyjeżdżała na miasto zażywać chłodu i powietrza. Kłaniał się też co chwila znajomym: przejechał kasztelan z Izą i Terenią, Marcin zaś odprawował asystę

przy drzwiczkach na ognistym kasztanie; jechała księżna Radziwiłłowa z p. Ożarowską, we cztery siwe araby, przystrojone na łbach w czerwone pióropusze; przejechały barwy królewskie, wiozące na Zamek p. Tyszkiewiczową; jechała hr. Camelli w wązkiej visavis'ie ze swoim bratem, Martinim i na ukłon Zaręby odpowiedziała wielce czułym uśmiechem, aż Woyna westchnął zazdrośnie.

— Gdybyż tak pod moim adresem! Piękna dyablica! A tamta chyba jeszcze groźniejsza! — dorzucił, pochylając się dwornie przed margrabianką Luhlli, siedzącą w kanarkowo-czerwonym powozie w towarzystwie kawalera Litlplage.

— Obie-bym wydał pod pręgierz! — odburknął niecierpliwie.

— Nawet Inflantczyk promenuje się dzisiaj — szepnął ktoś, ujrzawszy biskupa Kossakowskiego, jadącego z panią Zabiełłową i chudym kapelanem.

— Jakżeż ci smakują jego służby? — rzucił cichutko Woyna.

— Przydałbym go tamtym damom za socyusza, jeno nieco wyżej...

— Tak cię rozumiałem — powiedział, jakby uradowany jego tonem. — Pono chciał zelantom płacić po sto dukatów za poniechanie opozycyi na dzień ratyfikacyi traktatu z Rosyą, prawdaż to?

— Prawda, jeno że nie zjurgieltował ani jednego. I bez nich ma większość!

— Albo ją kupi. Kiedyż ratyfikacya?

— Niby w sobotę, ale dopiero w poniedziałek

może się dostać na turnus, a może się jeszcze uda przewlec, a może coś jeszcze przeszkodzi...

— Trumna gotowa i wieko zapaść musi, grabarze czekają — wskazał Cycyanowa, który stał w swojem wisky, niby na tryumfalnym rydwanie, powodując czwórką karoszów, obwieszonych brzękadłami; von Blum siedział przy nim.

Zapatrzyli się w sznur powozów, co, niby wąż migocący farbami, wyginał się w różne strony i sunął nieustannie — aż ćmiło się w oczach od przepychu strojów, pięknych dam, pióropuszów, brylantowych trzęsień, liberyi, zaprzęgów, złoceń i bezcennych koni, a pogodne twarze, wesołe spojrzenia, wybuchy śmiechów i niemilknące gwary rozmów, nie dawały nawet pozorów, jako już nad wszystkimi pobrzękują kajdany, jako to jeden z ostatnich dni wolności...

— Chwałaż ci, Fortuno! — zawołał naraz Woyna, kłaniając się uniżenie jakiemuś przejeżdżającemu personatowi o czerwonej, okrągłej twarzy i czarnych wąsiskach zawadyacko wykręconych. — Mój ojciec chrzestny i opiekun! Anim się go spodział teraz w Grodnie. To wojewoda sieradzki, Walewski. Lecę, żeby mnie kto nie uprzedził w służbach, ale o twojej sprawie nie przepomnę.

Zaręba poszedł na pocztę, spodziewając się tam znaleźć markietana, o którym szepnął ojciec Serafin, gdy przed Dominikanami natknął się na Borysewicza. Majster był prosto od roboty, zachlapany wapnem i w fartuchu; zrobił znak wtajemniczonych i skręciwszy do kościoła w boczną nawę, jął trwożnie szeptać:

— Mój dom pod strażą jegierskich kordonów: kto się zjawi, tego zaraz ciągają na Horodnicę. Biegam, żeby ostrzedz naszych panów. Pana Krasnodębskiego nie puszczają ze stancyi, za przeproszeniem, nawet dla własnej potrzeby. Opowiadali na mieście, jak pana Łomżyńskiego wywieźli dzisiaj w nocy...

— Jeszcze nie, ale tak samo siedzi w domu pod strażą. Jakże się ma kapitan?

— Rano był u niego ksiądz Meier z Panem Jezusem.

— Co się stało? — strwożył się ogromnie — onegdaj zdawał się być zdrowym...

— Nie jest mu gorzej i dzisiaj — uśmiechnął się przebiegle. — Ale skoro jegry obstawiły wszystkie okna i drzwi, pan kapitan, wystrachawszy się o jakieś ważne papiery, kazał mi wołać księdza, jako niby do ciężko chorego... Juści, ksiądz wyniósł pod komżą co było potrza, ze Świętymi Sakramentami szedł, to któżby go śmiał podejrzewać! Pan Żukowski to fortelna głowa!

— Pozdróweież go odemnie — wyciągnął rękę, którą Borysewicz uścisnął bez uniżoności, a z wielką atencyą i rzekł tajemniczo:

— Jeszcze ździebko postawszy pod kościołem.

Zaręba nie przywiązywał wagi do uwięzienia w domu Krasnodębskiego i drugich patryotów, gdyż była to stała metoda Sieversa, że przed każdą ważniejszą sesyą sejmową próbował teroryzować opozycyonistów, zmuszając ich więzieniem i groźbą Sybiru do głosowania z powolną sobie większością, wiernych ojczy-

źnie nie przełamał, ale popędzał do żarliwości powolnych sobie.

W długim dziedzińcu poczty, cale obstawionym szopami, a zapchanym wszelakim sprzężajem, ledwie odszukał markidtana i pod pretekstem kupna furażów dla koni kazał się prowadzić do śpichlerza i tam dopiero, przy targach i oględzinach owsa, dowiedział się, jako wielki transport kożuchów jest gotowy do wysłania.

— Dwa tysiące sztuk, krótkie, akuratnie dla naszej kawaleryi — szeptał markietan, wskazując oczyma kupę nakrytą zielonemi płachtami, od której biły srogie fetory skór baranich. — Pułkownik Jasiński przysłał je w sianie Bieda, że dalej nie sposób tak samo transportować, przywozić zaś zwyczajnie nieprzespiecznie: mogą je alianci zarekwirować dla siebie...

Zaręba, który w takich okolicznościach łacno znajdował sposoby, zagadnął:

— Waść furażuje i armię Igelströma?

— Nie dawniej tygodnia wysłałem dla niego trzysta korcy owsa.

— To jesteśmy w domu — zaśmiał się wesoło.— Trzeba mu pchnąć i kożuchy...

— Można się ważyć — w lot pojął fortel porucznikowski. — Papiery i eskortę da mi generał Dunin, tylko jak transport dojdzie naszych składów?

— Eskorcie poskręca się karki, a kożuchy przepadną. Niech szukają...

— Azard to niemały, a jeśli się nie poszczęści?

— Wiele bryk i pod jakim konwojem? — pytał, zbywając milczeniem jego wątpliwości.

— Dziesięć i tyluż kozaków ze starszym: więcej się nie daje, boć trakt warszawski przespieczny i w każdem mieście po drodze stacyonują ich huzary.

— Dwudziestu gemeinów, przebranych za koniuchów, da sobie z nimi radę, byle jeno mieli broń na podorędziu i sprawną komendę.

— Kacper byłby najsposobniejszy.

— Potrzebny mi tutaj. Dam jednego Warszawiaka: ultaj i obwieś, ale jedyny, gdzie trzeba otumanić i wywieść w pole. Przyślę go jeszcze dzisiaj. A waszmość winien się ubezpieczyć na każdą okoliczność: stawka niemała.

— Codzień azarduje się głowę. Może waszmość obejrzy konia, cudo prawdziwe — przemówił naraz głośno, zoczywszy jakichś ludzi — postawił go do przedania pan kapitan von Blum. — Krzyknął na swoich Tatarów, żeby konia prowadzili ha okólnik.

— Pono zdobyczny pod Mirem — objaśniał tonem niedowierzania.

— Prędzej w cudzej stajni — odrzekł i obejrzawszy konia, zresztą cale godnego, pojechał do domu, bo już był i wieczór zapadał.

Kacpra nie było jeszcze, Kaczanowski chrapał w swojej stancyi, jakby po gorących dyskursach z flachami, a Staszek wyśpiewywał gdzieś w stajni pod wtór Maciusiowej fujarki, aż się rozlegało.

Kapitan opierał się przeznaczeniu Staszka do prowadzenia transportu, ale chłopak, skoro się o tem do-

wiedział, rymnął mu do nóg i tak gorąco suplikował, że zgodzić się musiał, boć i Zaręba dał swoje racye.

— Żebym szedł na czworakach i nosem się podpierał, a wszystko sprawię akuratnie, wedle rozkazu — szeptał, ledwie dysząc z radości. Zaraz też poleciał do markietana i zjawił się dopiero, gdy już transport był gotowy do drogi.

Ledwie go poznał Zaręba, tak był przemieniony, stanął bowiem przed nim w ogromnym kożuchu, rozchełstanym na piersiach i w zgrzebnej koszuli; łapcie miał na nogach, baranią czapę w garści, minę gapia i cuchnął stajnią, aż wierciło w nozdrzach.

— Melduję pokornie: o świcie ruszamy — sprężył się bezwiednie.

— Jedźże z Bogiem — dał mu parę dukatów i szczegółową instrukcyę. — A uważaj: dowieziesz, czeka cię szarża; zaś pokpisz sprawę, kozacy cię powieszą.

— Proszę pana porucznika, rodzony syn mojego ojca wisiał nie będzie — zapewniał z zapalczywością. — Niech jeno źdźiebko pociągnę nosem warszawskich frykasów, a stawię się.

Bardzo czule pożegnał go Kaczanowski, bo trzasnął go w kark i krzyknął:

— A zbłaźnij się, to ci nakuję pyska, że cię rodzona matka nie pozna nawet na sądzie ostatecznym.— I wyszedł srodze nabzdyczony, nie omieszkując jednak wetknąć mu w garść paru złotówek, aż Staszek zapłakał rzewliwie, wyznając się w sieniach Maciusiowi.

— Psia twarz, taka mnie tęskność rozbiera za

Warszawą, że chyba na rogatce pierwszemu lepszemu Żydowinowi pejsy obtargam z radości.

— Pachną ci warszawskie kiecki — zachichotał Maciusiowy bas.

— Głupiś, pachnie mi, ale matusina łaska.

Zaręba nie słyszał więcej, bo i w nim wzbudziła się naraz tęsknota za matką, która tam napróżno wyczekiwała jego powrotu. Serce mu nabrzmiewało tkliwością wspomnień rodzinnych i rozrzewnieniem, więc, żeby się im nie pozwolić opanować, rozprawił się z Maciusiem, awansując go z forysia na przybocznego ordynansa, na czas nieobecności Kacpra. Parob stanął w ponsach, a pucołowata, ogromna twarz zaświeciła mu radością; rozrosły był jak dąb, chociaż jego niebieskie, lniane oczy miały dziecinną słodycz i naiwność; ponad wszystko kochał swoje konie, potem swojego pana i żołnierkę, w bitwach stawał tak zajadle, że jak wypadła okoliczność, to pazurami dusił wrogów; mocny też był, jak niedźwiedź, harmatę mógł ruszyć z miejsca i konia podnosił na barach, ale przy tem wszystkiem nie rzadko brał kije za rozpustę, pijaństwo i niesubordynacyę. Zaręba dostał go wraz z Kacprem, od ojca, jeszcze do kadetów i kochał obu prawie, jak braci.

— Wedle rozkazu pana porucznika — odrzekł po chwili, dobrze ułożywszy sobie w głowie, co usłyszał — to konie po mnie weźmie Pietrek? — spytał trwożliwie.

— Juści, ale miej oko na stajnię, nie chlaj i nie zadawaj się z bele kim, rozumiesz?

— Wedle rozkazu — aż mu gnaty trzeszczały, tak się sprężył — zaś bułanków Pietrkowi nie ustąpię — wykrztusił zdeterminowany na wszystko.

— Na lewo zwrot, marsz! — skomenderował zniecierpliwiony, zabierając się do wyjścia.

Maciuś jednak za wygraną nie dał, bo w sieniach zaparł mu drogę, za nogi ułapił i całując po kolanach, skomlał płaczliwie:

— Melduję pokornie, jako tej trąbie Pietrkowi za wołami chodzić, a nie kumać się z ogierami. Już kamieniem doma siedział będę, gorzałki nawet nie powącham, ale i koni nie oddam. Loboga, zmarnują się sieroty przeze mnie, zmarnują.

— Rzekłem. Odstąp! — zawołał groźnie i poszedł do ojca Serafina, by go wyprawić na poszukiwanie Kacpra. Zasię potem przemykał się zaułkami na kwatery delegatów, jacy się byli zjeżdżali ze wszystkiej Rzeczypospolitej; miało ich się zebrać od wojska i województw kilkunastu. Ściągali do Grodna pod przeróżnymi pretekstami a przebraniami, byle nie zwrócić na siebie uwagi szpiegunów. Zwłaszcza, że ostatnie dni były przesycone dziwnie gorączkową atmosferą niepokojących podejrzeń, złowrogich pogłosek i trwożnych wyczekiwań. Niepokój przy tem budziły coraz większe masy wojsk alianckich, zalewające Grodno, coraz częstsze aresztowania posłów i szepty o tajnie, nocami wywożonych na Sybir. Zasię odgłosy obrad sejmowych jakby dolewały jeszcze oliwy do ognia, sesye bowiem bywały coraz burzliwsze, przeciągały się nad miarę, gdyż Buchholtz słał ciągle noty do Najjaśniejszych Stanów, trzy-

mane w takim extraordynaryjnym i obrażliwym tome, że jątrzyły nawet najpowolniejszych konfidentów Sieversa i zapalały nienawiść w całej powszechności. Na taką zuchwałość, patryoci każdego dnia i w słowach najczulszych zaklinali sejmujące Stany, aby zupełnie nie traktować z królem pruskim, piętnując jego zbójeckie praktyki, jego przeniewierstwa i podłe zdrady. I nie policzyć tych wierszyków, gazetek pisanych, paszkwilów i pism przesyconych nienawiścią do niego, jakie kursowały wśród publiczności. Już nie pytano, jak czasu bywszego sejmu: z Fryderykiem czy z Katarzyną? Powszechność bowiem gotowa była do sojuszu nawet ze wściekłym psem, byle się jeno przyczynił do wygniecenia plugawego prusactwa. A już sprawa zagarniętej przez Prusy Częstochowy rozniecała burzliwe manifestacye nienawiści; szlachta, trzaskając w szable, przysięgała zginąć raczej, niźli pozwolić profanacyi świętego miejsca.

Takie okoliczności snadź szły na rękę Sieversowym zamysłom, bo często jeno figurycznie, ale częściej sub secreto, podsycał opór przeciw uroszczeniom pruskim, dając obłudnie rozumieć, jako tylko do pory sposobnej toleruje się ich piekielne machinacye, a jakby na przekonanie o swojej szczerości, bardzo wstrzemięźliwie forytował na sejmie Buchholtzowe noty, więc tem skwapliwiej ślubowano wierność Wspaniałomyślnej Aliantce i tem szczerzej dufano w gwarancye.

## VIII.

A tymczasem nadszedł pamiętny dzień 17 sierpnia

Dzień wstał był jasny, słoneczny i obficie oroszony, ale wkrótce po wschodzie podniósł się suchy wiatr i tak żarliwie zamiatał ulice, że miasto utonęło w duszących tumanach pyłów; nie przeszkadzało to fakcyonistom, bo już od wczesnego ranka zapanował pomiędzy nimi gorączkowy ruch; jęli się uwijać Sieversowi konfidenci, objeżdżając poselskie kwatery. Jeździł Marszałek Bieliński, jeździł Miączyński, jeździł Łobarzewski, jeździł biskup Massalski, jeździli różni dygnitarze, zwłaszcza litewscy. Latały gońce z listami, galopowali konni, snuły się różnobarwne liberye, widniały nawet królewskie barwy, roznoszące pisma pod pieczęciami kancelaryi sejmowej. Zaś u Ankwicza, jakby w hetmańskiej kwaterze przed bitwą, odbywały się nieustające narady i próbne liczenie głosów; formowano tabelę pewnych, dawano dyspozycye, rozdzielano role i układano plantę działania na każdą okoliczność walki z opozycyonistami.

Sesya była solwowana na czwartą z południa, lecz jeszcze o drugiej nie mając absolutnej pewności

wygranej, posłano Boscampa i Nowakowskiego, aby tym, którzy się chwiali, lub ulegli nagłym skrupułom sumienia, lub chcieli się drożej sprzedać — przemówili, gdzie brzękiem złota, gdzie obietnicą królewskich faworów, gdzie pogrozą ambasadorskich gniewów, albo i politycznemi racyami. Na opozycyę, zwłaszcza do znaczniejszych person, wypuszczono kasztelana, który w miarę okoliczności przyodziewał się w senatorską powagę, to w rubaszność brata łaty, to w rozum męża in statu i głębokie maximy, próbując tem kusić a przyniewalać. Sporo zelantów deklarowało się przejść do większości, nie widząc możności dalszego oporu, więc, uradowany powodzeniem, zajechał i do Skarzyńskiego-Łomżyńskiego. Krzywousty przyjął go chłodno, cierpliwie wysłuchując kwiecistej oracyi o błogościach, jakie spłyną na kraj z ratyfikacyi traktatu z Rosyą, lecz w końcu, znużony brzękliwością jego głosu, wyrzekł godnie:

— Co powinienem ojczyźnie, wiem i będę głosował zgodnie ze sumieniem.

Wtedy kasztelan wynosząc jego rozum i patryotyzm, jął napomykać o jakiejś wakującej kasztelanii którąby król rad ferował tak zasłużonemu obywatelowi.

— Każdy stołek znaczy mi tyleż, co i senatorskie krzesło — zakończył rozmowę.

Rozeszli się prawie wrogo, niezrażony jednak kasztelan pojechał próbować szczęścia jeszcze u Krasnodębskiego. Lecz i ten nie okazał się powolniejszym, bo, wysłuchawszy jego uwodzących racyi, podprowadził go do okna i, wskazując grenadyera, wartującego pod domem, wyrznął prosto z mostu:

— Pilno panu kasztelanowi zostać jego parobkiem, mnie zaś cale się nie śpieszy.

Na takie dictum kasztelan wyniósł się, aż przysapując z altenacyi, ale spotkawszy w sieni Zarębę, wychodzącego od Żukowskiego, rozjaśnił oblicze.

— Odwiedzałem chorego towarzysza — objaśnił krótko. — Czy wuj prosto na sejm?

— Muszę jeszcze wstąpić do domu, siadaj ze mną — warknął i dopiero w powozie puścił wodze żalom i rankorom przytajonym, czyniąc zelantów sprawcami nieomal wszystkich klęsk publicznych. — Na szczęście — zakonkludował przy wysiadaniu — jako większość po stronie patryotów i ludzi miarkowanych rozumem opinii, która nie pozwoli się zmajoryzować demagogom i pyskaczom sejmikowym.

— Tem ci fortunniej dla ojczyzny! — bąknął Zaręba, idąc za nim.

— Zajrzyj do kobiet, dam tylko dyspozycye Klotzemu i zaraz jedziemy.

W sali nie liczna, ale wybrana socyeta dam, z szambelanową na czele, obsiadła zwartym kręgiem jakiegoś francuskiego fircyka, który, demonstrując kukły, przystrojone wedle ostatniej mody, przywiezione prosto z Paryża, prawił nieustannie i zarazem wyciągał z pudeł coraz nowe stroiki, wstęgi, świecidła, jakby z pajęczyn utkane szale, kapelusze i wszystko to rzucał na wyciągnięte łakome ręce pań a gdy się już nieco nasyciły zasypał je niespodzianie jakby ulewą jedwabnych eternelów, damisów, barakanów, szarszedronów, pik, kamlo-

tów, dym i atłasów — stożąc przed ich olśnionemi oczami jako chmury mieniące się wszystkiemi farbami tęczy.

Damy oniemiały wobec takich cudów i, nurzając lubieżnie ręce w jedwabiach i napawając się ich chrzęstem, barwą i miękkością, pokazywały się być w niebowzięte z rozkoszy. Zaś francuski handlarz, jako mistrz prawdziwy nie pozwolił im ochłonąć, bo w jakiejś upatrzonej chwili błysnął przed niemi sepetem, wypełnionym po wręby klejnotami. Podniósł się szmer modlitewnych uwielbień. — Charmant! — wołała jedna z oczami pełnemi łez. — Magnifique! — łkała jakaś dusza wstępująca do rajów. — Délicieux! — płynęło ekstatyczne westchnienie. — Inouï! — śpiewały mdlejące głosy upojeń.

— Madame la princesse, s'il vous plaît — zaszczebiotał kupczyk i z małpią zręcznością przystroił którąś w sznury pereł.

— Madame la comtesse, s'il vous plaît — i drugą przyozdobił w szmaragdy.

— Madame la baronne, s'il vous plaît — dyamenty innej wpiął we włosy.

— Madame la marquise, s'il vous plaît — pierścionkami zdobił piękne paluszki.

Skakał przytem, niby pajac, kłaniał się, uśmiechał, rozpływał w zachwytach nad każdą z osobna, podawał zwierciadło i coraz nowe klejnoty.

— Prawdziwy sabat próżności! — drwił, zanosząc się śmiechem szambelan, siedzący pod oknem z Kubusiem przy boku, gdy Zaręba podszedł do niego.

— Każdy się modli do swojego boga — odparł, kierując się do kasztelanowej, jak zawsze przerażająco

bladej, niby luna spowinięta w krepy, która siedziała na stronie z błędnym uśmiechem na ustach.

— Prosiłam Kapostasa i postawił ci horoskop — szepnęła, przytrzymując mu rękę.

— Wyszło, że zginę na wojnie, albo dożyję lat sędziwych — żartował.

— Nie — zawahała się chwilę — czekają cię pono długie wojaże...

— Może to znaczyć: po Sybirze! — wzdrygnął się — zobaczymy, co to warte jego profetowania — odpowiedział i wyszedł, gdyż kasztelan przysłał po niego.

Pojechali już prosto na sejm.

Plac podzamkowy był zapchany wojskami; grenadyerzy Cycyanowa obstawili gęstymi kordonami wyloty ulic, fosy, most, Niemnowe brzegi, a nawet i dziedziniec zamkowy, harmaty rychtowały swoje paszcze śpiżowe na Seym i miasto.

Generał Rautenfeld, ten ci sam, który miesiąc temu, siedział w pełnem uzbrojeniu na sesyi sejmowej obok tronu i bagnetami wymusił uchwalenie traktatu z Rosyą, dzisiaj również trzymał komendę i stojąc w wejściowym krużganku w otoczeniu oficerów, jakby czynił honory domu, witając nadjeżdżających posłów.

W ogromnej sieni sejmowej panował już niemały ruch i przytłumiony gwar; izba poselska zgromadziła się prawie w komplecie, czekano tylko na marszałka i wielkiego kanclerza: seryarz materyi mających iść dzisiaj ad turnum, krążył z rąk do rąk. Fakcyoniści jednak pomimo rozstrzygającej większości, jaką stanowili, poruszali się jakoś niespokojnie: jakieś karteluszki cho-

zdwojoną siłą rozpaczy, aż kartunowa zasłona w okienku nad tronem poruszyła się gwałtownie i mignęła z poza niej posiniała z gniewu twarz ambasadora, zasię we drzwiach ukazał się Rautenfeld, a za nim groźnie ściżbione bagnety grenadyerów.

Nie ulękli się tego wolni i wolności broniący obywatele, nie ustąpili, ale pomimo ich nadludzkich wysiłków i chociaż nikt nie dosłyszał ani słowa, sekretarz zdołał odczytać projekt do końca i siadł na swojem miejscu. Wtedy Zieliński zagrzmiał ogromnym głosem:

— Projekt taki może być tylko dziełem zdrajcy, a i ten, który zabiegał o jego odczytanie także jest zdrajcą.

Porwał się na to Ankwicz i, podbiegłszy do marszałka, krzyknął wzburzony:

— Sądu dopraszam się na siebie i pod laską staję. — On to wnosił o czytanie.

— I my żądamy sądu na siebie, i my stajemy pod laską! — zerwały się gwałtowne głosy i wszystka opozycya ruszyła do marszałkowskiego stołu. Ledwie Tyszkiewicz załagodził ten spór burzliwy, zaczem jął w czułem przemówieniu zalecać spokój i uleganie koniecznościom. Król również perswadował daremność oporów i wyznawał się łzawo, jako przystąpił do Konfederacyi Targowickiej tylko w imię gwarancyi całości Rzeczypospolitej, »na fundamencie deklaracyi imperatorowej, iż kraj nie będzie rozebrany — ale omylony zostałem«, więc nie zostaje, jak tylko pogodzić się z losem. A biskup Kossakowski wykrętnemi słowy dowodził, jako ten alians przyczyni tylko szczęścia skołatanej ojczyźnie

a pomyślności obywatelom. Miody, zdało się, płynęły z ust mówców, serdeczna jeno troska o powszechną szczęśliwość, górne maximy o powinnościach cnotliwych — że ławy większości zagrzmiały aplauzami głębokiej kontentacyi lecz opozycya pozostała niewzruszona i Mikorski wołał:

— Wolę raczej poledz na trupie ojczyzny, niźli żyć w wyrodka postaci. Niech ci, co są przyuczeni — patrzał groźnie na jurgieltników — wekslować honor i sławę na zysk osobisty, korzystają z tego szkaradnego przemysłu, ja obieram umierać cnotliwie i przeciwko traktatowi protestuję.

A Kimbar dorzucił jadowicie:

— Na cóż wam ratyfikacya, traktaty? Niepotrzebne to zgoła. Dosyć jest zapytać ambasadora, co wam rozkaże! Gwałt zaczął i gwałt dokończy...

W czasie tych przemówień, większość uformowała propozycyę złożoną do laski, a którą marszałek skwapliwie odczytał sejmującym stanom.

»Czyli projekt ratyfikacyi Traktatu z Rosyą może iść ad turnum, lub nie?«

Nowy huragan zatrząsł sejmem, zelanci bowiem opierali się propozycyi ze wszystkiej mocy, zabierając głos jeden po drugim — każdy zaś całą głębią serca i rozumu zaklinał i błagał zaślepionych o litość nad ojczyzną; każdy wystawiał przed ich nieczułe oczy niedolę matki, obnażał jej rany, i zmiłowania żebrał nad konającą w hańbie i opuszczeniu; każdy nad wydaną na łup dzikiego najeźdźcy płakał krwawemi łzami. Ale nie przebudziły się serca i sumienia zakamieniałe w nik-

czemnościach i podłym strachu, propozycya została przyjęta ogromną większością głosów.

Zaraz potem ogłoszono przerwę, gdyż wszyscy byli znużeni i zgorączkowani.

Zaręba wyszedł do sieni jakby z krzyża zdjęty, taki był blady i rozbolały.

— Wszystko zawotują — szepnął do Żukowskiego, siedzącego na tem samem miejscu.

— Póki tchu w naszych piersiach, póty nadziei! — odparł głośno, aż ten i ów, ćwiczący przy zastawionym stole smakowite antypasty, obejrzał się ciekawie.

Zasię po przerwie Zaręba nie kwapił się już do sali sejmowej, pozostał w sieniach, gdzie sporo różnych person tak samo ze drżeniem serca wyczekiwało rezultatów turnowania. Wszyscy byli miotani jednaką trwogą i w ponurem milczeniu nadsłuchiwali odgłosów nadpływających z izby. A burza znowu srożyła się tam nie mała, gdyż zelanci starali się na wszystkie sposoby nie dopuścić do głosowania i przewlec posiedzenie w tej nadziei, że król musi je solwować. Występowali więc coraz zajadlej i słowa jak uderzenia toporów i jak policzki spadały nieustannie na zaprzedaną większość, budząc gwałtowne protestacye i długie replikowania.

Niekiedy, skoro przymknęły się drzwi, wiodące do izby, w sieniach zalegało głuche milczenie, że jeno z dziedzińca szły odgłosy mierzonych kroków straży i świszczące mioty wichrów, krzyczących jakby przeciągłym jękiem milionów zaprzedawanych właśnie, jakby ich rozełzanym szlochem rozpaczy i żałośliwych wołań pomocy.

— Dyable wesele, czy co? — zaklął Kaczanowski,

zrywając się od pełnej szklenicy, kiedy wicher znowu uderzył zamiecią, od której zadygotały ściany i gasły światła. Wyjrzał na krużganek; noc była mętna i upalna, przez rozgwiażdżone niebo leciały białawe strzępy chmur; z fos zamkowych grały usypiające nukania żab, powietrze pachniało lipami, na grenadyerskich biwakach buchały kędzierzawe ogniska.

Jakże leniwo i ciężko wlekły się nieskończone godziny oczekiwań, jakimże dreszczem trwogi przejmował serca każdy dźwięk zegarów! A kiedy zasię przyszła północ, rozgłaszana trąbami straży zamkowych, zdało się, jakby stado piekielnych zmor napełniło sienie, i wybijały ostatnie chwile żywota; zabobonny lęk ogarnął poniektórych, żegnali się skwapliwie, kto pacierz zaszeptał gorący na intencyę ojczyzny konającej w tej godzinie, inni zaś pozrywali się z miejsc...

Ale posiedzenie trwało wciąż i trwała beznadziejna walka tej garści, co, niby załoga tonącego korabia, jeszcze opierała się rozszalałym szturmom fal i wszelakich potęg i ciemności; szli na dno, śmierć już powiewała nad nimi zwycięską chorągwią, głosy ich ginęły w rykach żywiołów, męstwo było daremne, ratunek niepodobny — ale walczyli do ostatniego tchu.

W izbie panował chaos, tumulty i szamotania; kłębowisko namiętności, rozjuszonych oporem, skowyczało wściekłością. Co chwila wybuchały particularne animozye i prawdziwe huragany wzajemnych rankorów i złorzeczeń, bowiem jakby szał ogarnął większość, tak namiętnie parli do zguby, gorączka ich trawiła, sumienie zaczynało kąsać, przepalał wstyd publicznie zarzu-

canych zdrad, więc byle rychlej dojść głosowania, byle rychlej stoczyć się w dół hańby, i zbrodni, byle rychlej, boć przytem i amb ador mógł się już zniecierpliwić przewlekłością deliberacyi, błyskały niekiedy jego niezadowolone spojrzenia i wzgardliwe uśmiechy, smagające niby biczami. Przyczaił się bowiem w tem oknie nad tronem, jak pająk w pośrodku sieci mądrze zaciągniętej, cierpliwie wyczekując niechybnego łupu.

Z kuchni królewskiej znoszono mu buliony i chłodniki dla skrzepienia nadwątlonych sił, a królewskie siostry przychodziły umilać jego samotność i nużące godziny wyczekiwań, lecz prowadząc galantuomne rozmowy, nie tracił ani wyrazu z mów opozycyonistów, rozsyłał ołówkiem pisane kartelusze z radami do króla, pouczał marszałka w materyi surowszego trzymania się regulaminów, budził żarliwość Kossakowskiego, konfidentom dawał nawet konspekty replikowań, polecał wyganiać arbitrów, wciskających się ustawicznie na galerye i niestrudzenie czuwał nad wszystkiem. Rautenfeld często zazierał pytać: zali już nie pora przemówić bagnetami? Nakazywał cierpliwą wyrozumiałość, żaląc się przed damami na zaślepienie opozycyjnych szaleńców! Wszak co tylko poczynał, miało jedynie na względzie pomyślność tych lekkomyślnych Polaków, których obiecywał uszczęśliwić nawet przekór ich samych. Więc gdy Ankwicz w jednej z mów powiedział: »bo dawne gwałty na osobach zmieniły się potem w gwałty, przeciw całemu krajowi wymierzone«, — posłał mu naganę za demagogiczne zwroty i rzekł zjadliwie:

— Hrabia skarbi sobie łaski zelantów na wszelką okoliczność.

Królewskie siostry nie znajdowały słów dosyć wielbiących jego ludzkość i szlachetność, więc im zato szeptał gorące pochwały brata, pokazując w nim wzniosły obraz monarchy, poświęconego tylko ciężkim obowiązkom uszczęśliwiania swoich poddanych. Roztkliwiał się do łez nad jego zmęczeniem, ale się nie zgodził na solwowanie sesyi do poniedziałku i zapowiedział, że nikogo nie wypuści z sejmu, dopóki nie uchwalą ratyfikacyi A kiedy mu zameldowali, jako już wszyscy upadali ze znużenia i wielu posłów zasypia, rzekł:

— Jeśli będą jeszcze dłużej przeciągali, to ich każę orzeźwić! — I polecił harmaty trzymać w pogotowiu, a dokoła Izby postawić zdwojone kordony.

Już druga dochodziła po północy, a posiedzenie jeszcze się ciągło, gdyż zelanci zgoła nadludzkiemi siłami starali się je wciąż przewlekać.

Zmieniono już świece w pająkach, wielu posłów drzemało w cieniach galeryi, nawet służba wyprężona przy drzwiach zasypiała ze znużenia. Król co chwila trzeźwił się solami, a w krótkich przerwach walił się jak martwy w swoim gabinecie i leżał bez sił i pamięci; ale na dźwięk marszałkowskiego dzwonka zrywał się i, przyoblókłszy twarz w dostojność, powracał spiesznie do izby, bo czuwały nad nim władcze oczy, w korytarzach migotały bagnety grenadyerów i Rautenfeld krążył dokoła w coraz niecierpliwszem usposobieniu.

Więc Stanisław August zabierał miejsce na krześle tronowem i dalej asystował rozprawom. Siedział jakby

pod pręgierzem, wystawiony na tysiączne docinki zelantów, pod gradem ich spojrzeń wzgardliwych i uśmiechów nienawiści — siedział, rozumiejąc straszliwą wagę dnia dzisiejszego i rozbolały niedolą ojczyzny, a pierwszy chylący kark pod jarzmo, z nikczemnej słabości, nie zdolny ni do walki, ni do oporu, ni do życia, ni do śmierci.

Na ruinie Rzeczypospolitej wznosił się jego tron, panujący jeno hańbie, jeno zdradom, nieszczęściom i łzom zaprzedawanych — on zaś tylko jednem turbował się naprawdę serdecznie: czy potencye rozbiorowe w nagrodę jego powolności spłacą mu długi i zapewnią wygodny ostatek żywota?

Z dręczącą ciekawością przyglądał się jego obliczu Zaręba, lecz nie mogąc z niego odcyfrować człowieka, ni króla, szedł błąkać się po korytarzach, wchodził na galeryę i znowu powracał do sieni, pod drzwi izby, z której nieustannie buchały wrzawy, ale nigdzie nie mógł długo wytrzymać, ziemia paliła mu się pod stopami, miotały nim rozpacze i niepokoje, że przysunął się do Działyńskiego, lecz tknięty świdrującemi oczyma przechodzącego Boscampa, stanął przy Żukowskim. Kapitan był również zgorączkowany i mrukliwie odpowiadał. Jasiński coś szeptał z podkomorzyną, Kaczanowski pił, kilku zaś sprzysiężonych zamknęło się w komorze hauptwachu z Marcinem Zakrzewskim, który był do piero od północy objął służbę, peregrynował więc dalej samotnie, gdy przysunął się Woyna i zaszeptał:

— Iwanow rusza we wtorek na wieczór, prowa-

dzi partyę zwerbowanych gemeinów, cyfry konwoju nie wiem, odprowadzają go przyjaciele do Merecza.

— Ważne mi powiadasz rzeczy! — znikło rozdrażnienie i niepokój, sprężył się jakby do skoku i snadź już wiedział, co począć, bo rzekł: — Nie jedź z nimi...

— Tylem przegrał do niego, że niech go już moje oczy więcej nie zobaczą.

Zaręba poszedł z tem zaraz do Kaczanowskiego, który, uśmiechnąwszy się radośnie, przeglądał kieliszek pod światło i zaszeptał:

— Dobrą nasza. Jaż miałbym opuścić przyjaciela? Nigdy, pojadę z nimi!

Rumor naraz powstał, zaczęli się cisnąć do izby, rozpoczęło się wotowanie.

Cała izba powstała, zaległo głuche milczenie, każdy z posłów składał swój głos do urny, stojącej przed marszałkiem, i powracał na miejsce — ciągnęli dziwnie lękliwie i ze spojrzeniami morderców, kroki ich huczały, niby młoty bijące ostatnie gwoździe do trumny, grób już czekał, a składane wota padały, jak przygarście piachu. Król stał w majestatycznie rozbolałej pozycyi, w asyście biskupów i senatorów: wszak pogrzeb był nielada, choć nieme egzekwie.

W oknie nad pustym tronem bieliła się głowa spadkobiercy.

— Boże miłosierdzia, Boże! — załkał jakiś głos i zniknął w złowrogiej cichości.

Mikorski, z twarzą ukrytą w dłoniach, płakał, po surowem, przemęczonem obliczu Skarzyńskiego toczyły się łzy, żłobiące bruzdy wiecznej męki, reszta zelantów

patrzyła na ten korowód grabarzów oczami szaleństwa. Słychać było kołatanie ich serc, krzyk rozpaczy targał im wnętrzności, dygotali febrycznie, spalone gorączką usta żebrały o cud zmiłowania, choćby o łaskę nagłej śmierci.

Rozpoczęło się obliczanie wotów.

Świece już dopalały się w pająkach i gasły jedne po drugiej; przez szyby sączył się blady świt i pierwsze ćwierkania ptaków; wybiła trzecia i minuty stawały się męką i powolnem zamieraniem, mdlejące oczy czepiały się skryptorów, obliczających głosy, aż wreszcie marszałek poruszył się i przeczytał:

— Affirmative 66. Negative 21. Ratyfikacya traktatu z Rosyą przyjęta!

— Wszystko skończone — buchnął jakiś rozszlochany głos.

— Jezus Marya! Jezus Marya! Jezus Marya! — ktoś wołał obłędnym głosem.

Kasztelan, ująwszy Zarębę pod ramię, szepnął mu do ucha:

— Gotowyś? Za godzinę musisz ruszyć do Petersburga...

— Nie pojadę! — odpowiedział takim głosem, że kasztelan opuścił go bez słowa.

W sieniach rozlegały się tu i owdzie łkania i zionęły przekleństwa na widok fakcyonistów, przemykających się chyłkiem i lękliwie, zwłaszcza po odjeździe ambasadora, który się spieszył, by wyprawić gońców z radosną wieścią do Petersburga. Po wyjeździe zaś jego, gdy zdjęto kordony i wojska odeszły, sprzy-

siężeni zebrali się w jakimś kącie, gdzie uradzono spotkać się za parę godzin u Bernadynów, na mszy przeorskiej — a Działyński kiedy się rozstawali, powiedział głośno:

— Nil desperandum!

## IX.

Słońce już grało po szybach, dzień się rozgłaszał wesołym świergotem ptasząt i powiewami lubej aury, gdy w celi przeora zeszli się sprzysiężeni; oczekiwano tylko Działyńskiego i Kapostasa. Pucołowaty mniszek jął zastawiać runtowe misy bernardyńskich specyałów i wazy z polewkami, ale nikt nie kwapił się do jadła mimo rannej pory, obstąpili bowiem Żukowskiego, który ciągnął dalej relacyę, zaczętą w korytarzach.

— Sprawa to bezecna i zgoła bez precedensu. Generał Lubowidzki rozesłał kresy do wszystkich generałów, komendantów i wszystkich znaczniejszych sztabsoficyerów brygad kawaleryi narodowej, przednich straży i pieszych regimentów, aby się stawili w początku marca na jego kwaterze w Nowochwastowie. Dosięgnął mnie ten nakaz w Zwinogródku, gdzieśmy stacyonowali z majorem Wyszkowskim. Zafrapowała nas ta okoliczność, aleśmy ją zrozumieli w związku z pogłoskami, jakie chodziły o ruchach naszych oddziałów, rozkwaterowanych po całej Ukrainie; prawdy trudno było dociec, gdyż byliśmy poprzegradzani od siebie alianckiemi wojskami,

niby groblami, przez co poczty ze światem jakby nie istniały. Wyruszaliśmy z nadzieją zasięgnięcia języka gdzieś po drodze. Akuratnie wiedział każdy co i my. Stanęliśmy w Nowochwastowie o zmierzchu. Oberże były zapchane, nawet w stodołach brakowało miejsca. Szczęściem wziął nas na kwaterę pułkownik Dobraczyński. — »Co się tu dzieje?« — pytamy. — »Nie wiem — powiada — generał Lubowidzki nie dopuszcza nikogo do siebie, ale na coś niedobrego się zanosi: obozy rosyjskie zatoczono za parkiem pałacowym, dwa pułki grenadyerów i pułk kozaków, komendę trzyma generał Zagrodzkij«.

Wieczorem poszedł do generałowej na przewiady major Wyszkowski, jako jej dawny znajomy. Zatrzymała go na kolacyi, ale nic nie powiedziała, Lubowidzki zaś nawet nie pokazał się do stołu.

Ciężko nam zeszła ta druga noc, prawie nikt nie zasnął: żarły turbacye, niepokoiły dudnienia przetaczanych harmat, końskie tętenty, obozowe rumory i ogniska na biwakach, od których zajęła się jakaś chałupa, że te nieustające alarmy postawiły na nogi wszystkich jeszcze przed świtaniem. Zebraliśmy się na kwaterze generałów Wielowiejskiego i Ponparda, i o dziesiątej rano, mając ich na czele, ruszyliśmy do pałacu. Grenadyery wyciągnięte w długą ulicę, prezentowały broń, warczały tarabany i trąby podnosiły srogie fanfary, mnie zaś przejmował smutek, a Dobraczyński, idący obok, szeptał jakby nieprzytomnie.

— Mam złe przeczucia... czegoś dziwnie się boję! — Trząsł się cały i ciężko dychał.

Pałac znaleźliśmy otoczonym poczwórnymi kordonami, przeciw okien wyrychtowane harmaty, kanonierów na pozycyach, jaszcze z amunicyą były otwarte, konie w przepisanem oddaleniu, a na stronie ruszty do grzania fajerbalów.

— Fest się tu jakowyś gotuje, czy co! — powiedział major Wyszkowski.

— Prędzej paradne egzekwie będą się odprawować, zobaczysz — mruknął Dobraczyński.

Wpuścili nas do sali. Ogromna była, przez dwa piętra, na białych słupach wsparta, pawimenty jak zwierciadła, okna do ziemi na trzy strony świata wychodziły, sprzęt bogaty, godzien choćby królewskich pokojów. Stanęliśmy kupą i patrzym w dziedziniec na szeregi żołnierstwa. Słońce właśnie było się ukazało, aż zagrały bagnety i śniegi się roziskrzyły, kiedy naraz zajazgotały janczary i brzękadła, jakaś kibitka w eskorcie czterech kozaków zajechała pod okna sali, a za nią już wali druga, trzecia, dziesiąta, dwudziesta i stają jedna przy drugiej w pięknym ordynku. Narachowałem ich czterdzieści trzy, a każda w asyście czterech Dońców, pod budą i z podróżnymi łubami w trokach.

Rozmyślałem, coby to miało znaczyć, kiedy Dobraczyński się odzywa:

— Właśnie nas też czterdziestu i trzech...

Mróz mnie przeszedł, liczę: cyfra wypada akuratnie, tylu nas było w sali. — Wystawili nas tu jakby na jarmarku — niecierpliwił się któryś.

— Wnet się tu znajdą handlarze zmacać nam szpądry — próbował żartów Kopeć.

Jakoż w tej minucie drzwi od sieni wywarły się na rozcież, wpadł oficyer ze szpadą w ręku, a za nim rypały grenadyery z pochylonymi bagnetami jakby do ataku, że wielu z nas chwyciło za rękojeści..

Obstawili wszystkie drzwi i okna, zaś reszta wyciągnęła się pod wielkimi podwojami, które zaraz się otworzyły i wkroczył na salę generał Lubowidzki, aktualny komendant wojsk Rzeczypospolitej na ziemiach ukraińnych. Był w mundurze rosyjskim i, miasto niebieskiej wstęgi Orła Białego, miał na sobie czerwoną Św. Aleksandra. Za nim wszedł generał Zagrodzkij z kupą swoich oficyerów i ksiądz w komży i stule, z krzyżem w prawej ręce...

Cała ta godna kompania wzięła miejsce na środku sali.

Sformowaliśmy się naprzeciw, ramię przy ramieniu, jak czasu parady. Cichość zapadła, serca tłukły się, jak młoty, a niejednemu i zęby szczękały. Lubowidzki obrzucił nas rozbieganemi oczyma; siny był, pot mu ściekał po twarzy i ręce latały; cofnął się nieco i głosem schrypniętym jął oznajmać: — jako Najjaśniejsza, Najłaskawsza i Najpotężniejsza Imperatorowa całej Rosyi najmiłościwiej raczyła wcielić te województwa do swego państwa...

— Niema zgody! — huknął Dobraczyński, łamiąc powinną subordynacyę. — ...jako wojsko polskie — ciągnął dalej Lubowidzki — tu znajdujące się, będzie również wcielone do armii rosyjskiej, mundury i lenungi pozostają się też te same, tylko srebrne feldcechy zamienią się na złote.

Wystąpił adjutant z pękiem złotych feldcechów dla rozdania, nikt przecież ręki nie wyciągnął; staliśmy jakby spiorunowani, nieprzytomni zgoła i nie wiedzący zali na prawdę mówiono do nas? zali nie jest wszystko igraszką pobłąkanych zmysłów i chorą imaginacyą.

Ale nie: grenadyerzy w pogotowiu, harmaty na dziedzińcu, kibitki pod oknami, wraże twarze dokoła i przed nami ten parricida, obwieszony orderami. Hańba, zdrada i przemoc! Ostatnia godzina wybiła naszej wolności. Jezus! myślałem, że trupem padnę, że mi się serce rozwali z męki, że oszaleję...

Wyszedł generał Wielowiejski, jako najstarszy, i naszem imieniem zdeterminował:

— Bez dymisyi od króla dawnej służby porzucać a nowej przyjmować nie możemy.

— I nie chcemy — padło wraz kilkanaście głosów.

Skonsternowany Lubowidzki zaszeptał do Zagrodzkiego, grenadyerzy się poruszyli.

Wtem Dobraczyński nakrył głowę i, wyrwawszy szablę, krzyknął straszliwym głosem:

— Zdrada! Śmierć zdrajcy! rozsiekać! Za mną! — i runął na Lubowidzkiego. Za nim skoczyło paru z sukursem, lecz nim szable dosięgły nikczemnego, okrył go mur bagnetów, nawała żołdactwa spadła, przygniotła i zemstę nam z rąk wydarła. Dobraczyński padł ciężko ranny i do trzeciego dnia skonał z ran i rozpaczy...

Umilkł wyczerpany, lecz po chwili podniósł się, szablę wyrwał z pochwy i zawołał:

— Pułkownikowi Dobraczyńskiemu, dowódcy pułku przedniej straży szefostwa księcia Ludwika Wirtember-

lóż i stopni, którzy wczoraj na sejmie wotowali za przyjęciem rozbiorowego traktatu.

A kiedy skończył, podniósł się pułkownik Jasiński, »Wielki Mówca« loży »Doskonała Jedność« na wschodzie Wilna, wnosząc przeciwko nim ogniste oskarżenia o zdradę ojczyzny, praw sprawiedliwości i Wielkiego Budowniczego. Mówił bez zwykłej symboliki masońskiej, krótko, dosadnie i zapalczywie.

— Wnoszę ogłoszenie ich za nieprzyjaciół ludzkości, wypędzenie z lóż i ukaranie śmiercią.

— Śmierć zdrajcom! Nienawiść tyranom! — poszedł głos i szczęk wydobywanych szabel.

Działyński uprzedzał go, jako, nie składając loży zwyczajnej, otwartej bez rytu przepisanego, tem samem nie mają prawa sądu i kary.

— Ale obrażona w nas ludzkość żąda słusznej sprawiedliwości wymierzenia.

— Jeśli żądanie przejdzie unanimitate vocum, prześlę je Wielkiej loży na rozpatrzenie.

— A więc składajmy wota, bracia najmilsi! — zawołał Jasiński, a zbliżywszy się do stołu, uderzył sztychem szabli w papier i wyrzekł: — Śmierć zdrajcom!

— Śmierć! — powtórzył Żukowski, brat wybrany z loży żytomierskiej »Ciemność Rozproszona«.

— Śmierć! — zakrzyczał ksiądz Meier z Woldy, brat loży warszawskiej »Doskonały Sarmata«, i wydobytym z pod sutanny puginałem uderzył w papier z nienawiścią.

Potem bił sztychem Pawlikowski, brat wyższego stopnia z loży warszawskiej »Świątynia Izys«, a za nim

bili bracia tejże samej loży: Eliasz Aloe, Chomętowski, Zaręba Sewer, kapitan Kaczanowski i Czyż Jan.

Z loży dubieńskiej »Doskonałe milczenie« wotował Kopeć, major Ochocki Duklan, Morski Onufry i brat wyższego stopnia, ks. Jelski.

Z loży na wschodzie Grodna »Szczęśliwe oswobodzenie« szli bracia: pułkownik Korsak, ks. Gedroyć, generał, Grabowski, pułkownik, i Grosmani, »municypał« wileński. Zakończył porucznik Biegański z loży warszawskiej »Tarcza Północna«, który rzucił się na papier, niby na żywego wroga, i pociął go na znak krzyża św. Andrzeja

Wszyscy jednocześnie wotowali za śmiercią. Podziurawiony i pocięty papier Działyński schował i rzekł:

— Bracia, zasię aktualnie zapomnijmy o zdradach i podłościach, a przystąpmy do prac podźwignięcia ojczyzny. Naczelnik oczekuje pod Krakowem na wieści o stanie przygotowań na Litwie i Rusi, więc braci delegatów od wojsk proszę o składanie relacyi.

— Skarb i wojsko! — zawołał stentorowym głosem Korsak, jak to był czynił na wielkim sejmie przy zdarzonej okoliczności.

— Zaiste, węgielne to kamienie wojny — odparł Działyński, zasadzając do pióra ks. Meiera z Woldy i Pawlikowskiego, wielce biegłych w cyfrowanem piśmie do konotowania ustnych relacyi.

Kopeć z Żukowskim, imieniem dywizyi ukraińskiej, składali tabele wiadomości stanu wojsk, zapasów, koni, dróg, brodów, miejsc bronnych, cyfry sprzysiężonych

oficyerów i gemeinów oraz plany obozów nieprzyjacielskich i liczby wojsk.

Książę Gedroyć złożył toż samo o wojskach, kwaterujących na Litwie.

Jasiński — o całym korpusie artyleryi litewskiej i wojskach rosyjskich.

Grabowski — o komendach, stojących na Żmudzi aż po Bałtyk i Lipawę.

Korsak, imieniem Wawrzyckiego, dał wieści z Inflant po Rygę.

Amilkar Kosiński, porucznik, komisarz wojskowy sprzysiężenia przy obożnym Prozorze, jednym z najżarliwszych promotorów insurekcyi, przedstawił relacyę z Pińszczyzny i złożył kilkanaście tysięcy dukatów skolektowanych w tamtych stronach.

Relacye na ogół były pomyślne, cyfra związkowych wysoka i głębokie ukochanie sprawy, ale wszędzie brakowało gotowej amunicyi, harmat, koni, przeróżnego moderunku i pieniędzy. Powszechnie też narzekano na obojętność oficyerów wyższych stopni, małoduszność osiadłej szlachty i magnatów. Delegaci, wystawując czułą dyspozycyę wojsk dla ojczyzny i gorące pragnienie zmierzenia się z wrogiem, żądali zdeterminowania daty wybuchu. Bowiem groza redukcyi, mogącej być uchwaloną lada dzień, dyktowała słuszny pośpiech w działaniach.

— Jeśliby wojsko rozpuszczono przed czasem, wszystkoby przepadło — konkludował Kopeć.

— Deliberacye nad redukcyą możemy na sejmie jeszcze przewlekać — odezwał się Zieliński — a nawet po uchwaleniu nie zaraz nastąpi wykonanie, bo abszy-

towanym trzeba wypłacić zaległe lenungi, a kasy wojskowe puste.

— Już i tak bataliony dekompletuje dezercya i werbunki aliantów.

— Czy prawda, jako arsenał warszawski już obsadzili Rosyanie? — ktoś spytał.

— Igelström próbował, ale generał Cichocki nie dał się zjeść w kaszy, a teraz na noc podwaja straże, zaciąga łańcuchy i trzyma w pogotowiu harmaty...

— Czy aby wytrwa w cnotliwym sentymencie dla sprawy? Wszak to królewski konfident.

— Ćwik to nielada i obrotny w politycznych kabałach, ale oficyer wysokiej instrukcyi i szczerze polskie serce, przysięgę złożył i dałbym szyję, że nie zrewokuje — zapewniał Działyński, zwracając się do skryptorów, bo właśnie skończyli cyfrowanie résumé wszystkich relacyi, opatrzył je pieczęcią i rzekł do Biegańskiego:

— Mości poruczniku, ten pak zawieziesz do Krakowa i wręczysz Sołtykowi. Tam ci powiedzą, co czynić dalej. Zaręba, wydaj waść znaki traktów i stacyi pocztowych. A waszmość, kapitanie Chomętowski, powieziesz wtóry egzemplarz panu marszałkowi Potockiemu do Drezna — obrócił się do reszty. — Jednak nie prędzej września możemy się spodziewać zdecydowania terminu, wyprawiane relacye zaważą na zdeterminowanie.

Opuścił prezydyalne miejsce, tem samem klauzura milczenia, surowo przestrzegana na masońskich kapitułach, przestała obowiązywać i potoczyły się żywe rozmowy, zwłaszcza oficyerowie burzyli się na odwlekanie wybuchu.

— Wszak wojska czekają tylko znaku! — podjął Czyż, major gwardyi. — Małopolska gotowa, trzynaście tysięcy skonfederowanych wyczekuje w Krakowskiem...

— Garnizon warszawski zjednany i może zaczynać choćby jutro — rzekł Kaczanowski.

— I dywizya litewska w gotowości — oświadczył Grabowski.

— Zaś oddziały, ogarnięte moskiewskim kordonem, również — upewniał Kopeć.

— Do całego obrazu brakuje wieści z Wielkopolski — zauważył Zieliński.

— Pracuje tam Gliszczyński nie bez widoków fortunnego skutku.

— Niechaj wraz wybuchną: Kraków, Warszawa i Wilno, a płomień ogarnie cały kraj.

— Wojsko gotowe, dobrze, ale gdzie mamy skarb? — rzucił Korsak.

— Republika francuska obiecuje swojej polskiej siostrze udzielić pomocy pieniężnej na walkę: wszak w królu pruskim mamy wspólnego wroga, wszak jednako biją serca dla ludzkości nad Sekwaną, Wisłą i Niemnem, jedne systemata wolności, równości i braterstwa zbroją nas przeciw tyranom — wygłaszał płomiennie Eliasz Aloe.

— Boże! — gorączkował się Jasiński — mieć sto tysięcy żołnierzów, pospolite ruszenie i uzbrojone chłopstwo w rezerwach, w jednym dniu zapalić pochodnię wojny od krańca do krańca Rzeczypospolitej, a jedna noga nieprzyjacielskaby nie uszła żywa. Gniew obrażonego narodu, jak gniew natury, powinien wybuchać nawałą piorunów i huraganem...

— Wielbię takie ogniste sentymenty, lecz nazbyt daleko i górnie niosą pułkownika poetyckie imaginacye! — szepnął pobłażliwie Kapostas.

— Gdzie sięga uczucie imaginacyi, tam sięgną i człowiecze zamierzenia.

— Człowiek nie postąpi kroku na przekor przeznaczeniu. Jeśli gwiazdy przyjazne, to Dawid zwalczy Goliata, pastuch uczyni cuda, zaś Nazarejczyk trzeciego dnia zmartwychwstanie — dowodził tonem głębokiego przeświadczenia.

— Zali bohaterstwo, cnota i słuszność nic nie znaczą?

Kapostas, który był członkiem sekty Illuminatów i uczonym w żydowskich księgach, rzekł:

— Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo — reszta, to jeno pozór mamiący, cień gwiazd, lecących w bezmiary ku nigdy niedosięgłej Istności. Tylko mędrzec, posiadający tajemnice Słowa, mocen zrozumieć tajnie przeznaczenia.

Jasiński słuchał wywodów z grzeczności jeno, gdyż bardziej tentowała go rozmowa, prowadzona obok przez Pawlikowskiego z grupą oficyerów.

— Na jakimże systemacie opieramy insurekcyę, jak myślicie waszmościowie?

— Na systemacie konstytucyi trzeciego maja — odrzekł Kopeć.

— Wszak i na nią nie godzą się nasze królewięta — wtrącił Żukowski.

— Rzeczpospolita nie będzie żebrała przyzwolenia pod złoconemi drzwiami magnatów.

— Słusznie. Dla nich to za wiele, a dla nas za mało — mówił Pawlikowski, zacięty klubista i jakobin, autor wielu pisemek politycznych. — Systemat konstytucyi trzeciego maja nam nie wystarcza. Jeśli bowiem chcemy poruszyć cały naród, musimy dać wolność wszystkim stanom. I tylko na takim fundamencie budowana społeczność ostoi się przeciw tyranom. Już Staszyc pisał, jako bez odmiany poddaństwa chłopa doczesne są i płonne wszystkie inne odmiany.

— Pierwej uratować Rzeczpospolitą, a później dawać swobody.

— Tylko z wolnymi można wywalczyć wolność.

— Wszak nikt do niewoli, a każdy rodzi się do wolności.

— I posłuszeństwa prawom natury — posypały się głosy klubistów.

— Właśnie te wzniosłe systemata ludzkości dawają Francyi przewagę nad tyranami.

Parsknął na to Kaczanowski, lecz pohamowawszy się, rzekł rubasznie:

— My zaś po staremu kładziemy nadzieję w żołnierzach i harmatach...

— Nie potrzeba — mówił nieskonsternowany Pawlikowski — aby szlachta straciła swoje swobody, ale potrzeba, by swoje prawa upowszechniła, powiększając liczbę obywatelów wolnych.

— A waszmość uwolniłeś już swoich poddanych? — zagadnął złośliwie Kaczanowski, doskonale wiedzący, jako ten żarliwy obrońca chłopów jest piotrkowskim mieszczaninem i, prócz cnoty, męstwa i rozumu, nie

posiada innej substancyi. Nie doczekawszy się responsu, jął się burzyć przed Zarębą:

— Jaki mi dobrodziej z cudzego! Śmierdzi o milę inkaustem. Liznęło to francuskich książeczek i udaje statystę. Skryba! — mamrotał z głęboką awersyą.

I na tem poprzestał, gdyż Morski głośno odpowiadał komuś:

— Powszechność? Juści, że przychylność ma w duszy do naszych zamierzeń, ale jednych ciśnie do ziemi żelazna stopa Prusaka, drugim respekty powinne wmuszają jegierskie bagnety, innych oślepia wiara w gwarancye i wydaje się im zbędna jakabądź odmiana. Są znowu, którzy na wszystko patrzą oczami swoich J.Wielmożnych protektorów. Mniemam jednak, że większość czuje poczciwie i, bolejąc nad upadkiem Rzeczypospolitej, skłonna jest do ofiary...

— Niemała liczba — przemówił Działyński — ociąga się nie przed ofiarą krwi i mienia, lecz przed odmianami praw i jakobińskiemi maximami. Przykład Francyi daje do myślenia szlachcie i trwoży, zwłaszcza, że przeróżne pisma i zapaleńcy rozsiewają po kraju nazbyt jakobińskie opinie. Uważałbym koniecznem rozpowszechnić wiadomość o prawdziwych celach naszych zamierzeń. Uspokojone umysły łacniej będzie można skłonić do ofiarności...

— Otóż to, suplikować u stóp Waćpanów, Waszmościów, Wielmożnych i Jaśnie Wielmożnych, by raczyli rzucić jakowyś zbędny ochłap wspomnienia dla ginącej ojczyzny — zawrzał Pawlikowski. — Cnotliwy obywatel nie zna nad obowiązek troski o szczęście powszechno-

ści, kto zaś tego nie czuje, temu spełnienie powinności godzi się nawet nakazać!

— Godzi się nawet przymusić! — ozwał się mocno ks. Meier — a opierających się woli powszechnej trzeba wytracić, jako wrogów ludzkości. Tak czynią rewolucyoniści francuscy, a w skutkach osiągnęli zwycięstwo cnoty i rozumu nad egoizmem, ludzkości nad tyranią. Wola narodu stanowi prawa. Na naszych sztandarach winno być napisane: »Qui non est nobiscum, est contra nos«!

— Kto nie z nami, ten przeciw nam! — przywtórzyli socyusze z zapałem.

— Szanować opinie drugich jest powinością rozumu — zauważył Działyński, popierany przez umiarkowańszych, lecz ks. Meier zakrzyczał namiętnie:

— Veto, protestuję. W tem właśnie źródło polskiej anarchii: szanowanie cudzych a sprzecznych opinii wiedzie do lękliwego baczenia na drugich, do wyrozumiałej pobłażliwości nawet oczywistym zdradom i wrogom. I biskup Kossakowski wyznawa opinie polityczne, i król je wygłasza, i targowiccy hersztowie w imię swoich opinii wydali kraj nieprzyjacielowi. Mamyż ich opinie szanować i uważać? Nie, precz z tem! niema być tolerowanych w Polsce opinii nad opinie, prowadzące do podźwignięcia Rzeczypospolitej na zasadach równości, wolności, braterstwa i niepodległości...

Działyński, aby nie zaogniać antagonizmów, nie replikował, a zwrócił się do Amilkara Kosińskiego, który opowiadał o Prozorze i Polesiu.

— A najdziwniejsze, jako pomiędzy Poleszukami

rozpowiadają, że w kilku niedzielach rozpocznie się wielka bitwa z Moskwą. Pod Owruczem mieli już chłopi widzieć całą armię polską, ciągnącą lasami na Wołyń. Wyliczali cyfrę harmat, wozów i koni. Widzą już to, co się ma dopiero stać...

— Prostaczkowie bliżej są Boga i wiara ukazuje im, czego mędrcy nie dojrzą — szepnął ks. Jelski, świętobliwy kapłan i żarliwy patryota.

— Mniemania o blizkiej rewolucyi rozpowszechniają się i po całej Rusi — zaczą Żukowski — a strach przed okupacyą ogarnia coraz większe masy ludu ukraińskiego. Sam widziałem, jak skoro kordon rosyjski posunięto od Wasilkowa na zachód ku Ikwie, cała ludność chciała uciekać do dzierżaw, pozostałych przy Rzeczypospolitej. Miałem pocztę z Kijowszczyzny, że i teraz, na wieść, jako Rosya na stałe zajmuje tamte strony, chłopi tysiącami uciekają do Polski, a zapobiedz temu niema sposobu.

— Bo z nowem panowaniem niedola chłopa jeszcze się pogorszy.

— Ż tej przyczyny i dawna Sicz zaporoska chce z nami traktować...

Wpadł zadyszany przeor, zapraszając na skromną przekąskę

Rozdał jeszcze Działyński nieco patentów, podpisanych przez Kościuszkę, a fortragujących upatrzonych przez Wielką Radę mężów na generał-majorów niektorych województw i powiatów; mieli je powieźć delegaci od wojsk, i poszli do przeorskiej celi, dochodziło bowiem południe i już niejednemu grzecznie kiszki marsza grały.

Pucołowaty braciszek przy pomocy grubego kanafarza zastawił stół, a przeor pieszczotliwie zapraszał do jadła i kiedy zabrali miejsca, odezwał się nieśmiało:

— A pośpieszajcie waszmościowie, żeby wyjść z kościoła wraz ze wszystkimi.

A ledwie się za nim drzwi zamknęły, kosy zagwizdały rzęsistego poloneza, jakoby sfornie zestrojona kapela; mniszek uwijał się koło poodsłanianych klatek, poświstując cichutko do wtóru. Zasię i suma szła jeszcze w kościele, więc dalekie przymglone granie organów i pogłosy śpiewań raz po raz wdzierały się do celi ulewą słodkich brzmień i dźwięków.

Jakiś cichy, łzawy smutek opłynął wszystkie serca, milczenie zaległo, niejeden dumał przyszłe swoje losy i nadzieje, niejednemu łza zaćmiła oczy, a do pamięci cisnęły się drogie postacie. Nawet Działyński wzdychał żałośnie, tocząc oczyma po twarzach socyuszów. Zaś Kapostas przenikliwem spojrzeniem zdał się ważyć dolę każdego, i twarz mu posępniała chmurą żałoby i smutku.

Ze ściśniętem sercem patrzył na tę żywą litanię świętych polskiego kalendarza wolności, która odtąd aż po wiek miała olbrzymieć i rozsnuwać się w łańcuchach nieustannych poświęceń, wysiłków, ofiar i bohaterstw — na ten święty huf rycerzy, dobrowolnie idących na wyłom kłaść głowy swoje i serca, gwoli zmazaniu win ojcowskich i gwoli dźwignięciu Ojczyzny i szczęścia powszechności.

Zarębę wywołał braciszek. W korytarzu czekał ojciec Serafin.

— Od Kacpra!

Podał mu zbrukany karteluszek, zapisany ołówkiem.

— Jezus Marya! Zagarnęli go werbownicy moskiewscy! Jest w obozie grenadyerów, prosi o ratunek. Kto przyniósł tę wiadomość?

— Mój wiernik, któremu udało się przedostać do obozu.

— Boże, choćbym miał zapłacić głową, a muszę go wyrwać z niewoli. Biedny chłopak!

Rozpacz nim miotała, łamał ręce.

Pół szwadronu Mirowszczyków może siąść na koń, Staszek ich skaptował.

— Na całe pułki się nie porwę. Siedzi chudziak zakuty wraz z pięćdziesięciu drugimi, nie wie kiedy ich wyprawią i gdzie! Prawdziwa desperacya! A tak się bałem o niego! A może to tę partyę poprowadzi do Merecza Iwanow, przyjaciel Kaczanowskiego?

Ożywił się nagle, oczy zaiskrzyły mu się powziętem postanowieniem.

— Niech ojciec zaczeka na mojej kwaterze. Przyjdę z kapitanem, to razem rozważymy pewien plan. Co za nieszczęście!

Ledwie wrócił do celi, zabierając swoje miejsce, gdy Działyński powstał. Wszyscy zerwali się na nogi, wierne oczy wbiły się w niego, a on, podnosząc w górę kielich, wyrzekł krótko:

— Śmierć lub zwycięstwo!

— Śmierć lub zwycięstwo! — odkrzyknęli z mocą i wszystkie kielichy rozbryznęły się o podłogę.

## X.

Nieprzenikniony mrok leżał pod konarami sosen i głucha cichość nocnych godzin, że jeno chwilami rwały ją bełkoty wód Niemnowych, przedzierające się wskróś ciemności, to jakoweś szemrania podobne przytajonym westchnieniom, lub suche trzaski opadających gałązek. Noc była późna, gwiazdy świeciły blado, ledwie widne w płachcie nieba zasnutej płowemi mgłami, całym światem płynął głęboki spokój uśpionej ziemi i nagrzane, wonne tchnienia borów.

— Jadą, głosy lecą po rosach! — zaszeptał naraz ojciec Serafin, przykładając ucho do ziemi; jakoż istotnie, od strony Grodna powiały dalekie jeszcze i niewyraźne odgłosy. — Za jakie pół godziny nadciągnąć powinni...

— Niechby, mierzi mi się to czekanie. Cóż podkomorzyna? — szepnął Zaręba.

— Ma pomieszczenie, choćby dla wszystkich, zaraz przy mnie wysłała umyślną sztafetę z listem do swojego komisarza w tamtych dobrach. Żarliwa to patryotka,

zaś dla waszmości gotowa się ważyć na wszystkie azardy...

— A przewóz na Niemnie? — zagadnął, nierad poruszania tamtych materyi.

— Gotowy. Trojakowski mądrala, prowadzi szkuty ze zbożem i wołami do Prus i właśnie wypadła mu potrzeba zatrzymania się pod Mereczem. Zajdzie okoliczność, to w mig przewiezie wszystkich na drugą stronę, a potem już głowa Kaczanowskiego, żeby się wywinął, jeśliby pogoń ruszyła za nim.

— Krzyk od Niemna, tam nasze widety! — zerwał się, nasłuchując trwożnie.

— Wołania flisów — upewniał ojciec Serafin — nocują gdzieś pod brzegiem. Od paru dni Niemen aż się roi od statków. Pono kilku panów dostało od Buchholtza permisyę wolnego spławu zboża i wołów do Prus, więc się śpieszą i wielkie handle prowadzą.

— Kupił ich powolność przy głosowaniu nad traktatem. Gdzie ojciec widział dzisiaj Kaczanowskiego?

— Na kwaterze Iwana Iwanowicza, którego, jak powiadają, obuł w swoje buty i wyprawia z nim, co mu się żywnie podoba. Prawdziwi to już bracia czopowi. Zajrzałem tam niby po kweście. Pili właśnie z przyjacioły. Kapitan, udając, jako widzi mnie po raz pierwszy, wyprawiał różne krotochwile i paskudnie mi przymawiał, ale na odchodnem rzucił mi dukata.

— Zawsze skory do szastania swojem i cudzem.

— Kiesa mu spęczniała, boć zdeklarował się przejść w służbę Imperatorowej, Cycyanow obiecał mu pułkownikowską szarżę i sute wypłacił zulagi. Niemałe tez

musiał wygrać od nich w karty. Powiadał mi, jako nieprzyjaciół godzi się trapić na każdy sposób i podchodzić, aby ich tem skuteczniej zwalczać...

— Zbytnio się jednak azarduje, może ponieść szwank na honorze...

— »Nie dbaj, chociaż zła wieść o tobie gruchnie,
»Bo kto nie je czosnku, ten nim nie cuchnie« — może sobie śmiało rzec, a naszej sprawie niemałego przysporzy pożytku. Wywinie się on gładko z tych okoliczności, nie zbraknie mu fortelów. Porucznik potem wraca do Grodna?

— Dla odwrócenia podejrzeń, muszę się sprezentować między socyetą i poszwendać tu i owdzie. Mam też wiele nieukończonych spraw, chciałem właśnie z Kosińskim układać regulaminy dla Lipawskich wolonterów, gdy mnie zaskoczyła ta nieszczęsna okoliczność z Kacprem...

— Admiruję sentymenty waszmość porucznika!

— Bliższy mi on, niźli byłby rodzony brat. Lękam się jeno, czy aby go nie wysłali z Grodna bocznym traktem i pod szczególnym konwojem.

— Jeszcze wczoraj widziałem go w obozie na Łososnie, i on mnie dojrzał. Na nieszczęście, przystępu do niego wzbraniały straże. Dałbym jednak głowę, że go transportują z drugimi. Gdyby tak można wpaść na nich znienacka, odbić Kacpra i w konie! Wiem wszystkie brody na Niemnie...

— Chwalę kawalerską fantazyę jegomości, lecz naszą powinnością odbić wszystkich nieszczęśników wraz i z tymi w Mereczu. Hłasko z ludźmi już tam gdzieś

powspieranymi na słupach, błyskały światła, sporo ludzi kręciło się w podsieniach i szwargotały Żydy.

— Wstąpmy na moją kwaterę — zaproponował Hłasko, prowadząc przez jakąś nizką sień do stancyi ogromnej i ciemnej, z oknami na rynek. Naprzeciw wznosił się biały, przysadzisty dom, mieszczący austeryę. Właśnie przed nią powstawał niemały gwar i bieganina, wszystkie okna rozbłysły światłami, tam bowiem zajechał tabor Iwana Iwanowicza, landary wtoczono w podwórze, a wozy wyciągnięto pod sąsiednimi domami pod strażą spieszonych dragonów. Słyszeć się dawał rozkazujący gniewnie bas Kaczanowskiego.

— Ten w każdej okoliczności brać musi komendę — uśmiechnął się Zaręba.

— Wasza wielmożność pozwoli nakarmić tych nowych? — pytał jakiś głos z głębi.

— Dawaj co, zjedzą i wypiją. To mój gospodarz, człowiek oddany, krewniak Borysowicza z Grodna — dał objaśnienie Hłasko.

— Doskonała sposobność — pomyślał Zaręba, przystępując do gospodarza. — Poczekaj aspan, pomogę ci w robocie. — I poszedł dźwigać wespół z jego parobkiem ciężkie niecki, napełnione chlebem i kiełbasami. Hłasko, zrzuciwszy pychę z serca, poniósł za nimi grzeczną beczułkę gorzałki.

Dragoni zrazu wzbraniali przystępu do więzionych, lecz przejednani szczodrym poczęstunkiem, udali niewidzących i głuchych, maszerując wymierzonym krokiem wzdłuż taboru i z powrotem, a jeno przynaglając do pośpiechu.

Na wozach podniosła się niemała radość, pokazywały się rozjaśnione twarze, wyciągały ręce, rozlegały mlaskania języków na czujny zapach kiełbas i gorzałki. Zwłaszcza, że nikt za to ręki po zapłatę nie wyciągał. Przypinali się też do jadła, niby wygłodniałe wilki.

Zaręba, penetrując wóz po wozie, odszukał wreszcie Kacpra. Leżał skrępowany postronkami, jak baran, ale na znajomy głos uniósł się nieco i jakoby zamarł w zdumieniu, nie dowierzając własnym oczom.

— Ani mrumru! Podjedz trochę — zaszeptał, karmiąc go niby dziecko i pojąc.

Chłopak przełykał z trudem, polewając kiełbasę radosnemi łzami wzruszenia.

— Czekaj krzyku sowy... Straże wiązać... zbierać się przy rzece — szeptał i korzystając, że żołnierz był odwrócony plecami, rozciął Kacprowi sznury na rękach i, wtykając mu krucicę i puginał, zdążył jeszcze powiedzieć: »Nie zdradź się!« Rzucił ogromne pęto kiełbasy na wóz i śpiesznie uskoczył w tył, gdyż żołnierz powracał i przy wozach ukazał się jakiś oficyer. Stanął potem w kupie Żydów i pospólstwa pod oknami austeryi, gdzie się już rozpoczynała hulanka, grały bałabajki, pito, wrzeszczano i śpiewano.

— Teraz wierzę w pomyślny skutek — szepnął Hłasko, przysuwając się do niego.

— Żołnierzom wątpić nie wolno — odszeptał, pilnie zazierając w okna, poza któremi migała postać Kaczanowskiego. Zdał się być sfrasowanym i jakby niespokojnym, tak kręcił się po izbie i ukradkiem rzucał oczyma w szyby, ale wyszedłszy na dwór dla uczynienia

ulgi naturalnej potrzebie, jął sobie przygwizdywać. Zaręba zaświstał umówionym sposobem, na co twarz mu pojaśniała kontentacyą i, powróciwszy do kompanii, rozpowiadał coś tak krotochwilnego, że pokładając się od śmiechów pili jego zdrowie, niepomierny podnosząc wrzask.

Po jakimś czasie wytoczono ogromną beczkę piwa dla konwojów i pachoły, odbiwszy czop, zaczęły nalewać w kwarty i podawać. Gemeiny, snadź trzymane w srogich ryzach, nie tknęli napitku, zezując jeno trwożnie ku oknom i starszyźnie. Czekali na przyzwoleństwo; dopiero na rozkaz Kaczanowskiego, odsunąwszy się w głąb rynku, dalej oficyerskich oczów, wzięli się po swojemu zabawiać. Zwłaszcza iż Hłasko polecił im dodać antał gorzałki, miodu spory półbeczek i całą solówkę śledzi.

Zasię w austeryi oficyerska kompania zabawiała się coraz huczniej i weselej. Wywarto okna z racyi gorąca, pozrzucano mundury, bałabajki nieustannie wygrywały, tańcowano i pito na umor. Grodzieńskie panny, porozdziewane do koszuli, z rozwiązanymi włosami, bose, pijane, krążyły z rąk do rąk wśród wybuchów dzikiego śmiechu, pisków i siarczystych całowań. Co chwila zrywały się hulaszcze, nieprzystojne piosenki, a do wtóru tłuczono szyby, flachy, bito nogami w stoły i rozbijano sprzęty. Znalazły się nawet i jakieś oberwane, brudne bosówki, sprowadzone z miasteczka; zmuszano je do picia i nahajami niewolono do pociesznych skoków, pisków i tańców. Austerya trzęsła się już od wrzasków, tupotów i wściekłej hulanki.

Kaczanowski wciąż i niestrudzenie przewodził pijatyce; pił za dziesięciu, najgłośniej krzyczał i, preparując zabójcze mieszaniny z wina, gorzałek i miodów, wznosił coraz to inne zdrowia, przymuszając wszystkich do ich spełniania, jeśli zaś który »z czopowych braci«, osłabnąwszy, walił się nieprzytomnie na podłogę, kazał go brać kozakom na rozpostartą krymską burkę, intonował pijackie egzekwie i, skropiwszy go obficie winnym lagrem, odprowadzano zmorzonego pijaństwem do ciemnej komory, przy sprośnych śpiewaniach, pobrzęku kielichów i jękliwem zawodzeniu bałabajek.

Wkrótce większość kompanii była już nieprzytomna i coraz wrzaskliwiej taczająca się od ściany do ściany. Któryś oddawał na stół, że go tam przyparła potrzeba; inny zaś, wyprężywszy się na środku karczmy, jął grzmiąco komenderować jakoby rotą i rypać krokiem w miejscu, aż natrafiwszy na wystający dyl, zwalił się na podłogę; ktoś znowu w koszuli jeno i hajdawerach, z flachą gorzały w garści, bił pokłony do ściany i przepijał raz po raz; jakiś gołowąs zapalczywie obcinał świece szablą; dwóch starszych wiekiem, o twarzach poznaczonych srogimi plejzerami, obłapiało się nieustannie i, spowiadając się przed sobą z grzechów, płakało nad sobą rzewnemi łzami.

— Powiedz, żem świnia, podlec i wor! — bełkotał jeden wśród nieustającej czkawki.

— Ty mi pluj w twarz i biej w mordu! Ty, jeśliś mój przyjaciel! — spierał się drugi.

Jakaś dziewczyna w mokrej od wina koszuli, zwinięta w kłębek, spała w kącie na kupie mundurów i ryn-

sztunków, drugie rozwalały się pijane po ławach lub słychać było ich lubieżne wizgi z bokówki, że izba dawała obraz wielce już obmierzły i wstręt budzący. Tylko jeden Iwan Iwanowicz, chociaż pił za jedno z wszystkimi, trzymał się jeszcze krzepko i, rozgniatając pocałunkami wargi swojej »duszki«, trzymanej na kolanach, bełkotał najczulsze zaklęcia.

— Wytrzymały łeb! — pomyślał o nim Zaręba, spokojnie wyczekujący końca libacyi.

Poszedł sprawdzać jej skutki pomiędzy żołnierstwem. Spali już pod wozami i gdzie popadło; jedne warty dawały jeszcze pozór czuwania, bo tu i owdzie drzemał jakiś żołnierz, wsparty na karabinie, lub chodził ołowianym krokiem, senny, z zamkniętemi oczyma, dźwigający się jeno mocą strachu.

Ognie biwaków pogasły, pospólstwo się porozchodziło, okna domostw pociemniały i cały rynek obtulił się w nieprzeniknioną noc, cichość i sen.

Zasię na wozach i wpośród leżących przy zagasłych ogniskach powstawał stłumiony, ostrożny ruch jakby pełzań, szeptów i chrzęstów słomy.

Zaręba, usiadłszy pod kwaterą Hłaski, dawał baczenie na austeryę, która już znacznie przycichała, nawet głos Kaczanowskiego rozlegał się ciszej.

Ciemna noc leżała jeszcze na ziemi, zasię jeno na wschodniej stronie niebo zafarbowywało się już perłowymi brzaskami, gwiazdy gasły niby oczy snem zmorzone, koguty zaczynały piać i od Niemna wstawały chłodne powiewy.

— Ludzie aż dygocą z niecierpliwości — szepnął Hłasko, stając przy nim.

— Lada chwila skoczymy, tam się dopalają świece i już wszyscy pijani — wskazał karczmę. — Droga na trakcie grodzieńskim przekopana?

— Co tylko meldowali o skończeniu.

Odszedł na swoją pozycyę.

— Maciuś! — parob siedział w kuczki, obgryzając jakąś kość — podsuń się do Kacpra i w razie czego daj mu pomoc. Masz tu gorzałki!...

Czas wlókł się wolno i świtanie rozlewało się jakoby morzem seledynowych brzasków, że szpiczaste dachy domostw i wieże kościelne zdały się wyrastać i coraz bardziej czernieć na jaśniejącem niebie.

Naraz zahuczał trzykrotnie w ciszy głos puhacza.

Zaręba porwał się w stronę Kacpra, który właśnie, na sygnał Kaczanowskiego, rzucił się z kamratami wydzierać broń strażom i wiązać pokonanych.

Wyrwały się wściekłe wrzaski, odgłosy uderzeń i dzikie szamotania. Mirowscy, niby zgłodniałe wilki, wpadli na resztę widet i rozpoczęła się powszechna bijatyka. Z ciemności, zalegających plac, z pod wozów i domów, wybuchały niekiedy straszliwe krzyki, niekiedy charczenia żałosne, głuche stękania przyduszonych, a czasami płaczliwe głosy o zmiłowanie. Ale nie łatwo przychodziło zmożenie jegrów, bowiem wielu, snadź mniej pijanych, zrywało się na pierwszy krzyk i, nie nalazłszy swoich karabinów, broniło się pięściami z ponurą determinacyą i niezrównaną zawziętością, że w całym rynku zakotłowało się jakby w garnku. Przetaczali się

ze strony na stronę i wśród przekleństw i wścieklizny rypali się o ziemię, o wozy i ściany, o co się jeno dało. Miasteczko rozbudziło się wystrachane, trzaskały okna, gdzie błysnęły światła, ludzie wybiegali w koszulach, uderzyły baby lamentami, podniosły się płacze dzieci, pieski zaczęły naszczekiwać i ganiać, jak oszalałe.

Nagle gdzieś, jakby przed austeryą, zawarczał gwałtownie bęben, bijący na trwogę, a z sieni wypadł Iwan Iwanowicz z szablą w jednej ręce i pistoletem w drugiej.

— Za broń! Formuj się! — zaryczał ze wszystkiej mocy i strzelił.

Kacper skoczył na niego, lecz nim dosięgnął pazurami, wziął szablą przez łeb i zwalił się na ziemię, on zaś jak stał w hajdawerach i koszuli, dopadłszy dragońskich koni, stojących w podle karczmy, śmignął na siodło i wraz z paru kozakami pognał ku rogatce, aż iskry posypały się z pod kopyt.

Strzelił za nim Zaręba. Iwan Iwanowicz chwycił się jeno za pośladek i, bijąc konia nogami i płazem, przepadł w ciemnościach.

— Wachmistrz Grodzicki, bierz dziesięciu Mirowskich i gnaj za nim, co jeno pary w koniach i na przełaj do grodzieńskiego traktu, a jeśli nie zgonisz w pół godziny, powracaj — rozkazał Zaręba i, zlustrowawszy, jako wszystkie pobrane gemeiny już w pętach i zawleczone do jakiejś stodoły, zajął się dopiero Kacprem. Przenieśli go pod studnię w rynku i ułożyli na zdobycznych burkach; miał głowę srodze nadłupaną, obficie krwawił i leżał nieprzytomny. Na szczęście ojciec

Serafin, majster od zalepiania plejzerów, opatrzył go akuratnie i wytrzeźwił.

— Wyliże się. Żeby nie tak z blizka, byłby mu rozłupał głowę, jak dynię. Nie lada gracz z tego Iwana Iwanowicza! Jakże się teraz czujesz?

— Bóg zapłać, niezgorzej. Nawet kija nie miałem w garści — jęknął w konfuzyi.

— No cicho, stało się — szepnął Zaręba, obcierając mu zroszoną potem i krwią twarz. — Może zdarzy się okoliczność, to mu oddasz za swoje. Maciuś, konie dawaj! Nie bój się, nie zostawię cię tutaj. — Mości Hłasko, jak tylko pogon wróci, zbierz Mirowskich i odprowadź, skąd ich wziąłeś, pozwól im po trzy dukaty na głowę, dobrze się sprawili. Waszmości głowa, żebyś się nie zetknął z pogonią. Spotkamy się w Grodnie. Czy aby przeniesie drogę? — spytał szeptem Serafina, wskazując rannego.

— Musi, pojadę z wami. Przyjdzie nam kołować światami dla przespieczeństwa.

Zjawił się Kaczanowski, który, podawszy sygnał napadu, przepadł był gdzieś, aby zejść z oczów swojej kompanii, pytając właśnie, coby z nią teraz począć.

— Znieść wszystkich jak są powiązani do komory, broń odebrać, ale wszystkie bagaże zostawić. Zagrozić pod gardłem karczmarzowi, żeby ich oswobodził dopiero w południe. Nie radzi będą powracali do Grodna. Ale ten Iwan Iwanowicz, jeśli się wymknie, narobi nam bigosu, za jakie trzy, cztery godziny nadciągnie pogoń!

— Nie będę na nich czekał; wsadzę swoich ludzi na zdobyczne konie, i pisz do mnie na Berdyczów —

zachwiał się i ledwie nie runął. — Psia twarz, jakoś mnie zamroczyło.

— W nogach błąd, kiedy w głowie nierząd — zaśmiał się uszczypliwie kwestarz.

— Zgaga mnie piecze, dyabli, spiłem się czy co? Te, chamie, skocz-no do karczmy i przynieś miskę kwaszonej kapusty, najskuteczniejszy to medykament.

— Waszmość nalałeś w siebie, że i beczka nie wstrzymałaby więcej.

— Aleśmy swojego dopięli, a Iwana Iwanowicza wystrychnąłem na dudka.

— Będzie on waści wspominał ze zgrzytaniem zębów! — odezwał się Hłasko.

— I, pogniewał się wójt gdański na króla polskiego — machnął wzgardliwie ręką. — Niechże szuka wiatru w polu. Może waszmość zrobi przegląd tych drapichrustów.

Zaręba, jako dowódca całej wyprawy, poszedł do ludzi gmerzących się przy ogniskach na nowo rozniecconych.

— Formuj się! Frontem, na prost. Marsz! — krzyknął Kaczanowski jakby na paradzie. Wataha, zemknąwszy się w linie, rypnęła nogami, aż zadygotała ziemia.

— Raz, dwa! Raz, dwa! Stać! — Wparli się w ziemię, jak wryci, przed Zarębą. Roześmiał się, gdyż większość przebrana była w mundury i rynsztunek, pozdzierany z gemeinów, wziętych do niewoli, a komu zbrakło karabina, ten kozacką pikę niósł na ramieniu, nawet dobosze stali na flankach.

— Taka parada ściągnie uwagę.

Nie był zadowolony.

— W łachmanach byli, bez butów i już ich wszy nosiły — usprawiedliwiał się markotny z przygany. — W pierwszem miasteczku każę krawietom ponaszywać obszlegi w naszych barwach i kto tam rozpozna. Prawie na sto chłopa nowy moderunek, to nie bagatela. Konie i wozy wysłałem do przeprawy. Chciałbym się zaszyć w lasy za-Niemeńskie jeszcze przed dniem. Pora mi ruszać!

Wyprawiwszy ludzi do przeprawy, wziął od Zaręby pieniądze na expensa, instrukcyę i planty okolic, jakiemi wypadało się przedzierać do brygady Madalińskiego, stacyonującej gdzieś nad Narwią, koło Ostrołęki, czule pożegnał towarzyszów i odszedł wielce chwiejnym krokiem.

— Szalona pałka. Nie chciałbym się należć w jego skórze — wyrzekł Hłasko i ruszył do Mirowskich, oczekujących na niego gdzieś w ogrodach.

— Kacpra weźmiemy na konia między siebie — kłopotał się Zaręba.

— Coś z nim gorzej, spojrzyj waszmość na niego — szepnął trwożnie mnich.

— Nie zostawię go w Mereczu, będą tu trzęśli do ostatniego bebecha. Wezmę go przed siebie na konia i jakoś dowiozę. Kacper! — pochylił się nad nim, ale ranny nie wydał głosu, poruszył jeno wargami, jakby go opuszczała przytomność.

— Boże miłosierny! Radź, ojcze! — Chwycił się desperacko za głowę.

— Wezmę go na swój kwestarski wózek, czeka tu na mnie od wczoraj, i dowiozę prosto na kwaterę podkomorzyny. Trzeba ją tylko uprzedzić.

— Maciuś zaraz pojedzie, ja zostanę z wami.

— Dla bezpieczeństwa pojadę sam, muszę drogi nadłożyć, ale wieczorem stanę w Grodnie. Jedź waszmość w bożą godzinę i nie marudź. — Przeżegnał go na drogę. Zaś prawie o samym wschodzie słońca wyjeżdżał z Merecza kwestarski wóz. Jak zwykle, przodem szły barany prowodyry, ogarniające spore stadko owiec kupionych na prędce, parob kiwał się na koźle, szkapy wlekły się leniwie, a ojciec Serafin, odmawiając pacierze, frasobliwie rzucał oczyma na Kacpra, leżącego pod budą, i często wycierał mu gorzałką nozdrza i twarz. Właśnie brali się z grodzieńskiego traktu na lewo, na polną drogę, wiodącą ku lasom, gdy czerwone, ogromne słońce stanęło na niebie.

. . . . . .

## XI.

Zarębie udało się z pomocą Bośniaków, należących do sprzysiężenia, przedostać na swoją kwaterę jeszcze przed otwarciem rogatkowych zastaw, pilnie strzeżonych od kozaków. I po paru godzinach odpoczynku, przybrawszy na siebie postać najmodniejszego z frantów, brzękający pieczątkami a łańcuchami, w chuście na szyi, że mógł się w niej zanurzyć po oczy, w pasiatej weście, w błękitnym fraku, w opiętych białych kulotach, w szpiczastym kapeluszu, piękny, pachnący francuskiemi wódkami, uśmiechnięty, mimo szczerej turbacyi o Kacpra, zamierzał pokazać się na mieście dla zwrócenia na siebie uwagi, gdy Hłasko stanął w progu. Sterany był i obłocony, twarz mu jednak pałała wzburzeniem.

— Co się stało? — wielce się zaniepokoił. — Jakaś zła przygoda?

— Jak najgorsza! Każ mi dać jeść. I słuchaj, co mi się przydarzyło! Pognałem z Merecza i spokojnie o samym wschodzie stanąłem na ekonomii, gdzie Mirowscy wypasują swoje konie. Rozdałem dukaty, zaleciłem sekret i zmierzam z chorążym pod jego namiot,

żeby się nieco przespać. Wypada z pod niego porucznik Zakrzewski. Czekał na nas od wczoraj: któryś z koniuchów doniósł mu o wymarszu dwudziestu pięciu ludzi. Wsiadł na mnie, jak na żydowską kobyłę. Mówię dur niowi łagodnie, jako waszmość wszystko mu wytłómaczy. Zbiesił się hebes jeszcze bardziej i kazał mnie brać w łyka. Na szczęście nie przyszło do tego, bo go nie posłuchali. Myślałem, że go szlag trafi, pobił gemeinów i obiecał wszystkich pod sąd hetmański oddać. Daję mu różne racye, przekładam, molestuję, a ten tnie tylko wciąż, jak papuga: król, służba, powinność. Brus to ostatni, tak mi bowiem szpetnie przymówił, że wyzwałem go na rękę. Cały szwadron ściągnął do Grodna i daję szyję, że poleci ze skargą do króla i hetmanów i powinny złoży raport. Sprawa weźmie paskudny dla nas obrót.

— Kiep z tego Marcina, nie neguję, ale żołnierz dobry i z wielkiego sentymentu do króla może nam gorącego sadła zalać za skórę. Mniejsza o azard naszego życia, byle jeno sprawa nie doznała uszczerbku. Jakby zasię wzięli indagować gemeinów a okoliczności, toby się domacali kłębka. Na żywy Bóg, tego dopuścić nie można — mówił głęboko poruszony. — Niema czasu do stracenia!

— Cóż waść zamierza uczynić?

— Muszę Zakrzewskiego powstrzymać od składania raportów, choćby mi przyszło użyć gwałtu. Niema drugiego wyjścia. Jedźmy, konie czekają.

Pojechali na Stary Zamek, będący w zupełnej ruinie, a gdzie na czas Sejmu kwaterowali Mirowscy,

pełniący przyboczną straż Króla Jegomości. W bramie, miasto wrótni, zagrodzonej baryerą, stały warty z nasadzonymi bagnetami, w długim dziedzińcu, pełnym rumowisk, kupili się żołnierze, jakby coś uradzając, gdyż podnosiły się wzburzone głosy i zaciśnięte pięście.

— Cóż się tu dzieje? — spytał Hłasko wachmistrza Grodzickiego, czekającego na nich.

— Obsadziłem bramę i wszystkie wyjścia, czekam rozkazów pana rotmistrza — zasalutował przed nim. — Byłbym nikogo nie wypuścił — szepnął znacząco. — Wszak tu chodzi i o naszą skórę. Już nas wszystkich brał na spytki.

— Stańże waść przy drzwiach, by nam kto nie przeszkodził... a czuwaj!...

Zakrzewski mieszkał w narożnej baszcie, srodze już spękanej od góry. Zajmował dwie stancye w parterze, urządzone z żołnierską modestyą. Właśnie był siedział pod wązkiem oknem, koncypując raport, gdy weszli. Porwał się i, na widok przyjaciela, zaczął prędko mówić, nie bacząc na żadne względy.

— Wiesz, co mi rotmistrz narobił? Zbuntował moich żołnierzów i poprowadził ich na zbój! Oficyerem jesteś, to rozumiesz, jaki to kryminał napadać w czasie pokoju na sprzymierzone wojska i to pod bokiem króla i sejmujących Stanów! Gardłowa to sprawa! I w mig się rozniesie, ambasador zażąda od króla satysfakcyi, a na mnie nieszczęsnym wszystko się skrupi. Ja odpowiadam za szwadron przed królem i hetmanem. Zaraz pójdę z powinnym raportem, a waści każę zamknąć na odwachu. — Zaczął się gorączkowo ubierać. —

Nie chcę stracić reputacyi, nie przeżyłbym takiej osławy! Jezu Nazareński, żeby mnie pomówili o rozboje! — jęknął w rozpaczy i, przypasawszy szablę, zmierzył ku drzwiom. Zaręba stanął przed nim.

— Nie ruszysz się stąd krokiem bez naszej woli. — Głos mu świstał, jak brzeszczot.

— Co to jest? Gwałt! Puść mnie, mam sprawę z rotmistrzem Hłaską. Ustąp!

— Cicho bądź! Pogadajmy po przyjacielsku. Ze mną masz sprawę, bo ja dowodziłem ekspedycyą, rotmistrz spełniał moją komendę. Powiem ci racyę...

Marcinowi z gwałtownego wzruszenia odjęło na chwilę mowę, stał sparaliżowany.

— Posłuchaj, w czem rzecz, a potem postąpisz wedle dyspozycyi serca i rozumu.

Ale snadź nie przekonały go racye i względy, jakie mu obszernie wykładał, bo wciąż się zaperzał, machał rękami, słuchać nie chciał i przerywał, powołując się na swoją powinność, króla, hetmana i honor, kiedy zaś w końcu Zaręba zażądał od niego poniechania raportów i puszczenia wszystkiej przygody w niepamięć, Marcin, że raptus był i uparty w raz powziętej myśli, a oddany królowi, wyrwał szablę z pochwy i zakrzyczał:

— Rota! Do mnie! — I rzucił się do drzwi, ale dwa gołe ostrza zagrodziły mu drogę, a wytrąciwszy szablę z rąk, zmierzyły jadowicie w serce.

— Milcz! Daję ci słowo honoru, że nie wyjdziesz żywy, jeśli natychmiast nie dasz kawalerskiego parolu, jako całą okoliczność zachowasz w najgłębszym sekrecie. Wybieraj! — dyktował Zaręba z ponurą determinacyą

rawan, nie broniący cudnego widoku. Wytrwał, ale poczerwieniał, jak toruńska cegła, i był cały w potach.

— Musi być dzisiaj upał na dworze? — szepnęła, zagryzając usta ze złości.

— Nadzwyczajny! — upewniał tonem, że roześmiała się udobruchana i, rozumiejąc go onieśmielonym wobec siebie, zapragnęła urobić powolnym.

— Zjemy razem obiad, zaś na podwieczorek zawiozę waćpana do hetmanowej Ożarowskiej, tam się ochłodzisz. Pozwól proszę, chusta na szyi rozwiązana...

Wparła się w niego piersiami, lubując jego skłopotaniem i rumieńcami.

Ale przystał jeno na podwieczorek, gdyż odpowiadało to jego intencyom i dzisiejszej sytuacyi, aby się wszędzie wystawiać na oczy.

Odjechał, klnąc w żywe kamienie, i pomimo szalonego upału włóczył się po bilarach i traktyerniach, pilnie nasłuchując, zali nie mówią o Mereczu?

Snadź jeszcze się było nie rozniosło, gdyż wszędzie rozprawiano z niemałem zacietrzewieniem o pruskich materyach, jakie lada dzień miały być deliberowane na Sejmie, o co już usilnie zabiegał Buchholtz, jego kreatury, a szczególniej jego talary.

— Podhorski z Józefowiczem wczoraj sporo przegrali do Bielińskiego, znaczy jako król pruski ekspensuje się już nie na darmo — szeptał na ucho sąsiadom u Sułkowskiego jeden z wszystko wiedzących, szlachcic z pod Oszmiany, Jankowski.

— Kto się ośmieli na Sejmie przemówić za traktatem pruskim, tego wziąć na szable!

— Najjaśniejsza aliantka ukróci te pruskie łajdactwa, zobaczycie!

— Żeby sama mogła się więcej obłowić.

— Bzdurum badurum, mój dobrodzieju! — ozwał się lekceważąco Jankowski. — Kossakowski właśnie kartuje połączyć całą Litwę z Rosyą i przy jej pomocy wybić Prusakom zęby i odebrać, co zagrabili, a koronę w independencyi utwierdzić!

Wrzawa buchnęła przy sąsiednim stole gęsto obsiadłym i ktoś powiedział złośliwie:

»Szukszta, Pukszta, Puciata, Łopatta,

»Zebrały się kpy z całego świata«. — Uderzył pięścią w stół i ruszył ku drzwiom, nie bacząc na powstałe obrazy, groźne twarze i jeszcze groźniejsze słowa, świszczące jak kamienie. Odwrócił naraz głowę i rzekł wyzywająco:

— A kogo moje słowa swędzą, nazywam się Ruszczyc i jestem do usług waszmościów w kamienicy pocztamtu, gdzie kwateruję. — Zatoczył dumnie oczyma.

Kłótnia powstała z racyi polityki, ale Zaręba już nie czekał końca i wkrótce się nalazł wraz z podkomorzyną w ogrodzie pani Ożarowskiej, gdzie pod olbrzymim tureckim namiotem, ustawionym wśród drzew, zebrała się wybrana socyeta. Tam już mówiono o Mereczu, podając sobie na ucho nowinę, szczerze przytem dworując z przygody konwojowych oficyerów. I uważano to zajście za zwykłą awanturę.

Jeden tylko regimentarz Ożarowski, człowiek stary, przebiegły i w licznych kabałach wyćwiczony, inaczej miarkował, bo rzekł do Ankwicza, stojącego z Woyną:

— To mi zalatuje czemś znacznie ciekawszem.

— Za zbiegami poprowadził kozaków von Blum, ten im zada bobu. Nie wiem, czyli już ich batami nie zawraca — ozwał się jeden z przybocznych oficyerów hetmana.

— W paru dniach ujawni się cała prawda! Nie psujmy sobie przyjemności — zawyrokował Ankwicz, ujmując pod rękę Woynę, z którym od pewnego czasu pozostawał w zażyłości. Posunęli się do margrabianki Lulli, gęsto otoczonej, namiętnie admirowanej, cieszył się pono jej łaskami, o czem już szeptano powszechnie.

Jakoż i nie mówiono więcej o Mereczu, socyeta nazbyt była zaabsorbowana sobą i siurpryzami podwieczorku.

Pod namiotem zaczął właśnie grać na klarynecie jakiś gruby Niemiec w białej peruce: biegle przebierał tłustymi palcami, a dmuchając w instrument, aż mu pęczniały czerwone policzki, wyciągał tkliwe trele, gwiżdżące fiorytury i jękliwe aryety; darzono go rzęsistymi aplauzami, gdyż był protegowanym Sieversa i często grywał w jego prywatnym apartamencie. Większość jednak towarzystwa, przekładając swobodę, rozproszyła się po chłodnych, zacienionych altanach, szpalerach i boskietach. Zewsząd słyszeć się dawały rozbawione rozmowy i wybuchy śmiechów.

Zaręba, czując się niedysponowanym, miał ten podwieczorek za ciężką powinność, gdyż nudziła go socyeta, muzyka przyprawiała o mdłoście, zaś miłosne gruchania za jedno z dyskursami polityków rozdrażniały do żywego. Mężnie się jednak wystawiał i, pokazując twarz

wesołą, motylkował przy damach, sypiąc im kwieciste dusery i napuszone komplimenty. Tak był ściągał uwagę urodą, dowcipem i swoją niepokalaną francuszczyzną, aż pani Ożarowska wzięła go pod swoją szczególną opiekę. Wypocił się biedak za wszystkie grzechy, lecz na stanowisku wytrwał, zyskując u niej niemałe awanse...

Ulitował się nad nim Woyna i, wyrwawszy z tej opresyi, odprowadził na stronę.

— Uwzięła się na ciebie ta stara wysiedziana kanapa.

— Obiecuje mnie protegować do hetmańskiego sztabu — zaśmiał się.

— Ta szarża zbyt drogo-by cię wyniosła. Baba całkiem zjełczała. Miłosnych praktyk ma jednak wielką eksperyencyę. Niejeden mógłby o tem powiedzieć...

— W sam raz-by jej przystać do jakiego regimentu na markietankę.

— Wieczorami grywają u Ankwicza. Chcesz wziąć się za bary z fortuną?

— Zali mi starczy amunicyi do takiej walki! A przytem wysokie to progi...

— Pełny worek zapełnia najgłębsze przepaści; faraon równa lepiej stany, niźli to myślą filozofowie! Cóż się to za burda stała w Mereczu?

— Słyszałeś — umknął z oczyma. — Szczegółów nie wiem. — Zdziwił się pytaniem.

— Człowieku, jak ty masz zawiązaną chustę na szyi? Gdyby to spostrzegł Ankwicz lub Narbutt, a byłbyś skompromitowany i ogłoszony sankiulotem.

— Nie ważę ja sobie żadnych opinii tych Muscadins. — Widziałeś szambelanową?

— Nie przyjechała. Snadź odprawuje w domu żałobę po Zubowie — ani przeczuwał, jak to zabolało Sewera. — Nie uważałeś, w jak czułej komitywie kasztelan z Cycyanowem? Zwraca to nawet uwagę i różne domysły powstają z tej racyi

— Jestem w niełasce u kasztelana i widuję go tylko z daleka.

— Pójdziesz do Ankwicza? Zagralibyśmy do motyi....

— Któregoś dnia poproszę cię o wprowadzenie Ale — pochylił mu się do ucha — gdybyś ułowił coś ciekawszego względem awantury w Mereczu, zapamiętaj i powiedz. Sekretu proszę i sekret zapewniam. — Zawierzył jego poczciwości.

— Zrozumiałem odrazu, jakoś tej sprawie blizki. Dobrze, właśnie nigdzie jak u Ankwicza lepiej się nie dowiem — zapewniał, wyciągając rękę, gdyż zbliżała się majestatycznie podkomorzyna z niedostępnym murzynkiem.

— Uważaj, żeby dzieci nie były w czarno-białą kratkę lub w paski! — rzucił ze śmiechem.

Było już po zachodzie, niebo stanęło w purpurowych łunach, co zapowiadało upał na jutro i wiatr, i zmierzch już rozpełzał się po ziemi, gdy odjechali do domu.

Zaręba pilił do powrotu, w nadziei, że już tam zastanie Kacpra.

Nie było go jeszcze. Czekał natomiast na podkomorzynę jej główny plenipotent dóbr, leżących w ko-

donie cesarskim, Siedlecki, szlachcic chuderlawy, miernej postawy, z rzadką bródką i w okularach; nosił się po polsku, w mowie był powściągliwy i z oczu patrzała mu poczciwość i rozum. Zamknęła się z nim w kancelaryi, pozostawiając Zarębę na złośliwe przycinki kniaziówny, anegdoty Rustejki i piski domowej menażeryi. Ścierpiał, zajęty wyczekiwaniem daremnem, i pozostał jeszcze na wieczerzy. Przeszła dosyć wesoło, dzięki Siedleckiemu, który okazywał się być człowiekiem gładkich manier i rozległej nauki, nabytej w Krakowskiej Akademii. Srogie ewenta losów pozbawiły go fortuny, dając w zamian szersze objęcie życia, dowcip i słodką rezygnacyę. Rozpowiadał ucieszne zajścia Galicyan z cesarskimi urzędnikami, a szczególniej jak sobie poczynał z nimi głośny wojewodzic Gozdzki. Przyczem cale nie respektując austryackich rządów, lecz jakie sam wyznawał opinie, nie zdradził się, mimo macań Zaręby. Równo o dziesiątej odprowadził go Rustejko na spoczynek, gdyż był upalił jednym tchem drogę z Krakowa.

Podniósł się również i Zaręba do odejścia. Nie puściła go i, zaprowadziwszy do kancelaryi, wskazała rozłożone regestra.

— Zlituj się waćpan i pomóż! Gdzież ja biedna białogłowa uradzę takim liczbom! Rabują mnie, oszukują i pewnie do nędzy przywiodą, bo niema się komu ująć za sierotą i zatroskać! — lamentowała, lecz gdy nolens volens zasiadł do sprawdzania, z wielką biegłością pomagała, zdradzając niepowszedni rozum i doskonałe rozumienie ekonomii. Skończył o pierwszych kurach, nalazłszy wszystko w porządku co do jednego

grosza. Podziękowała mu z wylaniem i godnie, jeno utyskując powściągliwie nad swoją nieudolnością zarządzania wielką substancyą.

Był tak znużony i wyczerpany przygodami poprzedniej nocy i dnia, że oddał Maciusiowi lejce i zadrzemał, pomimo wybojów i podrzucań karyolki. Nie zauważył nawet powiększonych wart i patrolów, snujących się po mieście. W domu już go czekało wezwanie do Działyńskiego, więc zaledwie przedzwoniono u Bernardynów na prymaryę, musiał się śpieszyć do pałacu Ogińskich. Już tam na niego czekał szef wraz z Jasińskim i A. Kosińskim, »wojennym komisarzem« Prozora. Zasadził ich do wygotowywania instrukcyi dla rozjeżdżających się delegatów, względem sposobów prowadzenia zapasów i ludzi, punktów koncentracyjnych i uzbrajania chłopstwa. Osobno szły katalogi dworów, oddanych sprawie w poszczególnych ziemiach, rozłożenia wojsk nieprzyjacielskich, linii komunikacyjnych i poczt. Wszystko bowiem przewidywało powstanie na początek września. Zasię generalną plantę insurekcyi koncypował Kościuszko w Lipsku wespół z Potockim, Kołłątajem, Weyssenhoffem i drugimi, on też miał udecydować dzień i miejsce wybuchu.

Pracowali całe trzy dni, pomimo nadzwyczajnych upałów, zamknięci w niewielkiej komnacie pałacu, żywiąc się byle czem i sypiając na rozściągniętych burkach. Sam Działyński obsługiwał ich ze swoim ordynansem, nie omieszkując parę razy na dzień przynosić i wieści, co się dzieje w mieście i na Sejmie. Jakoś

zaraz pierwszego dnia odraportował nowiny, krążące o Mereczu.

Wtedy Zaręba przyznał się do swojego udziału, opowiadając wszystkie okoliczności. Nie w smak to poszło Działyńskiemu, Kosiński aż poczerwieniał z uciechy, a Jasiński, nie zupełnie obcy tej awanturze, że miał żywą imaginacyę, zawołał z uniesieniem:

— Waśćby gotów wykraść całą armię Sieversowi!

— Gdybym dostał rozkaz — odparł nie bez przechwałki. — Muszę oddać sprawiedliwość Kaczanowskiemu, jego to głównie zasługa.

— Tenby dyabła wyprowadził w pole. Byle jeno nie wpadli na jego tropy...

— Podziwiam, admiruję kawalerską fantazyę, ale nie pochwalam! — krzywił się szef.

Nie było czasu na dłuższe deliberacye w tej materyi.

Ale na drugi dzień po południu wpadł Działyński wielce zgorączkowany.

— Wiecie? Oficyerów konwojowych zdegradowano, a gemeinów puszczają przez rózgi. Mówią już o Kaczanowskim. Rautenfeld wściekły już latał w tej sprawie do Sieversa. Hetman Kossakowski posłał szwadron w pomoc Blumowi, a na swoją rękę całą sforę szpiegunów rozpuścił. Gotów wyłowić tych biedaków, a przez nich i dobrać się do twojej skóry, poruczniku. — Zatroskał się o niego.

— Tanio mnie nie wezmą — odparł niemile dotknięty przypuszczeniem.

Działyński jednak nie przestał się kłopotać jego bezpieczeństwem, gdyż po skończonej pracy i przed samym odjazdem z Grodna znowu powiedział:

— Radzę ci, pakuj manatki i wyjeżdżaj. Rautenfeld powiedział, jako nie spocznie, dopóki nie wyśle na Sybir Kaczanowskiego i spólników. Doniósł mi o tem Mirosławski, on to wie od Ożarowskiego. Masz moją permisyę, przyczaj się na ten miesiąc gdzie na wsi, w Koronie, zresztą, nie będą cię śmieli napastować.

Zaręba rozumiał niebezpieczeństwo swojej sytuacyi, lecz bez wieści o Kacprze ruszyć się z Grodna nie chciał, a na te wiadomości czekał już szósty dzień i coraz bardziej się niepokoił. Nie mniej trwożył się i własnym losem, więc zaraz po wyjeździe szefa zaczął się pokazywać, gdzie tylko było można. Poszedł zuchwale na obiad do Sieversa, nie bez wstrętu obcując z najpodlejszymi jurgieltnikami. Zabiegał o fawory pani Ożarowskiej, towarzysząc jej wiernie na promenadach. Postarał się o inwitacyę margrabianki Lulli, gdzie bywało niewielu, gra szła wysoka i panowały maniery, godne królewskiej gamratki. Stał się domownikiem hr. Camelli, u której zbierały się szumowiny awanturników wszelkiego autoramentu, panował Litlplaye, gospodarzył Boscamp, a uświetniał niekiedy Sievers, wielbiciel jej cudnego głosu. Odwiedził nawet któregoś wieczora Cycyanowa na Horodnicy. Pułkownik wydał się być serdecznym jak zawsze, częstował czajem, zwierzał się ze swoich amorów i nowej zgody z Izą, lecz ostrożnej wzmianki o Mereczu jakby niedosłyszał. To go zastanowiło.—Coś podejrzewa!—myślał, nadarmo próbując od-

czytać prawdę z jego bladych, jakby ugotowanych oczu i życzliwej twarzy. Znalazł się i na niedzielnem przyjęciu biskupa. I znowu się zatrwożył, gdyż Kossakowski, jakoś szczególniej go wyróżniając, kazał mu siąść przy sobie i obcesowo rozpytywał, co mówią na mieście o Mereczu. Patrzył przytem tak przenikliwie, jakby się czegoś dorozumiewając. Zadygotał pod temi oczyma przyczajonego bazyliszka, lecz odzyskawszy rezon, powziął zuchwały plan wywiedzenia go w pole. Ale zaczął ostrożnie, kołująco.

— Słyszałem o tem zdarzeniu tyle wersyi, że nie wiem, której dać wiarę.

— Nic dziwnego. Zaniepokojona powszechność snuje przeróżne ambaje, szuka winnych i żąda ich mieć ukaranymi. Napaść na wojska Imperatorowej, to niemała rzecz. Zrabowali przytem skarb rosyjski na kilkadziesiąt tysięcy dukatów! Znasz może niejakiego Kaczanowskiego, kapitana? — zaindagował znienacka.

— Tyle, że wiernik to Działyńskiego, gracz, pijanica i oczajdusza.

— Przecież Działyński na zbój go nie posłał — oburzył się.

— Anibym śmiał suponować; powiadam, jakim znam Kaczanowskiego. To nie jego sprawka. Ale mówią dosyć zgodnie, że całą awanturę ukartowali werbownicy króla pruskiego. Nie zdaje mi się to podobnem do prawdy...

— Werbownicy króla pruskiego — zastanowił się poruszony. — A wiesz, ta wersya nie jest bez sensu. Nad tem należałoby się zastanowić.

— Bywało, jako w Warszawie wykradali gemeinów prosto z koszar — podsuwał chytrze. — W transporcie było podobno przeszło sto chłopa, to rzecz łakoma dla werbowników i niemała fortuna. Król pruski nigdy nie żałował ekspensów na żołnierzów. Chytrze umyślili całą rzecz, podając w podejrzenie innych.

— A może o Kaczanowskim zmyślili dla zamydlenia oczów? — próbował bronić.

— Wyjechał z Grodna wraz z konwojowymi oficyerami, jako ich kompan i towarzysz broni, spoił wszystkich w Mereczu, a podczas napadu gdzieś się zapodział...

— Weźmie za swoje, jeśli go dostaną — zauważył zimno, patrząc mu w oczy.

— I słusznie, a nigdy za mało. Za jego przyczyną odwlecze się znowu wymarsz wojsk rosyjskich — powiedział udanie bolejącym głosem. — Sievers będzie się zasłaniał potrzebą ugruntowania w kraju bezpieczeństwa i spokojności. Zabiłeś mi jednak klina tymi pruskimi werbownikami. Cóż w tym względzie wiesz jeszcze?

— Że i Buchholtz nie obcy tej kabale — brnął coraz zuchwalej — pono w ostatnich czasach głośniej zabrzęczały w Grodnie pruskie talery...

— To już czysta plotka. Król pruski nie znajdzie u nas swoich popleczników, choćby i rozpuścił skąpego worka — oburzał się, pociągając go za język w tę stronę.

— Już ich nazywają... Ktoś nawet puścił na miasto ich katalog...

— Niegodne oszczerstwa, jak i tyle drugich. Bym wiedział nazwiska tych Katonów, podających najgodniejsze imiona w swoich podłych paszkwilach, dałbym wiele— spojrzał oczekująco. — Dałbym bardzo wiele. Nie miarkujesz, kto to być może?

— Jako żywo, nie widziałem jeszcze na oczy żadnego literaty — wypierał się najszczerzej.

— Pewnie jakiś szczekacz z kołłątajowskiej kuźnicy — udobruchał się prędko i, podając mu rękę do pocałowania, spytał wielce przyjacielsko: — Kiedyż cię zobaczę w mojej kancelaryi? Jakoś ci nie pilno do pracy. Smakują hulki, amory, karteczki, co? Mówił mi Woyna, jak się tu wisusujesz! — śmiał się, grożąc mu palcem. Przyobiecał w paru dniach stawić się do jego rozporządzenia i odszedł, przysięgając sobie najsolenniej nigdy już w życiu nie przestąpić progów jego pałacu.

I peregrynował dalej po miejscach wszystkich zebrań, zabaw, hulanek i kompaniach, zatrudniających się kartami, i gdzie się tylko spodziewał posłyszeć o Mereczu, tak go bowiem przeżerały niepokoje o losy Kaczanowskiego, Kacpra i tylu odbitych gemeinów. Pełno go też było wszędzie i głośno, ku zdziwieniu znających jego wyniosły, surowy sposób myślenia i gorący patryotyzm. Zelanci, z którymi spotykał się niekiedy u Zielińskiego, bądź u podkomorzyny, nie szczędzili przygan, znajdując jego hulaszczy sposób życia cale niewłaściwym.

— Kto się zadaje z plewami, tego świnie zjedzą — rąbnął wręcz Krasnodębski.

— Bo z jakim się wdajesz, takim się stajesz! — dopowiedział Skarzyński, z ojcowską zgoła powagą przestrzegając przed ufrakowanem modnie ultajstwem.

Że nie mógł zdradzić się z powodów, podziękował im za rady, nie obiecując zresztą poprawy, i nurzał się dalej we wszystkich kałużach grodzieńskiego życia, wyczekując z coraz większą gorączką powrotu Kacpra, lub jakiejś wieści.

Któregoś dnia, po ciężkiej walce z sobą, odwiedził dom kasztelana.

W bawialni zastał jeno Terenię i Marcina; porucznik siedział na środku rozkraczony i z wyciągniętemi przed się rękami, czyniąc z nich jakoby motowidło, osnute żółtą, jedwabną przędzą, którą Terenia zwijała na kłębuszki.

— Proszę, waćpan przypomniał sobie o nas! — przycięła z miejsca. — Nie tłómacz się, wiemy, jakżeś zatrudniony po balach i asamblach, wiemy!...

— Mało jeszcze pułkownikównie mieć jednego porucznika w załodze? Każdy szuka lepiej, gdzie mu się je widzi należć! Nie płakała za mną waćpanna?

— Zato inne gorzkie łzy ronią, jeśli cię co dnia nie zobaczą — trzepała, nawijając nici z wielką biegłością. — Wszystkie damy rozpowiadają sobie na ucho o twoich amuretkach, przygodach i tryumfach! Marcin, bo dostaniesz po łapach — groziła za jakiś niewinny zgoła rękoczyn Zakrzewskiego.

Zjawił się szambelan w zwykłej asyście Kubusia, leków, szalów i jękliwych utyskiwań, witając go jednak z ostentacyjną serdecznością. Wkrótce przyszła i kaszte-

lanowa, smutniejsza niźli zwykle, cichsza, bardziej zadumana i wpatrzona w jakieś zaświatowe dalekoście, a za nią sunął biały cień Hiszpana, straszącego twarzą bladą jak papier, przepaściami czarnych oczu i pozorem wskrzeszonego Piotrowina. Zaczem o samym zmierzchu, gdy liberya pozapalała pająki, ukazała się dopiero Iza. Zaręba omal nie krzyknął ze zdumienia, tak mu się wydała dziwnie przemienioną — szła spowinięta w melancholiczne, tkliwe uśmiechy i w powłóczyste, ciemne szaty, z oczyma mniszki w godzinę niebiańskich widzeń, a tak cudna, wzniosła i porywająca, że wszystkie spojrzenia padły przed nią w niemem uwielbieniu.

— Ty cudzie jarmarczny! Ty kłamne bóstwo! Ty żołnierska Afrodito! — mówił jej wzgardliwemi oczyma Zaręba, ale chociaż mu było śpieszno, pozostał u nich na cały wieczór. I z niepomiernem zaciekawieniem przypatrywał się Izie, oddającej się teraz rzeczom wyższego rzędu, dysputom z mnichem i kasztelanową rozważającymi zawiłe ustępy pism św. Teresy.

— Przeodziała się w teologie, jak w modny strój — szepnął Marcinowi, ale ten poza Terenią nie widział, co się dzieje dokoła. Rozciekawiał go również szambelan, jego złośliwe spojrzenia, ciskane na żonę i mnicha, i częste wybuchy dyskretnych śmiechów. Snadź zabawiał się tą komedyą, odgrywaną z niemałą sprawnością i uroczystem przejęciem. Ale miarę jego dzisiejszych zdumień wypełnił kasztelan, który, przyszedłszy na wieczerzę, podał mu rękę, jakby pomiędzy nimi nic nie zaszło, nie dotykając nawet tej materyi, a dopiero wychodząc, zwrócił się do niego:

— Matką molestowała w liście, bym cię przynaglał do opuszczenia Grodna. Tęsknią za tobą w domu.

Słowa tak były wymówione, że musiał je zrozumieć jako ostrzeżenie przed jakiemś niebezpieczeństwem. Wziął je pod głęboką rozwagę i, zanurzywszy się znowu w miasto, poczuł niechybnym instynktem spiskowca i żołnierza, jako włóczą się za nim jakieś podejrzane persony. I nie marszałkowska to była policya, gdyż awantura w Mereczu nie podlegała jej juryzdykcyi, a przytem już spadła z wokandy publicznej uwagi, pochłoniętej aktualnie stokroć ważniejszą kwestyą traktatu z Prusami. Mogły więc tylko za nim tropić ambasadorskie ogary, to zaś groziło porwaniem i wywiezieniem Bóg wie gdzie. Że się nie mylił, przekonało go akuratnie zajście z von Blumem na wieczorze u hr. Ankwicza, gdzie się znalazł jeszcze tej nocy.

Przyszedł dosyć późno, gdy już grano we wszystkich salonach, i pierwszą osobą, jaką zobaczył, był von Blum, który zrazu jakby go nie spostrzegł, ale po jakiejś chwili zbliżył się z serdecznemi powitaniami, a odprowadziwszy na stronę, zwierzył się ze swojej pogoni za zbiegami. Dawał rozumieć, jako nie nazbyt następował im na pięty i pozwolił ujść, wynosząc przytem dzielność i spryt Kaczanowskiego.

Zaręba nie dał się wziąć na plewy podstępnej indagacyi, i zaziewał, upewniając, że lepiej gonić za fortuną na zielonych stolikach, gdzie już faraon toczył się w najlepsze. Już teraz wiedział, że mają go w podejrzeniu. Mróz go przeniknął, ale zasiadł do kart i grał

Dochodziła czwarta, gdy Maciuś szarpnął go za rękaw.

— Melduję pokornie: nadchodzą, już słychać tententy...

Podniósł się, władnąc sobą jak nigdy i z twarzą zastygłą na kamień, nasłuchiwał. Tylko deszcz trzepał po szybach i wiatr przegwizdywał w kominie, ale nie wyszło i Zdrowaś, na ganku zahuczały uderzenia kolb i gwałtowne kołatania.

— Otwórz! Umknij przed pierwszym impetem i powracaj mi do boku — zaszeptał, a przeniósłszy świecę na komin, przeżegnał się i położył rękę na rękojeści.

Trzasnęły drzwi frontowe i od ciężkich kroków tłoczącego się żołnierstwa zadygotały dyle i ściany; potem otwarły się na rozcież drzwi do stancyi, las pochylonych bagnetów zamigotał, walili całą hurmą, a na czele szedł von Blum z gołą szpadą w ręku.

— Oddaj waszmość szablę, jesteś aresztowany! — powiedział, umykając z oczyma.

— Ach, to waść, panie kapitanie! Proszę, jakimże szczęśliwym okolicznościom zawdzięczam tę miłą wizytacyę? Co za szczególniejsza asysta! — drwił, przysuwając się do stołu. — A jakiemże to prawem śmiesz asan napadać po nocy wolnego obywatela? — Głos mu zadźwięczał śpiżem gniewu i groźby.

— Każę cię brać w pęta, jeśli nie oddasz mi szabli.

— Weź ją sam, podły niewolniku! Podejdź i weź, rakarzu, zbóju i złodzieju! Weź!

— Brać go w postronki! Ruszaj! Prędko! — krzyknął, ustępując żołnierzom, którzy z pochylonymi bagnetami ruszyli do ataku. Zaręba z błyskawiczną szybkością pchnął na nich długi stół, że się rozlecieli na wszystkie strony, a sam runął na Bluma. Zamigotały szable, zgrzytnęły ostrza i po trzeciem złożeniu kapitan, straszliwie cięty przez ucho i twarz, zatoczył się na ścianę i padł.

Zawrzała bezładna bitwa w ciasnej izbie i sieniach, huragan wrzasków wybuchnął. Zaręba strzelił w kupę i, wydarłszy jakiemuś karabin, rzucił się z furyą w największy gąszcz. Maciuś, rycząc w niebogłosy, prał drągiem, aż wióry leciały ze łbów i karabinów. Wymietli żołnierstwo do sieni, tak sobie już folgując, że raz po raz wyrywał się nieludzki krzyk i ktoś walił się na ziemię.

Żołnierze bez dowódcy, zaskoczeni nieoczekiwaną gwałtownością obrony, stłoczeni w ciemnej sieni, cofali się bezładnie na ganek, ledwie się odcinając straszliwym ciosom napastników, co spadały gradem piorunów. Zagrzmiały salwy karabinowe: to pozostali na dworze kozacy jęli strzelać w okna, ściany i gdzie popadło.

Naraz uczyniło się widno, dach stanął w płomieniach i dziwnym trafem cała rudera buchnęła ogniem. Powstał nieopisany zgiełk. Klasztorne dzwony zahuczały na trwogę. Jacyś ludzie nadbiegali z widłami, kosami, i czem kto miał pod ręką. Uderzono na żołnierzów, w pomoc Zarębie.

— Na pomoc! Rabusie! Na pomoc! Ratunku! — rwało się ze wszystkich gardzieli.

Nadbiegły marszałkowskie straże, alianckie warty, nawet kozackie patrole, bitwa się przerwała, gdyż który jeno z gemeinów mógł, uciekał, gdzie go poniosły oczy, przed wściekłością nadbiegającego pospólstwa, uciekła nawet kibitka z konwojowymi kozakami, pozostał jeno ciężko ranny, nieprzytomny von Blum i paru jego porąbanych socyuszów. Powiązano ich niby barany i, wywlókłszy z płonącego domu, porzucono w błoto pod wartę marszałkowskich.

Zaręba, zakrwawiony od licznych zadraśnięć, w porwanem odzieniu lecz z piorunami w oczach, krzyczał do coraz większych tłumów, jako napadli na jego kwaterę rabować alianccy żołnierze i to pod wodzą oficyera!

Świt się już robił zielonawy od deszczu, płaksiwy i zimny, gdy płonąca rudera zawaliła się z trzaskiem, wybuchając słupami skier i płomieni. Już się było zbiegło pół miasta i taki gniew srożył się na rabusiów, że straże musiały bronić powiązanych, bo byliby ich rozerwali na sztuki.

Dopiero o dobrym dniu i przynagleni zaniepokojeniem, jakie powstało w całem mieście, nadjechali na miejsce zdarzenia: marszałek wielki Moszyński, regimentarz Ożarowski i Sieversowy komendant Grodna, generał Rautenfeld, który snadź już wiedział o nieudanej wyprawie, ale milczał, zacinając jeno zęby i groźnie tocząc oczyma.

Zaręba z Maciusiem tak gdzieś przepadli, jakby kamień w wodzie.

Tłum się burzył i dawały się słyszeć głosy coraz liczniejsze i groźniej brzmiące, że ich porwano na kibitki i wywieziono...

. . . . . .

## XII.

Niezdarzone porwanie Zaręby stało się dosyć głośnem, dla Sieversa i jego kompanionów nawet kłopotliwem, ale z tej racyi nie podniósł się krzyk na wszystką Rzeczpospolitą, chociaż zelanci próbowali rozdmuchać zdarzenie, grożąc jego wywleczeniem na sejmowe forum. Zieliński chciał nawet zapisywać w grodzie protestacye, zaś Woyna, nie dowierzając zapewnieniom Rautenfelda, długo się kłopotał niewiadomym losem przyjaciela.

Powszechność animowała się czemś zgoła ważniejszem.

Zaczęły się bowiem dni sejmowych deliberacyi nad traktatem z Prusami, pochłaniające całą społeczność od króla do ostatniego mości dobrodzieja.

Owo ten król pruski, z którym były zawarte sojusze, który jeszcze niedawno skomlał o przyjaźń Rzeczypospolitej i przy zdarzonych okolicznościach zapewniał o niezmiennej wierności, ten król pruski, którego przodkowie, wywiedzeni z nicości przez Polskę, na kolanach w rynku krakowskim zaprzysięgali przed jej Majestatem poddaństwo i swoje wierne służby — podeptał

przysięgi, zdradził nikczemnie położoną w nim wiarę, i podawszy hasło nowego rozbioru, po zbójecku napadł Wielkopolskę i zajął ogromny szmat kraju, aż po Rawę, Pilicę i Sochaczew. Zagrabił prawem kaduka, jak najostatniejszy z łotrzyków! A teraz przez swego ministra śmie jeszcze nasyłać harde noty i żądać od zgromadzonych Stanów dobrowolnego wyrzeczenia się ziem podstępnie zagrabionych! Chce prawnie władać odwieczną kolebką narodu i przymusza sejmujące Stany, »żeby natychmiast deputacyę opatrzyły plenipotencyą, potrzebną do ukończenia negocyacyi i do podpisania traktatu provisorie uprojektowanego, który był przedmiotem mianych z nim konferencyi. Inaczej Naj. Król. Imć. pruski, będzie się widział w konieczności rozkazania generałowi Möllendorfowi, ażeby do nieprzyjacielskich przystąpił kroków, wkraczając do pozostałych krajów Rzeczypospolitej, i takowe przedsięwziął miary, które jeszcze więcej los Polski ucisną i ściągną najokropniejsze skutki na tych, którym się podoba pomnażać przez ślepą opozycyę klęski swej ojczyzny.

Tak przemawiał do wolnego narodu, imieniem swego pana, Buchholtz...

Taki głos podnosiła zuchwała nikczemność, dufająca jeno prawu pięści...

I przez takich wiarołomców i tyranów nauczyła się Polska nienawidzieć i przeklinać. Więc kto jeno miał człowieczą duszę, w kim nie wytlało sumienie i żyło jeszcze czucie wolności, ten przeciwił się oddawaniu najmniejszej cząstki ziemi w moc podłego rabusia i ciemiężcy.

— Raczej nam oddać wszystką Rzeczpospolitą pod opiekę imperatorowej! — wołali stronnicy Kossakowskich, a wraz z nimi większość zrozpaczonych.

Drudzy zaś, z których głównie przyczyny kraj przyszedł do takiego upadku i poniżenia, jak bywszy hetman Rzewuski i część generalności targowickiej z wojewodą sieradzkim, Walewskim, na czele, chciała rozpisywać uniwersały na pospolite ruszenie i mieczem a ogniem zanieść odpowiedź królowi pruskiemu — ale Sievers czuwał i w porę a skutecznie takowe zamysły przygasił, grożąc malkontentom konfiskatą majętności i wysłaniem. Już bowiem zrzucił maskę życzliwości, coraz brutalniej naciskając Sejm do przyjęcia pruskich żądań.

Najgłębsza, bo bezradna rozpacz ogarnęła umysły cnotliwych i serca. Rzeczpospolita leciała w przepaść bez nadziei jakiegobądź ocalenia...

Nie zwątpiła tylko w jej podźwignięcie i żywot nieśmiertelny ta przyczajona do czasu garść sprzysiężonych i egzulów, tułających się po obcych krajach, lecz tego ani się mogła domyślać powszechność, wystawiona na wszystkie udręczenia niepokojów, żałości i najczarniejszych trwóg.

Przez te pamiętne dni, od 26 sierpnia do 2 września, Grodno dawało z siebie obraz zgoła niepowszedni, tak było do dna wzburzone i rozanimowane. Wszyscy i na każdem miejscu zajmowali się jeno sprawą traktatu, ważąc w nieskończonych deliberacyach widoki jej przyjęcia lub odrzucenia przez Sejm. Nawet pospólstwo, ku niemałemu zdumieniu, dawało wyraz swej

nienawiści do Prus. Którejś nocy wybito szyby Buchholtzowi, że musieli jego kwaterę opasać kordonami grenadyerzy Cycyanowa. Jakichś Niemców ledwie wyrwano z pazurów rozjuszonego tłumu. A co już dawało do myślenia, że w biały dzień pod Jezuitami spalono konterfekt króla pruskiego, a imiona jego sejmowych jurgieltników powieszono, przyczem uczynił się taki tumult i zbiegowisko, aż kozacy musieli się wdać z nahajkami.

Nienawiść powszechna wzrastała z dnia na dzień i każdego z podejrzanych o życzliwość do Prus, a w szczególności posłów, prześladowano wzgardą, iż chyłkiem, zaułkami przekradali się na Sejm, poniektórzy nawet pod eskortą. Poruszenie umysłów zdało się grozić jakimś powszechnym wybuchem zemsty, podsycanej nieustannie przez gazetki krążące z rąk do rąk i wierszyki. Codziennie znajdowano na murach ponalepiane karteluszki, pełne gróźb pod adresem sejmowej większości. Podrzucano je nawet w pojazdach i kościołach. Napróżno zatrwożony marszałek Moszyński kazał wyłapać podżegaczów, tyle się jeno dowiadując od Boscampa, że to jakiś mnich podjudza tłumy, jątrzy i do wszystkich ekscesów ręki przykłada.

Snadniej jednak pochwyciłby w locie jaskółkę, niźli jego złowił z pośród oddanego mu pospólstwa.

Rozgorączkowanie umysłów dosięgło już takiego napięcia, że zabawy i hulanki przestawały mieć amatorów; teatralne reprezentacye i koncerty odprawiały się przy pustych ławach, nawet zielone pola faraona ugorowały, zaś lękliwsi obywatele, znaczniejsi kupcy

i modne gamratki zaczynali opuszczać miasto w przewidywaniu rozruchów i zamieszek. Ulice pustoszały, zbrakło pod kafenhauzami próżniaków wystających całe dnie, nie doliczył się też ani połowy pojazdów, strojnych dam i hucznych kawalkad; wszystko się gdzieś poprzytajało, nasłuchując jeno wieści z coraz burzliwszych obrad sejmowych.

Wtedy zniecierpliwiony Sievers, celem odwrócenia publicznej uwagi od materyi politycznych, nakazał swoim socyuszom urządzanie przyjęć i balów, nie żałując ekspensów dla mniej zasobnych lub ociągających się.

Pierwszy wystąpił Nowakowski — i wytłuczono mu szyby, a nazajutrz ledwie się salwował z rąk jakichś oberwańców.

Więc pani Ożarowska i cała wybrana socyeta wznowiła przerwane zabawy, pod opieką gwardyi litewskiej bowiem hetman nie dowierzał koronnej. Codziennych obiadów Sieversowych dla posłów i stronników strzegła cała kompania jegrów. Pomniejszych zebrań pilnowali marszałkowscy lub miejskie pachoły, ale, pomimo tego, powracających z owych przyjęć często spotykały siurpryzy, że ich obrzucano błotem i kamieniami.

Skorzystał z tych okoliczności ambasador i pod pozorem bezpieczeństwa kazał dać stałe straże dygnitarzom, wybitnym posłom, ważniejszym personom, a miasto zalał wojskiem i wziął pod taki nadzór, że bez przepustki, wydanej przez komendanta, nikt się nie ważył pokazywać na ulicach, ni wyjeżdżać.

Wpłynęło to cale skutecznie na animusz pospólstwa, lecz nie uspokoiło wzburzenia powszechności.

Bowiem Sejm dawał obraz codziennej bitwy, staczanej przez garść bohaterów z falangą chwiejnych, głupich i zaprzedanych, oraz z całą potęgą skoalizowanej nikczemności sąsiednich potencyi.

Naprożno król, Ankwicz, Ożarowski, biskup Kossakowski, Miączyński i tylu podłych i tchórzliwych usiłowało wszystkimi sposoby przemódz opozycyonistów i skłonić do powolności, naprożno i Sievers groził im Sybirem, obstawiał wartami, a niektórych siłą zatrzymywał na kwaterach.

Nie ustąpili żadnym groźbom ni perswazyom.

Szydłowski, Skarzyński, Mikorski, Krasnodębski, Kimbar, Karski, Gosławski i reszta tych niewielu cnotliwych stała nieustraszenie przy swojem, nie dopuszczając deliberacyi nad traktatem z Prusami.

Stali jakby na podminowanym szańcu, walcząc do ostatniego tchu za całość i wolność Rzeczypospolitej, jak byli walczyli w przeklętej pamięci dniach 17 lipca i 17 sierpnia, tak samo przeciw skonfederowanej zdradzie i przemocy.

Grzmiały więc ciągłe mowy, protestacye, głosowania; nieustannie wybuchały kłótnie, przewlekłe rokowania, długie ceremonie przeprosin obrażanego co chwilę Majestatu, kończące się gremialnem ucałowaniem królewskiej ręki — byle jeno przewlec choćby dzień jeden, byle tym oporem rozbudzić sumienia i krzykami rozpaczy wstrząsnąć opieszałych. Już większość sejmowa poczynała się skłaniać za ojczyzną, już 27 sierpnia przeszedł wniosek Szydłowskiego, odrzucający ze wzgardą

wszelkie traktowania z Prusami, już otucha napełniała serca obrońców, świtały nadzieje i pomnażały się siły...

Ale zbyt rychło musiały rozwiać się wszelkie rachuby i nadzieje, bo za notami króla pruskiego stały tajne układy z imperatorową, podyktowane nienawiścią do Polski, a co najgroźniejsze, jej armie wyczekujące tylko rozkazów.

Jakoż zaraz nazajutrz, 28 sierpnia, na Sejmie odczytano długą i wykrętną notę Sieversa, nakłaniającą Stany do bezzwłocznego zakończenia sprawy z Prusami. Jeszcze nie ochłonięto z ciosu, zadanego pięścią, obwiniętą aksamitem, gdy A. Podhorski, poseł wołyński, zażądał głosu, ale nie mogąc przemówić z powodu nagle powstałych wrzasków, podał jakiś papier marszałkowi sejmowemu żądając jego odczytania. Poparli to żądanie jego talarowi socyusze.

Znano Podhorskiego zaprzedanym Prusom nikczemnikiem i wiedziano, co zawiera jego projekt, układany ostatniej nocy wespół z Buchholtzem.

Cała więc opozycya, jak jeden mąż, porwała się z ław, wybuchając huraganem złorzeczeń i protestacyi przeciw odczytywaniu. Zatłoczone galerye zawtórowały tupotem i wrzaskami, dziw że się cały zamek nie zawalił.

Zelanci w słowach gwałtownych i już niehamowanych, w słowach gniewu i wzgardy piętnowali Podhorskiego, jako zdrajcę kraju, a Szydłowski, uniesiony cnotliwem oburzeniem, wzniosły w bólu nad ojczyzną i zrozpaczony, wołał ogromnym głosem w końcu przemówienia: — »Idę pod laskę, zadając Podhorskiemu zdra-

dziectwo ojczyzny i oczywiste złamanie przysięgi! Sądu żądam na zdrajcę i nie ustąpię, aż się doczekam tej dla ojczyzny pociechy, iż ziemia nasza krwią tego zdrajcy oblana zostanie«. — I stanął pod laską marszałkowską cały w ogniach piorunów.

— Podhorski na sąd! Pod laskę! Na sąd! — zawrzała izba i sto pięści wyciągnęło się ku nikczemnikowi, który ogromny, brzuchaty i jakby spęczniały judaszowymi talerami, siedział spokojnie, obcierając jeno twarz sczerwienioną.

Miączyński, Józefowicz, Wilamowski, Włodek i Zaleski trzymali przy nim straże, ochraniając go przed rozwścieczonemi pięściami. Nie poruszyły go nawet krzyki arbitrów, padające z galeryi jakby nieustającym gradem kamieni.

— Zdrajca! Łotr! Na szubienicę! Pruski parob! Judasz! Rakarz! Zdrajca!

Nad wszystkimi górował bas ojca Serafina i zapalczywy głos podkomorzyny. W okienku nad tronem, z poza kartunowej zasłony, błyskały przyczajone oczy Sieversa.

Kilka godzin jeszcze trwały tumulty i wrzawy, nie milknące ani na chwilę, gdyż zelanci nie dopuszczali do żadnych czynności, dopóki zdrajca nie będzie oddany sądowi.

Król, znużony śmiertelnie, solwował wreszcie posiedzenie do jutra.

Zaś nazajutrz, 29 sierpnia, powtórzyły się sceny jeszcze burzliwsze i gwałtowniejsze. Źle się zaczęło od początku, bo przed otwarciem sesyi marszałek wielki

litewski, Tyszkiewicz, sam chodził po galeryach i wszystką postronną publiczność kazał wypędzać z Sejmu. Szpetnie mu za to przymówił Gosławski. Marszałek usprawiedliwiał się gorąco, obiecując przeczytać posłom list Sieversa, przymuszający go do takich czynności, oczyszczania izby z żywiołów niepożądanych, gdy otwarły się podwoje i śmiałym, bezczelnym krokiem wszedł Podhorski i zajął swoje miejsce.

— Precz z nim! Za drzwi! Za drzwi! — runęły namiętne wrzaski. Kilkunastu zelantów rzuciło się ku niemu, wyrwali go z miejsca niby chwast podły, podnieśli na rękach, wyrzucili na korytarz i zatrzasnęli drzwi. Poleciał na skargę do Sieversa.

W izbie nieco przycichło i rozpoczęły się debaty względem czytania projektu złożonego do laski przez Podhorskiego, za czem już obstawała większość, nastraszona przez ambasadora. Najgwałtowniej dopominali się tego partyzanci i jurgieltnicy pruscy z Miączyńskim na czele. Król również się skłaniał, dając powody tchórzostwem nacechowane jak i nikczemnie wykrętne.

Noc zapadła, zapalono światła i, pomimo powszechnego znużenia, sesya ciągnęła się bez przerwy, a wśród nieustannego zamieszania i nieopisanych zgiełków.

Opozycya chwytała się każdej okazyi, byle jeno nie dopuścić czytania projektu. Większość zaś, wspierana przez króla, starała się ów projekt przeforsować. Dochodziło przeto do scen gwałtownych i zgoła nieprzystojnych Sejmowi, były chwile, że zdało się, jako zabłysną szable i krew się poleje. Rwał się porządek obrad, nikt już nie słuchał marszałka, nie zważał na króla,

jakby opętanie ogarnęło wielu, że z zaciśniętemi pięściami, ochrypli, prawie nieprzytomni, skakali sobie do oczów.

Galerye znowu, pełne arbitrów, niemało przyczyniały się do podniecenia umysłów, gdyż, trzymając stronę zelantów, przeciwników traktowały śmiechem i drwinami. Przed końcem sesyi powrócił Podhorski, ale go momentalnie wyrzucono za drzwi. Naraz Karski spostrzega, że projekt Podhorskiego bez podpisu, korzysta z tego opozycya i stąd nowa zwłoka, nowe sceny i nowe utarczki.

Król rozkazał go przywołać. Wszedł lękliwie i, przeprowadzony krzykami, zbliżył się do tronu, a że dziwnym trafem nie było na stole marszałkowskim piór ni inkaustu, król, podając mu własny ołówek, zachęcał do podpisania.

Wahał się chwilę, potoczył przekrwionemi oczyma po rozsrożonych twarzach, nasłuchując z widocznym niepokojem straszliwej burzy przekleństw i złorzeczeń, ale podpisał i zawrócił ku swojej ławie. Musiał przeciskać się przez stojących w przejściu zelantów, a każdy odpychał go ze wzgardą, pluł i obrzucał obelgami, a galerye wtórowały, rycząc w niebogłosy:

— Precz z nikczemnikiem! Zdrajca! Niema posiedzenia ze zdrajcą! Nie ważne!

W obraźliwym tonie zażądał od marszałka obrony i wypędzenia publiczności.

— To waćpan nie powinieneś tu się znajdować! — krzyknął urażony Tyszkiewicz.

Pozostał jednak na przekor burzy, jaka się wciąż

srożyła nad jego głową, na przekor powszechnym żądaniom wydalenia go z sali. Dopiero na rozkaz króla ustąpił, przyczem tak mu żarliwie pomagano, że, wypoliczkowany i w poszarpanem odzieniu, znalazł się w korytarzu, gdzie nawet służba nie szczędziła mu dotkliwych oznak pogardy.

Sesya skończyła się o północy i na niczem.

Na niczem również przeszła następna 30 sierpnia, więc aby ukartować skuteczniejsze sposoby zniewolenia opozycyonistów, król solwował posiedzenie na dwa dni, do poniedziałku.

Ankwicz wykoncypował plantę kampanii przeciwko zelantom i przez całe dwa dni prowadziły się wzmożone porozumiewania z Buchholtzem i Sieversem. Zaś już w nocy z niedzieli na poniedziałek 2 września czuć się dawał na mieście gorączkowy niepokój; mało kto spał, okna świeciły gęsto, ustawicznie przelatywały powozy i konni z posyłkami; w ciemnych ulicach rozlegały się głuche turkoty prowadzonych armat, od wszystkich rogatek następowały wojska, połśniewały bagnety, zrywały się krótkie warkoty bębnów, ściszone głosy komend i ciężkie kroki rot, maszerujących ściśniętymi szeregami...

Jakoż rano, gdy słońce się podniosło, Grodno dawało widok miasta zdobytego przez nieprzyjaciela. Wszystkie bowiem wojska rosyjskie, obozujące w okolicy, obsadziły place, ulice, przejścia i gmachy publiczne, a zamek królewski wziął postać warowni, w której czyniono przygotowania jakby do odparcia szturmów. Wszelkie przystępy do niego, fosy, mosty, dzie-

krzewski, wskazując jakiegoś oficyerka sprężonego pod oknem — miesiąc temu wziął kije za kradzież i pijaństwo, a teraz już błyszczy adjutanckimi bulionami.

— Cicho waść, nie pora na burdy! — zgromił go Prozor, podając mu rękę na powitanie.

Marcin, snadź nieco napity, zaszeptał z gorączkową swadą i uporem:

— Nie wytrzymam długo takiej hańby... ja żołnierz... nie ścierpię... żołnierze pójdą za mną...

Ale zamilkł pod surowym wzrokiem Prozora, którego Woyna odwiódł nieco na stronę, by mu powiedzieć:

— Bajędy o spisku wykoncypował Ankwicz, wiem na pewno.

— Rzetelnie dorabia się hańby! — odszepnął porywczo.

Czwarta, na którą wyznaczono posiedzenie, wybijała właśnie na zamkowym zegarze i wszyscy ruszyli zabierać miejsca w sali. Izba sejmowa tonęła w złocistych brzaskach, zwłaszcza górna jej część zdała się być ogarnięta pożogą, tak słońce grało tęczami w szkliwach pająków, w szybach i pozłotach, wydając zarazem zdumionym oczom tłumy rosyjskich oficyerów, rozpierających się po galeryach, miasto publiczności.

Ławy poselskie wnet się zapełniły, senatorowie wzięli swoje krzesła bliżej tronu, Tyszkiewicz zasiadł przy stole marszałkowskim, sekretarze i skryby w powinnych miejscach, Sejm już był zebrany w komplecie, gdy naraz wszystkie drzwi z hukiem się zawarły i stanęli w nich grenadyerzy, nikogo z sali nie wypuszcza

jąc. Ten niesłychany gwałt poruszył wszystkich do żywego. Podniosły się szemrania i protestacye nawet z pośród najtchórzliwszych.

Któryś z zelantów próbował wyjść, lecz bagnety z taką gwałtownością zaparły mu drogę, iż ledwie uskoczył w bok przed uderzeniem.

Oficyerowie na galeryach wybuchnęli szyderczym śmiechem.

Marszałek oznajmił wejście Majestatu. Wszyscy powstali, przycichło w sali.

Wszedł król w zwykłej asyście kadetów z obnażonemi szpadami, ale tuż za nim wkroczył generał Rautenfeld i zasiadł na krześle obok tronu.

Wszystkim odjęło mowę, spoglądano na siebie z zapartym tchem, zali ten obcy żołdak, rozpierający się przy tronie, nie przywidzenie? nie stwór obłąkanej imaginacyi? — Ale nie, siedział z groźbą w kamiennej twarzy i zimnemi oczyma toczył po głowach. W orderach był, przy szpadzie, wyniosły, pyszny, władczy i każdemu sercu wolnemu obmierzły.

Ogromny krzyk protestacyi wyrwał się z piersi opozycyonistów, a wraz i pruscy partyzanci jęli się wrzaskliwie domagać zagajenia sesyi i przystąpienia do obrad.

Potężny jednak głos Szydłowskiego wyniósł się ponad wszystkie.

— »Nie mam tej świątyni za prawodawczą — wołał — gdy zbrojna ręka gwałciciela wewnątrz i zewnątrz ją otacza. Niemasz sejmu i obrad wolnych, gdzie gwałt i przemoc wywiera swoje siły, a miejsce,

należne reprezentantom wolnego narodu, obcy zajmuje żołnierz...«

Tyle jeszcze zdziałała opozycya, że pod jej naporem wysłano delegacyę do Sieversa, z żądaniem usunięcia wojsk z Sejmu. Po dwugodzinnych pertraktacyach, przynieśli odpowiedź ambasadora — jako nikogo nie wypuści z Izby, dopóki traktat z Prusami nie zostanie uchwalony. I pogroził użyciem siły zbrojnej...

Rozpoczęła się więc ponura, beznadziejna walka z przemocą.

Godziny przechodziły w nieopisanych wysiłkach obrońców; dawno już dzień skonał; dawno już noc szła w brzaskach srebrzystej luny; dawno już sen ogarnął wszystek świat, a bohaterski legion walczył wciąż ostatniemi siłami rozpaczy i szaleństwa.

Ale Rautenfeld z nieubłagalnością kata czuwał nad dobrem króla pruskiego.

Dla króla pruskiego przewagi groziły u harmat zapalone lonty.

Dla króla pruskiego zbrojne roty gotowe były stratować opornych.

Dla króla pruskiego pracowała przemoc, zdrada i nikczemność!

Aż uchwalono, co podyktowały bagnety. Posiedzenie skończyło się o czwartej rano.

KONIEC.

*DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ NAKŁADEM*

## INSTYTUTU LITERACKIEGO

*W RZYMIE NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:*

HENRYK SIENKIEWICZ: *Legiony.*

ADAM MICKIEWICZ: *Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego.*

STANISŁAWA KUSZELEWSKA: *Kobiety.*

PAWEŁ HOSTOWIEC: *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec.*

STANISŁAW SZPOTAŃSKI: *Prometeusze.*

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI: *Miasto mojej matki.*

ANDRZEJ STRUG: *Dzieje jednego pocisku.*

SERGIUSZ PIASECKI: *Jabłuszko.*

WŁ. REYMONT: *Rok 1794* (Trylogia).

**W DRUKU:**

LEON BLUM: *Na poziomie człowieczeństwa.*

WACŁAW SIEROSZEWSKI: *Beniowski.*

*Przedstawicielstwo wydawnictw Instytutu Literackiego na W. Brytanię posiada:*

*VISTULA PRESS LTD., 45 CROMWELL ROAD, LONDON S. W. 7*

14

10